

**Przełom 1989 na nowo ■ Bunt ukraińskich poborowych ■ Europa w emocjach
Dogmaty nie spadły z nieba ■ Dziwactwa ewolucji ■ Lego dla dorosłych**

Kraków 5 – 11 czerwca 2024 nr 23 (3909)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Szczepan Twardoch: Śląsk z dostępem do morza

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



 **Kraków**



Muzeum Krakowa

spiralą zbrodni

KRAKOWIANIE NA AFISZACH ŚMIERCI
Spiral of Atrocity. Cracovians on Death Posters

WYSTAWA / EXHIBITION **25.05.2024 – 1.06.2025**

Fabryka Emalia Oskara Schindlera

/ OSKAR SCHINDLER'S ENAMEL FACTORY / UL. LIPOWA 4

CENTRUM OBSŁUGI ZWIEDZAJĄCYCH:
RYNEK GŁÓWNY 35, 31-011 KRAKÓW
TEL. 12 426 50 60 / INFO@MUZEUMKRAKOWA.PL

www.MuzeumKrakowa.pl

MUZEUM KRAKOWA · INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

MECENAS MUZEUM

PARTNER

PATRONI MEDIALNI



KS. ADAM

Boniecki: Gdzie się kończy ludzka produkcja

ARTYKUŁ JÓZEFA MAJEWSKIEGO „DOGMATY NIE spadły z nieba” musiał powstać. Pytania, które zawiera, nie od dzisiaj korcą ludzi wierzących, prowokują ludzi słabej wiary i zniechęcają tych, których wiara nie ma przemyślanych podstaw. Nie streszczam tekstu Majewskiego, bo mimo (chwilami) dość ogólnikowych stwierdzeń podaje on przykłady, które każdy (lub prawie każdy) musiał dawno znać z własnych poszukiwań.



Dwa tysiące lat, tysiące autorów, czasem cieszących się wielkim autorytetem, herezje ogłoszone jako herezje i nieogłoszone, dogmaty sformułowane przed wiekami i konfrontacja ich z dzisiejszą wiedzą – jednym słowem, sposób życia wiary oparty nie tylko na Ewangelii, ale na nieskończonej ilości komentarzy do niej i na bardziej lub mniej czcigodnej, rozbudowanej i zróżnicowanej tradycji. To wszystko plus polityczne racje i naciski, ewoluująca szybko wiedza o świecie i człowieku, każą się zastanowić.

Najpierw wątpliwości. Na przykład „wynoszenie nie-dogmatycznych poglądów i opinii na poziom dogmatów”... Zawsze sądziłem, że formułą dogmatyczną poglądy były opatrywane wówczas, gdy pojawiała się inne myślenie, inne rozumienie jakiegoś elementu wiary. Wtedy, nieraz po dość długim czasie, zjawiało się dogmatyczne orzeczenie Kościoła. Jeżeli nie było sporów co do sposobu rozumienia, definicja dogmatyczna się nie pojawiała. Formuły dogmatyczne bywały zaś chyba uzupełniane, modyfikowane, dostosowywane do aktualnego stanu wiedzy. Z pewnością były takie elementy wiary, które nie tylko nie zyskały aprobaty Kościoła, ale zostały wyeliminowane z religijnego myślenia, jak na przykład przekonanie o przebywaniu po śmierci nieochrzczonych dzieci w *limbus puerorum* – jakimś miejscu (stanie), które nie jest ani piekłem, ani niebem, ani czyśćcem. W miarę upływu czasu wiara w ów *limbus* odeszła zupełnie w zapomnienie.

Sporo jest i będzie zagadnień, w których nauka Kościoła nie była jednoznacznie dookreślona choćby dlatego, że samych zagadnień nie było lub były tak ukryte, że z ich wagi nie zdawano sobie sprawy. Dziś też jesteśmy tego świadkami. Fakt, że Kościół się nie kwapi do jednoznacznych definicji, jest raczej pozytywny. Że w niektórych sprawach się opowie jednoznacznie – mam nadzieję.

Myślę, właściwie wiem, że wiara katolicka obrosła ogromną warstwą tzw. chrześcijańskiego obyczaju, chrześcijańskiej kultury i tak dalej. Jest w tym wielkie bogactwo. Z pewnością wiele z tego, co Chrystus powiedział o relacjach z bliźnimi, przeniknęło poza granice konfesji, stając się dobrem ludzkości, i umożliwiło pokojowe życie między ludźmi. Wiele jednak zostało przekręcone, obyczaj kształtował siły nie tylko chrześcijańskie. Jako chrześcijańskie prezentowały się z kolei nurty będące chrześcijaństwem parodią lub karykaturą.

Tekst Majewskiego jest ważny dla wierzących, dla chwiejących się w wierze i chyba dla tych, którzy odeszli, bo nie mogli zrozumieć. Oczywiście, wiara czasem przekracza zrozumienie, ale nie zawiera sprzeczności, nie idzie w rozpiskę w zderzeniu z nowymi odkryciami i nie jest wewnętrznie sprzeczna. W odniesieniu do Kościoła katolickiego chciałoby się powiedzieć, że wiara wymaga oczyszczenia z produkcji czysto ludzkiej. Pewnie Majewski pociągnie podjęty tu temat, może przyjdzie z pomocą tym wszystkim, którzy odnoszą wrażenie, że w Kościele brakuje im powietrza. Św. Tomasz pod koniec życia już nie pisał, a o tym, co już (tak mądrze) napisał, wyrażał się niezbyt pochlebnie: *stercora*. Tak opowiada legenda i tak jest rzeczywiście. ©®

TYGODNIK
POWSZECHNY

Pobudka z Tygodnikiem CODZIENNIE NAJLEPSZE TEKSTY

Pobudka z Tygodnikiem to krótki, codzienny newsletter „Tygodnika Powszechnego”.

Od wtorku do piątku wysyłamy wiadomość o kilku najlepszych tekstach dnia oraz autorskie rekomendacje czytelnicze redaktorów „Tygodnika”.



zapisz się!

**TEMAT TYGODNIKA:
ROK 1989**

**12 Zapomniana wolność
MARCIN NAPIÓRKOWSKI**

Dziś naszą wyobraźnię meblują marazm, nierówności i polaryzacja. Pora odzyskać różnorodne opowieści o wolności, równości i braterstwie, na których zbudowana była Solidarność. Bo ona ma przyszłość.

16 Transformacja bez lukru

ROZMOWA Z MICHAŁEM PRZEPERSKIM, HISTORYKIEM:
Obecna Polska ma miliony słabości, lecz końcówka PRL-u wniosła ich miliardy. No i trudno było za komuny powiedzieć, że to nasze państwo.

54
**My zdążyliśmy
ŁUKASZ KAMIŃSKI**

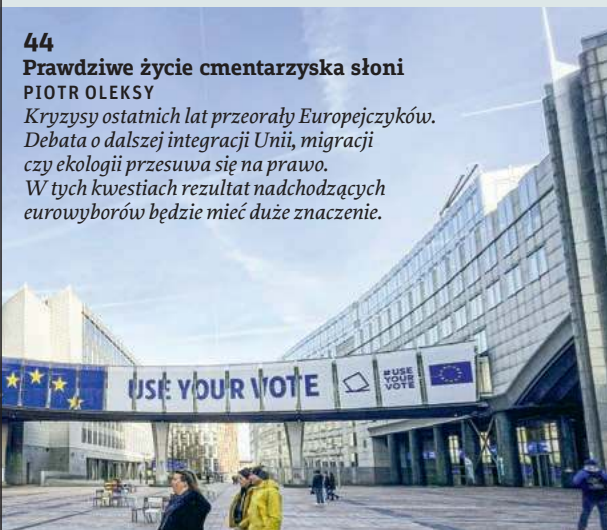
W orędziu z 2005 r. Putin uznał rozpad Związku Sowieckiego za „największą katastrofę geopolityczną XX wieku”. Każda kolejna agresja Rosji uświadamia nam, jak pomyślnie dla Europy Środką potoczyły się wydarzenia lat 1989-91. Nic nie było przesądzone.


30
**Ucieczka do Europy
PIOTR ŚMIŁOWICZ**

Zgodnie z konstytucją, demokratyczne wybory powinny być pięcioprzymiotnikowe: bezpośrednie, równe, powszechne, tajne i proporcjonalne. W wyborach do Parlamentu Europejskiego ważniejsze są inne przymiotniki.


44
**Prawdziwe życie cmentarzyska słońi
PIOTR OLEKSY**

Kryzysy ostatnich lat przeorały Europejczyków. Debata o dalszej integracji Unii, migracji czy ekologii przesuwają się na prawo. W tych kwestiach rezultat nadchodzących eurowyborów będzie mieć duże znaczenie.


**34 Dogmaty
nie spadły
z nieba**

**JÓZEF
MAJEWSKI**
Powinny one wierze pomagać. Często jednak czynią ją jeszcze trudniejszą.


**86 Chwała królów, godność ludu
MICHAŁ OKOŃSKI**

„Zlaicyzowane, zdegradowane, zakamuflowane mity i wyobrażenia mityczne spotykamy wszędzie: trzeba je tylko umieć rozpoznać” – pisał niegdyś Eliade. Jakby oglądał finał Ligi Mistrzów między Borussią i Realem.



■ ■ OBRAZ TYGODNIA

- 6** Najlepszą obroną jest zaufanie
AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

- 20-21** MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR
SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

- 22** Bunt chłopców do bicia
PAWEŁ PIENIAŻEK: *Wobec
perspektywy powołania do wojska
wielu Ukraińców zaczyna myśleć
o polskim obywatelstwie*
- 25** Wschód na tarczy
MAREK RABIJ: *Jak nie zmienić
pogranicznych województw
w poligon*
- 27** Błędy kardynalne
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
*Oskarżenia o upolitycznienie,
niekompetencję i mobbing w instytucji
odpowiedzialnej za polskie matury*

- 30** Ucieczka do Europy
PIOTR ŚMIŁOWICZ

■ ■ WIARA

- 34** Dogmaty nie spadły z nieba
JÓZEF MAJEWSKI
- 38** Pastor, co nie chciał do swoich
EWA WOŁKANOWSKA-KOŁODZIEJ:
*Jedna miejscowość na Zakarpaciu,
pięć romskich wspólnot religijnych*
- 41** Strzały w kościele
MACIEJ MÜLLER: *Nowy męczennik?
O wielkopolskim proboszczu
zamordowanym przy ołtarzu*

■ ■ ŚWIAT

- 44** Prawdziwe życie
cmentarzyska słońi
PIOTR OLEKSY
- 47** Wyszliśmy z piekła
ANTONINA PALARCZYK:
Reportaż spod Wołczańska

BOHATER Z OKŁADKI



70 Śląsk z dostępem do morza

ROZMOWA ZE SZCZEPANEM TWARDOCHEM,
PISARZEM:

Dziadek nauczył mnie śląskości.
Cechy charakteru powszechnie uznawane
dziś, pewnie słusznie, za toksyczne – też mam
po nim... Szorstkość, skrytość.

■ FELIETONY ■

- 33** TOMASZ STAWISZYŃSKI
43 ZUZANNA RADZIK
67 ELIZA KAĆKA
84 OLGA DRENDĄ
85 PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: SZCZEPAN TWARDOCH
FOT.: JACEK POREMBA DLA WYDAWNICTWA LITERACKIEGO

Redaktor prowadzący:
MICHAŁ KUŹMIŃSKI

48 Srogie ostrzeżenie Pekinu

MARIA WIŚNIEWSKA:
*Mała wysępka na pierwszej linii
chińskiego ataku*

51 Seniorki idą po zdrowie

AGNIESZKA KAMIŃSKA:
*Emerytowane Szwajcarki walczą
z państwem o ochronę klimatu*

■ ■ HISTORIA

- 54** My zdążyliśmy
ŁUKASZ KAMIŃSKI

■ ■ NAUKA

- 60** Zamysł stwórczy
AGNIESZKA DEFUS:
*Nie ma w świecie niczego bardziej
kreatywnego od ewolucji*

■ ■ Z ODDECHEM

- 64** Dla dzieci do lat stu
WOJCIECH BRZEZIŃSKI:
*Dzisiejsi czterdziestolatowie nie
wstydzą się eksycytować „dziecinną”
popkulturą. To milenialsi
odpowiadają za popularność
klocków Lego*

■ ■ KULTURA

- 70** Śląsk z dostępem do morza
ROZMOWA ZE SZCZEPANEM
TWARDOCHEM
- 74** Życie przed sobą
FILIP ŁOBODZIŃSKI:
*60 lat temu swój debiutancki singiel
wydała Marianne Faithfull*
- 78** Do widzenia, Wietnamie
JAKUB MAJMUREK
o serialu „Sympatyk”
- 80** Ćwiczenia z empatii
ANITA PIOTROWSKA
*o filmie „Królestwo zwierząt”
Thomasa Cailleya*
- 81** Pisarka w okopach
LEKTOR o książce *Oksany Zabuzko*
„Najdłuższa podróż”

■ ■ ZMYSŁY

- 86** Chwała królów, godność ludu
MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

▶ Co obejrzeć w weekend

Filmy dokumentalne na VoD poleca **ANITA PIOTROWSKA**
TygodnikPowszechny.pl/weekend

▶ Jeszcze inna przyszłość

Co nauka mówi nam o scenariuszach zmiany klimatu?
Sprawdza **ŁUKASZ LAMŻA** | TygodnikPowszechny.pl/podcast

Wybierz swoją prenumeratę

zobacz na trzeciej okładce

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

NAJLEPSZĄ OBRONĄ JEST ZAUFANIE

GDY W ZESZŁY PIĄTEK PO POŁUDNIU Polska Agencja Prasowa wysłała depeszę o przymusowej mobilizacji „200 tysięcy polskich obywateli”, tematu nie podjęła ani jedna redakcja. Sprostowanie, że żadnej mobilizacji nie zarządzono, pojawiło się już po dwóch minutach. Po kolejnych kilkunastu wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski poinformował, że to cyberatak i zaplanowana dezinformacja. Kilka godzin później było już wiadomo, że napastnicy przy pomocy złośliwego oprogramowania przejęli konto jednego z pracowników PAP-u i tak włamali się do systemu agencji.

W sumie więc atak ten nie osiągnął zakładanych celów. Nie było powielania fałszywki ani wywołanej nim złości czy strachu. System – choć technicznie niedoskonały, bo dało się go zhakować – zadzia-

Wchodzimy w nową fazę wojny hybrydowej – rosyjskie służby – inspirują akcje sabotażowe, polegające m.in. na podpaleniach. Czy skuteczna odpowiedź w tej wojnie jest możliwa?

**AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI**

POWYŻEJ:
Zgłiszcza hali targowej przy
ul. Marywilskiej.
Warszawa, 27 maja 2024 r.

łał sprawnie. W wojnie hybrydowej z Rosją tym razem nie daliśmy się ograć. Punkt dla naszych.

Fałszywej depeszy warto się jednak przyrzec. Jej celem było wywołanie zamętu i niechęci do Ukraińców – zmobilizowani Polacy mieli być wysłani na Ukrainę, podczas gdy „obywatele Ukrainy przebywający legalnie w Polsce już takiej mobilizacji nie podlegają”. Przypomnijmy, że gdy w 2023 r. w Słowacji zaczęły pojawiać się fake newsy o mobilizacji, wywołały potężną niechęć do rządu, a tamtejsze ministerstwo obrony przez kolejne miesiące musiało wyjaśniać, że to bzdura.

WYWOŁYWANIE CHAOSU przez dezinformację to jedno z podstawowych narzędzi w arsenale wojen hybrydowych. Wojen oficjalnie niewypowiedzianych, toczących

się poniżej progu działań zbrojnych, zawsze wymierzonych w najslabsze punkty przeciwnika. I Rosjanie ten cios, zadany z wykorzystaniem PAP-u, wymierzili celnie: w Polsce rośnie niechęć do Ukraińców, a jednocześnie trwa kampania przed wyborami do europarlamentu, dlatego było możliwe, że antyrządowy i ukraińofobiczny temat w ferworze politycznej walki „zażre”.

Kreml gra jednak nie tylko dezinformacją czy podsycaniem niechęci powodującym polaryzację – czego przykładem mogą być także spory, jakie toczą się u nas w związku z kryzysem migracyjnym na wschodniej granicy. Rośnie również liczba ataków w cyberprzestrzeni. Wicepremier Gawkowski poinformował, że w dniu, gdy pojawiła się fałszywa depesza PAP-u, doszło też do dwóch innych ataków na infrastrukturę krytyczną (łącznie od początku tego roku było ich około 80 tys.). Według Naukowej Akademickiej Sieci Komputerowej za atakami na polskie instytucje rządowe stoi APT28, grupa hakerska powszechnie uważana za cyber-ramię GRU (metoda, w której specjalizuje się APT28, jest przejmowanie systemów przy pomocy sfalszowanych maili, dzięki którym wykrada loginy i hasła użytkowników).

OD KILKU TYGODNI władze niemal wszystkich państw europejskich ostrzegają, że wchodzimy w nową fazę wojny hybrydowej – rosyjskie służby coraz częściej inspirować akcje sabotażowe polegające m.in. na podpaleniach. Zwykle robią to rękami wynajętych przez internet naiwników, którzy liczą na łatwy zarobek. W zeszłym tygodniu premier Donald Tusk informował o postawieniu zarzutów łącznie 11 osobom, które na zlecenie Rosjan miały angażować się w pobicia, podpalenia i próby podpalenia (za podłożenie ognia miały dostawać po 10 tys. euro).

Jak odpowiadać na takie ataki? I czy skuteczna odpowiedź w ogóle jest możliwa?

NATO już w 2015 r. przyjęło strategię dotyczącą wojny hybrydowej, ale można odnieść wrażenie, że od tego czasu – choć liczba ataków ze strony Rosji systematycznie się zwiększa – rośnie tylko liczba

komunikatów, w których Sojusz „potępia” albo „stanowczo potępia” rosyjską agresję. Do pewnego stopnia to tylko wrażenie. Dowód? Gdy pojawił się fake news w PAP-ie, kontra przyszła błyskawicznie, co pokazuje świadomość zagrożenia. NATO w ostatnich latach solidnie przykładło się do budowania tej świadomości. Regularnie prowadzone są ćwiczenia, w których uczestniczą wojskowi i cywile. Utworzono też m.in. Pion Połączonego Wywiadu i Bezpieczeństwa monitorujący, analizujący i alarmujący decydentów o zagrożeniach czy antyhybrydowe zespoły doradcze (CHST), które mogą być szybko wysłane do państwa proszącego o pomoc (tak stało się m.in. w pograżonej w kryzysie Czarnogórze tuż po jej przyjęciu do NATO).

BUDOWANIE ODPORNOŚCI – tak nazywają to wojskowi. Jego kluczowy element nie tkwi jednak w słynnym artykule 5. Traktatu Waszyngtońskiego i prawie do kolektywnej obrony. Polem ataków hybrydowych jest bowiem domena informacyjna, kognitywna i społeczna. Choć najróżniejsi eksperci przedstawiają bogaty wachlarz najróżniejszych odpowiedzi politycznych i strategicznych na wojnę hybrydową, zgadzają się w jednej kwestii: warunkiem *sine qua non* ich zastosowania jest zaufanie do tego kogoś, kto nas broni, czyli do własnego państwa.

Warto zwrócić uwagę, że bez względu na to, jaką metodę wybiera Rosja do atakowania nas, za każdym razem długofalowo jej cel jest dokładnie taki sam: podważenie tego zaufania. „Wbijając klin między państwo a jego obywateli, można stworzyć warunki do jego implozji. To właśnie jest celem podmiotu prowadzącego działania hybrydowe, który dąży do osiągnięcia celu poniżej progu działań zbrojnych” – pisał Arsalan Bilal z Centrum Studiów nad Pokojem Uniwersytetu w Tromsø na łamach „NATO Review”.

Tego zaufania nie zbuduje za nas ani NATO, ani żaden inny sojusz, a w warunkach toczącej się przeciw nam wojny może to być zadanie wyjątkowo trudne. Historia fałszywej depeszy PAP-u pokazuje jednak, że możemy się obronić. ©



Godka ojczysta

ZBIGNIEW ROKITA

PREZYDENT ZAWETOWAŁ UZNANIE ŚLĄSZCZYZNY za język. Dopiero za około 500 dni parlament przyjmie nowelizację, a kolejny prezydent ją poprze.

Andrzej Duda powołał się na opinie ekspertów, choć m.in. przewodnicząca Rady Języka Polskiego prof. Katarzyna Kłosińska poparła uznanie godki. Prezydent stwierdził, że godka jest takim samym dialektem jak dialekty mazowiecki czy małopolski. Te nie mają jednak wielotomowych słowników, skodyfikowanej ortografii czy literatury nań przekładanej, a pół miliona ludzi nie podaje ich w spisie jako języka kontaktów domowych.

Najbardziej kuriozalny fragment w argumentacji Kancelarii Prezydenta brzmi: „Niedające się wykluczyć działania hybrydowe, jakie mogą być podjęte w stosunku do Rzeczypospolitej Polskiej, związane z prowadzoną wojną za wschodnią granicą, nakazują szczególną dbałość o zachowanie tożsamości narodowej. Ochronie zachowania tożsamości narodowej służy w szczególności pielęgnowanie języka ojczystego”.

Prezydent życzy sobie państwa kulturowo zgłajszaltowanego. Jeśli polskość miałaby się zawalić pod ciężarem dzieci uczących się godki, to ile taka polskość jest warta i dlaczego prezydent ceni ją tak nisko?

Dodatkowy czas może jednak pomóc godce – o ile zostanie wykorzystany na certyfikację nauczycieli, przygotowanie podręczników czy podstawy programowej. Ferment wokół godki to nie efekt przypadku, a lat, dekad ciężkiej pracy.

Obawiam się jednak innego wariantu. Ślązacy mogą podzielić się na tych, którzy nadal będą chcieli uznania języka, i na tych, którzy domagają się będą uznania mniejszości śląskiej (w tym zawiera się również uznanie godki). Przyniesie to spektakularny sukces lub odwlecze uznanie języka i stratę kolejnego pokolenia.

Dziś Andrzej Duda nie pochylił się nad prawami Ślązaków. Jutro może nie pochylić się nad innymi mniejszościami. ©



Choć winny, może walczyć dalej

MARTA ZDZIEBORSKA

GDY IDZIE O JEGO REAKCJĘ, ZASKOCZENIA nie było. „To sfalszowany proces prowadzony przez skorumpowanego sędziego” – wypalił Donald Trump (na zdj.), stojąc przed budynkiem sądu stanowego na nowojorskim Manhattanie, niedługo po ogłoszeniu werdyktu. Przysięgli – pięć kobiet i siedmiu mężczyzn – uznali go za winnego fałszowania dokumentów biznesowych w celu zatajenia płatności za milczenie dla aktorki porno Stormy Daniels. Kobieta, która twierdzi, że miała z nim romans, mogła mu zaszkodzić na finiszu kampanii w 2016 r. O wymiarze kary zdecyduje 11 lipca prowadzący postępowanie sędzia. Trumpowi grozi do 4 lat więzienia, choć bardziej prawdopodobna jest kara grzywny lub wyrok w zawieszeniu. Jego prawnicy zapowiadają apelację.

W świetle amerykańskiego prawa Trump może dalej ubiegać się o Białą Dom. Jego sztabowcy robią teraz z niego „więźnia politycznego”. Historyczny werdykt – jak dotąd żaden prezydent USA nie został uznany za winnego w procesie karnym – wykorzystuje też Joe Biden: zagrzewa wyborców do głosowania w listopadzie, bo „to jedyny sposób, by nie dopuścić Trumpa do Białego Domu”.



W spolaryzowanej Ameryce werdykt przysięgłych raczej nie wpłynie na preferencje większości elektoratu. Sympatycy Demokratów uważają, że Trumpa spotkała zasłużona kara za lata nadużyć, a zatwardziali Republikanie postrzegają werdykt jako przejaw represji politycznych. Kluczowi w tej

układance mogą być jednak umiarkowani Republikanie i wyborcy niezależni, którzy nie są stałym elektoratem obu partii: podczas prawyborów obie grupy sygnalizowały, że nie zgłoszą na Trumpa, jeśli zostanie skazany. Jednak optymizm tych, którzy liczą, że Trump stracił właśnie swoją szansę, studzi konsultant polityczny Doug Schoen. „Bycie skazanym

za przestępstwo nie jest chlubną sprawą, ale dla wyborców w listopadzie będą liczyły się głównie inflacja, kryzys migracyjny na pograniczu z Meksykiem, rywalizacja z Chinami i Rosją oraz to, jak dużo będziemy wydawać na pomoc Izraelowi i Ukrainie” – ocenia ekspert cytowany przez BBC.

W tym wyścigu jedno jest pewne: w połowie lipca, kilka dni po ogłoszeniu wymiaru kary, Trump otrzyma nominację Partii Republikańskiej. ©

Autorka jest dziennikarką „Press”.

NA PUNKTY

EMOCJE

Szef gabinetu prezydenta Marcin Mastalerek powiedział, że jest namawiany do startu w wyborach prezydenckich, a wcześniej nazwał „obrzydliwym” poparcie Beaty Szydło dla kandydatury Jacka Kurskiego w wyborach do Parlamentu Europejskiego. „Niech sobie sam radzi ze swoimi emocjami, a nie próbuje mieszać w kampanii Zjednoczonej Prawicy” – odpowiedziała była premier.

KANDYDATURY

À propos interesujących kandydatur: z sondażu United Surveys dla WP wynika, że w II turze wyborów prezydenckich zmierzyliby się Rafał Trzaskowski i Mateusz Morawiecki. Szymon Hołownia byłby trzeci, a czwarte miejsce zajęłaby... dziennikarka Polsatu Dorota Gawryluk.

FRAZY

Jarosław Kaczyński może nie potrafi znaleźć podczas wiecu wyborczego okularów, ale za to przywraca polszczyźnie zapomniane słowo „popychle”. „Czy gdzieś na świecie jest takie miejsce, gdzie człowiek, który się godzi na pozycję popychla, w tym przypadku niemieckiego popychla, się liczy?” – mówi, a my zastanawiamy się, kogo też może mieć na myśli. ©

ADAM BURAKOWSKI / EAST NEWS



Tajne nagrania powinny być ostatecznością

PIOTR ŚMIŁOWICZ

TYDZIEŃ TEMU NA ŁAMACH „Tygodnika” przedstawiłem portret Romana Giertycha, wyjątkowo sprawnie poruszającego się w meandrach naszej polityki. Ostatnie dni potwierdziły talent mecenasa – to zapewne on stał za wyciekami do mediów nagrań dokonanych przez skruszonego byłego dyrektora Funduszu Sprawiedliwości.

Ta metoda stała się jedną z najskuteczniejszych

broni politycznych XXI w., a po raz pierwszy została skutecznie użyta przez Adama Michnika, który w lipcu 2002 r. nagrał korupcyjną propozycję Lwa Rywina.

Potem tajne rejestrowanie rozmów zaakceptowano jako ogniwo politycznej intrygi, by wspomnieć tylko słynne nagrania kelnerów, które sprawiły wielki problem PO. Wobec politycznej skutecz-

ności tej metody mało kto jednak zastanawia się nad tym, że ich dokonywanie jest w sumie przestępstwem. I nieprzypadkowo służby państwowe mają prawo stosować ją w ściśle określonych przypadkach. Niestety, zwłaszcza w obecnej sytuacji polityczno-medialnej, w której każda bańka ma swoją narrację i jest odporna na komunikaty konkurencji, być może nie istnieje

inny instrument „obiektywizowania” rzeczywistości i ujawniania tego, co naprawdę sądzą politycy. Tyle że ryzykosztem dostają często przypadkowi ludzie, których dobra są potem szargane.

Byłbym za tym, by potajemne nagrywanie wiązało się z większą niż dziś odpowiedzialnością i usprawiedliwiane było tylko wyjątkowo, przy największych aferach. To może jedyny sposób, by metoda ta nie weszła do politycznej codzienności, ale była używana jedynie w sytuacjach, gdy prawdę nie ma innego sposobu na walkę z patologią. ©



Pomocny jak Polak

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

MAŁO JEST O NAS TAKICH OPowieści. O tym, co nas uruchamia do pomocy innym, co sprawia, że chce nam się iść do rady rodziców albo rady osiedlowej, a co powoduje, że decydujemy się zrobić stałe zlecenie wpłaty dziesięciu złotych na organizację kobiecą – mówi Róża Rzeplińska, prezeska Stowarzyszenia 61 i szefowa serwisu MamPrawoWiedziec.pl.

Rzeplińska komentuje wyniki Barometru Humanitarnego, czyli ogłaszanego co roku na zlecenie Lekarzy bez Granic reprezentatywnego badania zachowań dobroczynnych Polaków. Dane ze zrealizowanej przez agencję Opiniaz4 tegorocznej edycji pokazują, że aż 85 proc. z nas zaangażowało się w ciągu ostatnich 12 miesięcy w pomoc innym. A co ważniejsze: że utrzymał się zanotowany rok wcześniej w związku ze zrywem pomocowym na rzecz Ukraińców skokowy wzrost odsetka wspierających (z niecałych 60 do 87 proc.).

Te wzrosty, zauważa Rzeplińska, mogą wynikać z faktu, że „dotknęliśmy” rzeczywistości pomocy.

Poczuliśmy się bardziej sprawczy, widząc, że jedzenie oraz trzy pary butów zalegających w domu i zawieszonych na dworzec w marcu czy kwietniu 2022 r. komuś się przydadają.

– To ta sama siła doświadczenia dobroczynności, którą poznaliśmy dzięki Jurkowi Owsiakowi i Wielkiej Orkiestrze: każda matka, której dziecko miało po narodzeniu przebadany słuch, wie, że to działa – kwituje działaczka.

Właśnie „przekazanie pieniędzy do puszek w trakcie zbiórki” to najczęściej deklarowane spotkanie statystycznego Polaka z dobroczynnością (50 proc. respondentów). 36 proc. pytanym przekazuje na cel charytatywny 1,5 proc. swojego podatku, tyle samo oddaje ubrania, żywność i inne produkty. Najradsze sposoby zaangażowania to regularne wpłaty na rzecz organizacji (9 proc.) i wolontariat (11 proc.), który stosunkowo dużą popularnością (20 proc.) cieszy się w grupie respondentów między 18. a 24. rokiem życia.

To kolejny budujący motyw raportu „Zetki”, pokolenie – jak mówi Róża Rzeplińska – w mediach głównie krytykowane za konformizm, polityczny indyferentyzm i brak aktywności, najpierw z przytupem zaznaczyły swoją obecność w czasie wyborów, a teraz okazują się ponadprzeciętnie wrażliwe na potrzeby innych. ©P



Hejt na Boże Ciało

ARTUR SPORNIAC

ZNÓW PAJACOWANIE NA ULICACH”. „Kult religii to kościół i tam jest miejsce na wszelkie modły”. Takie komentarze pojawiły się w mediach społecznościowych pod wpisem radnego KO w Szczecinie, który opisał swoją interwencję w sprawie jednego z ołtarzy ustawionych na szczecińskich ulicach przed Bożym Ciałem. Konstrukcja zajmowała dużą część chodnika w miejscu przejścia dla pieszych. Radny wezwał policję. Pojawił się też proboszcz. Powierzchnię ołtarza udało się zmniejszyć. Choć rzeczywiście utrudniał pieszym poruszanie się, czy usprawiedliwiała to równie ostre komentarze?

Jedna z facebookowiczek zauważyła, że przejawy niechęci do praktyk katolickich od dłuższego czasu wzmagają się właśnie w okolicach tego święta. „Boże Ciało to dla mnie smutne święto od paru lat. Jest ciepłe, przyjemne, niezależnie od tego, kto jak je decyduje się spędzać. Ale w mediach społecznościowych wybija bardziej niż zwykle hejt na tle religijnym. Dla mnie nie ma usprawiedliwionej mowy nienawiści, niezależnie od tego, na jakim tle. Wolność wyznawania religii bądź jej braku to jedno z praw człowieka” – napisała. Jej wpis także stał się okazją do gwałtownych sporów i ostrych komentarzy.

Część z nich nie uwzględniła tego, że konstytucja zapewnia każdemu wyznaniu swobodę praktyk religijnych, a każda grupa społeczna, po uzgodnieniu z władzami, może też manifestować swoje poglądy na ulicach.

Z badań socjologicznych wynika – jak zauważa Michał Bilewicz z Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW – że mowa nienawiści jest mniej dotkliwa pod warunkiem, że dotyczy grupy większościowej. – Hejt skierowany np. do Żydów w Izraelu czy wobec białych w Stanach Zjednoczonych nie będzie miał tak poważnych konsekwencji dla zdrowia psychicznego, jak wobec grup mniejszościowych. Hejt wobec osób religijnych może być dotkliwy, jeśli żyją w środowiskach niereligijnych. Być może tak już się dzieje w polskich dużych miastach – zauważa socjolog.

Kilka lat temu, gdy podniosły się głosy, że krzyż w miejscu publicznym mogą dyskryminować niewierzących, pracownia Bilewicza postanowiła to sprawdzić. Okazało się, że krzyż zawieszony w sali wykładowej nie wpływał na dobrostan psychiczny większości studentów, będących osobami obojętnymi religijnie. Poprawiał za to dobrostan wierzących. ©P



Centralna procesja Bożego Ciała pod przewodnictwem kard. Kazimierza Nycza. Warszawa, 30 maja 2024 r.

Indie: upały podgrzały politykę

KLIMAT ■ Aż 52,3 stopni Celsjusza: tyle na termometrach zobaczyli w śróde 29 maja pracownicy stacji meteorologicznej w miejscowości Mungeśpur na przedmieściach New Delhi. Odczyt był o 1,3 stopnia wyższy od dotychczasowego rekordu zarejestrowanego w Indiach wiosną 2016 r. – choć władze nie wykluczają awarii: w tym samym czasie inne stacje pomiarowe w okolicy zgodnie wskazywały nieco niższą temperaturę.

Meteorolodzy nie mają jednak wątpliwości, że tegoroczne indyjskie lato, zwłaszcza w centrum i na północnym zachodzie kraju, jest rekordowo upalne. Indyjskie Biuro Meteorologiczne wydało komunikat, w którym wstępnie ocenia, że w maju temperatura była aż o 6,5 stopnia Celsjusza wyższa od miesięcznej średniej z poprzednich lat. Z danych Narodowego Centrum Kontroli Chorób (NCDC) wynika, że w tym czasie odnotowano w całych Indiach 61 zgonów spowodowanych upałami i ponad 19 tys. przypadków udaru cieplnego. Dla terenów wokół stolicy, zamieszkiwanych przez około 30 mln osób, wydano alert o upałach zagrażających życiu. W kilku dystryktach wprowadzono limity zużycia wody. Za mycie samochodu grozi mandat w wysokości dwóch tysięcy rupii (ok. 100 zł).

Indyjskie lato, w hindi zwane *gar-mi ka mosam* (bliźniaczy przymiotnik *garm*, czyli gorący, z pewnością kojarzą miłośnicy kuchni wschodnich, często używający mieszanki przypraw *garam masala*), zaczyna się zwykle w kwietniu i trwa do pierwszych monsunowych deszczy, które zaczynają padać w czerw-

cu. W tym okresie z nieba zawsze leje się żar, na drzewach osiada żółtawy pył unoszony z pól, a o poranku widzialności nie zacierają charakterystyczna dla innych indyjskich pór roku wilgoć unosząca się w powietrzu.

Tegoroczne temperatury okazały się jednak na tyle wysokie, że zaczęły mieć wpływ także na politykę. Trwające od 19 kwietnia wybory do izby niższej indyjskiego parlamentu kosztowały życie 33 urzędników, którzy doznali udaru cieplnego w trakcie pracy w punktach wyborczych. W Radżasanie stanowy sąd wydał postanowienie, w którym wzywał władze centralne do ogłoszenia stanu wyjątkowego w związku z falą upałów.

Wybory zakończyły się 1 czerwca i wedle wstępnych sondaży dały zwycięstwo rządzącej Indyjskiej Partii Ludowej (BJP), choć nie tak spektakularne, jak zapowiadał jej lider, premier Narendra Modi. Koalicja pod kierownictwem BJP może liczyć na ok. 350 z 552 mandatów (w tym dwa mandaty obsadza prezydent). Modi przekonywał, że bez trudu zyska co najmniej 400 deputowanych, kierując się zapewne wynikami badań, które sugerowały, że zmiany klimatyczne, które upośledzają drobną produkcję rolną, jednocześnie skłaniają mieszkańców obszarów wiejskich do udziału w głosowaniach i do wyboru kandydatów wywodzących się z rolnictwa. Gorszy od oczekiwanych wynik BJP może świadczyć, że zdaniem wiejskich wyborców Indyjska Partia Ludowa coraz gorzej reprezentuje ich interesy.

© © MAREK RABIJ

Dzieci chłodzą się wodą podczas silnej fali upałów w New Delhi, 31 maja 2024 r.



MONEY SHARMA

Kościół katolicki dostanie mniej

FINANSE ■ Po raz pierwszy Kościół katolicki we Włoszech otrzyma z odpisów podatkowych mniej niż miliard euro. Od 1984 r. każdy z włoskich podatników może przeznaczyć na wybraną wspólnotę religijną – lub na finansowane przez państwo programy pomocy społecznej – 0,8 proc. rocznego podatku. To tzw. system *otto per mille* (osiem na tysiąc). W tym roku wpływy Kościoła katolickiego z tego tytułu wyniosły nieco ponad 910 mln euro. Zmniejszanie się corocznych wpływów odzwierciedla stopniowy, trwający od dłuższego czasu spadek liczby Włochów decydujących się przeznaczać ułamek podatku dochodowego na rzecz Kościoła katolickiego.

Wciąż jednak Kościół ten jest największym beneficjentem – wskazuje na niego ok. 70 proc. podatników dokonujących wyboru. Do uprawnionych wspólnot religijnych otrzymujących takie wsparcie oprócz katolików zaliczają się m.in. Kościół waldensów, Adwentyści Dnia Siódmego, Związek Włoskich Gmin Żydowskich, luteranie, baptyści, prawosławni, Włoska Unia Buddyjska i Włoska Unia Hinduistyczna.

Chociaż po katolikach islam jest obecnie drugą co do wielkości religią we Włoszech, jego wyznawcy nie korzystają z systemu *otto per mille*. Wiąże się to w dużej mierze z wewnętrznymi trudnościami wyłonienia jednej organizacji, która reprezentowałaby wszystkich wyznawców. W przeliczeniu na jednego członka wspólnoty w tym roku największe wpływy z odpisu podatkowego otrzymał Kościół waldensów. Aż 3 proc. zadeklarowanych podatników (czyli ok. 400 tys. osób) wybrało tę wspólnotę, mimo że do Kościoła waldensów należy jedynie 24 tys. osób. Prawdopodobnie sukces ten wiąże się z cieszącą się dużym powodzeniem telewizyjną akcją promocyjną wychwalającą dzieła charytatywne prowadzone przez waldensów.

Zgromadzeni na niedawnym zebraniu włoscy biskupi katolicki ogłosili, że z otrzymanego wsparcia 275 mln euro przeznaczonych zostanie na cele charytatywne. Część pieniędzy pójdzie na utrzymanie miejsc kultu i na wsparcie katechezy. Największa jednak suma – 389 mln euro – uzupełni pensje 40 tys. włoskich księży kwotą ok. 800 euro miesięcznie.

© © ARTUR SPORNIK

Orłosep z parapetu

PTAKI ■ Niezapowiedziane odwiedziny mogą być dużym zaskoczeniem dla gospodarza. Zwłaszcza jeśli gość jest wpisany do Czerwonej księgi gatunków zagrożonych, ma charakterystyczną bródkę i około 2,5 metra rozpiętości skrzydeł (ciut więcej niż nasz herbowy bielik). Taką właśnie wizytę przeżył pan Maciej z Poznania, któremu na kuchennym parapecie wylądował orłosep brodaty – jeden z największych ptaków Europy.

Nagranie stało się hitem internetu, a niektóre media prześcigały się w wyjaśnianiu, jak sobie poradzić z nowym zagrożeniem (nijak, orłosep żywi się głównie padliną, jest zupełnie nieszkodliwy). Dużo ciekawsze jest to, że dzięki współczesnej nauce dobrze znamy jego historię. Orłosepy prawie wyginęły w Europie, obecnie w Alpach trwa program odtwarzania tego gatunku, dzięki któremu 2 lata temu nasz niespodziewany gość wylądował na wolność we francuskim parku narodowym Grand Causses. Po drodze zaliczył już wizytę w ośrodku rehabilitacji dzikich zwierząt w Niemczech. Teraz orłosep-podróżnik (skrajnie zmęczony) został odłowiony i do-



MACIEJ MLECZKO / FACEBOOK

Orłosep w poznańskim mieszkaniu

chodzi do siebie w poznańskim zoo. O jego dalszych losach zdecydują biolodzy z Vulture Conservation Foundation.

To nie pierwszy raz, kiedy orłosepy pojawiają się w naszym kraju – ostatnia wizyta miała miejsce w 2018 r. Takie przypadki pokazują, że przyroda (podobnie jak my) nie działa według sztywnych reguł, i są rewelacyjnym materiałem do badań dla naukowców – zwłaszcza jeśli ptak ma obrączkę i nadajnik GPS. W raportach zbiera je Komisja Faunistyki Polskiego Towarzystwa Zoologicznego – to coroczny spis najdziwniejszych gości. Jeśli zdarzy się nam takie spotkanie, warto skontaktować się z lokalnym towarzystwem ochrony ptaków, nie zaszkodzi wystawić w pobliżu miskę z wodą – przypadkowi turyści mogą być wycieńczeni i potrzebować naszej pomocy.

W tym roku orłosep to niejedyna ornitologiczna sensacja w Polsce. W Dolinie Dolnej Skawy w Małopolsce zadomowił się... pelikan różowy. Ornitolodzy sądzą, że zawitał do Polski, bo podłączył się do wracających do kraju bocianów czarnych albo poddał się mocnym wiatrom znad Sahary. Po cóż się męczyć, lecąc pod prąd, gdy można być lokalną gwiazdą?

© © KRZYSZTOF STORY

Co się dzieje z jeżowcami na całym świecie

EKOLOGIA ■ Czterdzieści jeden lat temu populacja jeżowców *Diadema antillarum* z Morza Karaibskiego niemal wymarła, zaatakowana przez nieznanego wroga.

Zjawisko zaniepokoiło biologów morskich, ponieważ jeżowce są kluczowymi roślinojercami na rafach koralowych. Oczyszczając je z glonów, robią miejsce dla koralowców, których szkielety tworzą rusztowania tych bogatych ekosystemów, będących miejscem życia milionów morskich stworzeń.

W 2022 r. dramat karaibskich jeżowców, które zdołały w końcu odtworzyć populację, się powtórzył, ale tym razem, jak dono-

szą w „Current Biology” Lachan Roth i współpracownicy, zaraża rozlała się na cały świat i objęła większą liczbę gatunków. Na przełomie 2022 i 2023 r. zaobserwowano, że wymiera pewien gatunek jeżowców w zatoce Akaba, potem niemal zniknęły populacje kilku kolejnych gatunków z wybrzeża Izraela, Egiptu, południowego wybrzeża Półwyspu Arabskiego, a także Morza Czerwonego i Oceanu Indyjskiego.

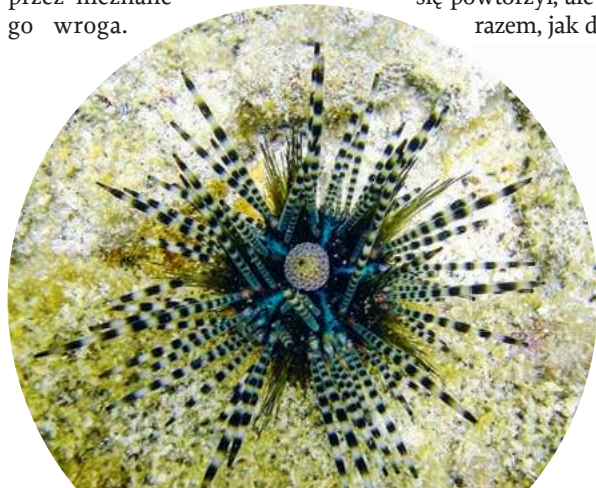
Tym razem badaczom udało się znaleźć głównego podejrzanego: jajowatego orzęska z grupy *Scuticociliate*. U większości chorych jeżowców – i u żadnego zdrowego – w próbkach pobranych z różnych miejsc znaleziono tego mikroba. Infekcja ma gwałtowny przebieg: w ciągu 2-3 dni zaatakowane jeżowce tracą kolce, a potem rozpadają się na kawałki. Na kolejnych

rafach całe populacje jeżowców znikają zaledwie w 2-3 tygodnie.

Autorzy badania podkreślają w swoim raporcie, że rafa koralowa z Morza Czerwonego jest unikalna w skali świata – ponieważ dotąd nie dotyczyła jej zjawisko blaknięcia, związane z obumieraniem koralowców z powodu podnoszenia się temperatury wody. Przy pomorze jeżowców na rafie mogą jednak nadmiernie mnożyć się glony, co może prowadzić m.in. do uduszenia się koralowców, a także spadku bioróżnorodności.

Wymieranie jeżowców w kolejnych lokalizacjach zaczynało się od miejsc znajdujących się w pobliżu portów morskich, co sugeruje, że śmiercionośne dla tych organizmów orzęski podróżują jako pasażerowie na gapę na statkach.

© © ŁUKASZ KWIATEK



DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

ZAPOMNIANA WOLNOŚĆ

Dziś naszą wyobraźnię meblują marazm, nierówności i polaryzacja. Pora odzyskać różnorodne opowieści o wolności, równości i braterstwie, na których zbudowana była Solidarność. Bo ona ma przyszłość.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

ZATRUDNIENI „NA STREFIE” NAJBARDZIEJ bali się telefonów. Nie dzwoni – fatalnie, bo to oznacza, że akurat nie ma roboty. A jak nie ma roboty, to nie będzie i pieniędzy. Jak zadzwoni – też niedobrze. Trzeba rzucać wszystko i lecieć. Teraz, już, natychmiast, bo akurat jest praca.

„Przeważnie idziesz tam na podfirmę, nie masz umowy o pracę, tylko śmieciówki” – opowiadał mi Bartek (imię zmienione). On sam miał szczęście. Udało mu się bez pośrednika zatrudnić w jednej z fabryk. To było coś! Nie musiał, jak inni, wpatrywać się w telefon. Mógł sobie jakoś zaplanować czas. Przynajmniej w teorii. Bo w praktyce grafik był zupełnie szalony. System czterobrygadowy, zmiany w ostatniej chwili. No i praca strasznie ciężka. Czasem po kilka godzin przerzucał kartony. A każdy taki karton to 56 kilo. Ale Bartek był młody i krzepki, lubił ćwiczyć. „Dam radę!” – myślał.

Na koniec miesiąca poszedł odebrać wypłatę. Wszyscy mówili, że wtedy „na strefie” wyciągało się spokojnie dwa tysiące. W kopercie znalazł 1280 zł. I zaraz zaczął liczyć: „Jak tam dojeżdżałem z takimi chłopakami, to oni brali 2 zł w jedną stronę... No to tę końcówkę już sobie na dojazd obciąłem – zostaje 1200...”. Potem jedzenie: „Przy takim wysiłku tracisz energię, żeby nie schudnąć, to trzeba jeść więcej...”. Odszedł po pierwszym miesiącu.

Wolał, jak wielu innych, spróbować szczęścia w biedaszybie.

Dekadę temu w trakcie badań terenowych w Wałbrzychu odbyłem dziesiątki godzin podobnych rozmów. Prowadziłem wywiady z pracowniczkami i pracownikami Specjalnej Strefy Ekonomicznej, byłymi górnikami, bezrobotnymi i kopaczami z biedaszybów. We wszystkich powracały te same motywy: rozgoryczenie, poczucie wykluczenia i braku sprawczości, przekonanie, że ktoś ich oszukał. Nawet młodzi, tacy jak Bartek, którzy nie zakosztowali pracy w kopalniach przed rokiem 1989, transformację ustrojową opisywali wyłącznie w kategoriach negatywnych.

4 czerwca był dla nich synonimem zdrady. Początkiem czasu marazmu.

Czarna i biała legenda

Specjalnie zaczynam od tego Wałbrzycha. Tamte rozmowy przypominają mi się za każdym razem, gdy w recenzjach naszego musicalu „1989” czytam, że wszystko fajnie, pięknie, świetnie tańczą, doskonale śpiewają, ale jak nam nie wstyd tworzyć „pozytywny mit” transformacji? Co z byłymi górnikami, mieszkańcami popegeerowskich wsi? Co z milionami ofiar balcerowiczowskich reform i turbokapitalistycznych przemian lat 90.? Są kręgi, w których o transfor-

macji wypada mówić wyłącznie źle albo wcale.

Są też i inne, w których z kolei wobec przemian ustrojowych nie wypada formułować jakichkolwiek wątpliwości, bo zostaje to uznane albo za „obronę komuny” albo „wpisywanie się w prawidłową narrację o zdradzie”. Te dwie legendy transformacji – czarną i białą – choć biegunowo przeciwne, łączy niechęć do podzielenia wydarzeń na wiele części, spojrzenia na nie równocześnie z odmiennych perspektyw.

Z Katarzyną Szynięrą i Mirkiem Wleklým marzyło nam się (podobnie jak Michałowi Przeperskiemu w książce „Dzikie Wschód” i publikowanej obok rozmo-





BARTĘK BARCZYK / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU IM. J. SŁOWACKIEGO

Scena ze spektaklu „1989”, reż. Katarzyna Szynigiera, Teatr im. Juliusza Słowackiego, Kraków, 2 grudnia 2022 r.

wie) usunięcie z transformacji ustrojowej czarno-białego filtru. Dlatego ostatnie trzy lata spędziliśmy na zupełnie innych rozmowach niż te z Wałbrzycha. Najpierw pracowaliśmy nad musicaliem „1989”, a potem przez kolejny rok nad książką „1989. Pozytywny mit”, przedstawiającą polifoniczną historię ostatniej dekady PRL (właśnie ukazała się nakładem Znak). Sporo się przy tej pracy dowiedzieliśmy o wolności, równości i braterstwie, które składały się na etos Solidarności.

Wolność

Przez całe lata 80. ubiegłego wieku zakłady pracy stanowiły scenografię kluczowych wydarzeń. Tu też robotnikom

towarzyszyły strach i niepewność. Mieli jednak coś, co odebrano górnikom z Wałbrzycha i pracownikom zamykanych fabryk w całej Polsce: poczucie wspólnotowej sprawczości.

W pracy stawali się kolektywem. To była pierwsza myśl Wałęsy, kiedy jako młody chłopak stanął w bramie stoczni: „Niby jesteś tylko śrubką, małą częścią całego tego mechanizmu, ale mimo to jesteś siłą. I ludzie podświadomie to czują”. Kiedy potem w sierpniu 1980 r. stocznia stała się oblężoną twierdzą, ta wspólnota pracy zmieniała się we wspólnotę oporu. Wsparcie odczuwały całe rodziny. Także żony stoczników, które – jak Danuta Wałęsa – zostały

w domach, by opiekować się dziećmi. „Nigdy nie zaznałam tyle, co w tamtym czasie, życzliwości, miłości, dobroci” – opowiadała nam żona lidera Solidarności. Obcy ludzie odwiedzali ją w domu, przynosili mleko, kaszę, mąkę, owoce, proszek do prania, pieniądze. Jak nie mieli co przynieść, to dzielili się przynajmniej dobrym słowem.

Ale dopiero kiedy jechała do męża do stoczni, czuła, że wkracza na bezpieczny, przyjazny teren. „Jak wyglądałby świat, gdyby wszyscy byli tacy, jak w Sierpniu ’80?” – pyta retorycznie pani Danuta. – „Spontaniczność, przyjaźń, zrozumienie, solidarność – to było coś najpiękniejszego w życiu”.



→ W rozmowie z nami wtóruje jej Henryka Krzywonos-Strycharska – ta, która zatrzymała tramwaj, a potem uratowała upadający strajk: „Najcudowniejsza była w tym atmosfera. Przyjaźnie zawiązywały się na całe życie!”.

Gdy myślimy o wolności, zwykle intuicyjnie przeciwstawiamy ją niewoli. Wolność rozumiemy jako brak ograniczeń. Istnieje też inne rozumienie wolności, trudniejsze do zdefiniowania. Nie chodzi tylko o „zrzucenie kajdan”, lecz o poczucie sprawczości i sensu. Zryw Solidarności to właśnie moment odzyskania tak rozumianej wolności. Okres poczucia sprawczości i świadomości, że coś od nas zależało. Ośrodkiem tak rozumianej wolności stały się zakłady pracy i prywatne mieszkania. Przestrzenie, w których nieustannie debatowało się o możliwościach i zdarzały się różne koncepcje. Z wolnością łączyły się poczucie godności i własnej wartości.

Tym boleśniejszy okazuje się potransformacyjny uwiąd tego poczucia sprawczości. Opisywane przez socjologów przejście w dryf i związane z nim poczucie pustki. To ważne transformacyjne doświadczenie, które zasługuje na opowiadanie. Ale nie rozumiemy w pełni, w jak głęboką przepaść strącono robotników w całej Polsce w latach 90., jeśli najpierw nie odtworzymy szczytu, na który wspięli się podczas solidarnościowej rewolucji.

Te dwa doświadczenia trzeba rozważyć oddzielnie, by potem scalać je w sensowną całość.

Równość

A teraz o zupełnie innym telefonie. Na jego dźwięk też czekało się z niepokojem.

39-39-64 – najbardziej znany prywatny numer w PRL. To telefon do żoliborskiego mieszkania Jacka i Gajki Kuroniów. Dzwoniło się, żeby poinformować, że kogoś pobito lub aresztowano, że gdzieś zaczął się strajk, że potrzeba wsparcia. Nigdy nie wiadomo było, kto odbierze – czasem sam Kuroń, częściej Gajka, jej siostra lub ktoś z dyżurującej przy telefonie młodzieży. Wszystkie informacje zapisywano w specjalnych zeszytach. Rodzeństwo Gajki po latach opowiadało nam, że zachodni dziennikarze nazywali ten telefon „polską sekcją CIA”.

To było prawdziwe centrum informacji i solidarności. Olbrzymia różnica między sierpniem 1980 r. a tragicznym grud-

Nie rozumiemy w pełni,
w jak głęboką przepaść
strącono robotników
w całej Polsce w latach 90.,
jeśli najpierw nie odtworzymy
szczytu, na który wspięli się
podczas solidarnościowej
rewolucji.

niem 1970 r. polegała na tym, że tym razem robotnicy mieli wsparcie inteligencji. Funkcjonowało całe to centrum informacyjne, dzięki któremu możliwe było koordynowanie działań na skalę ogólnopolską, a także informowanie zachodniej prasy o represjach.

Telefon był, oczywiście, na podsłuchu. Ale ubecja raczej niewiele się z niego dowiedziała. I bez podsłuchiwanie Kuroniów dobrze wiedzieli, kogo akurat pobito, w którym domu przeprowadzono rewizję albo gdzie spacyfikowano protest.

Ten brak barier i legendarna wręcz dostępność Kuronia wynikały wprost z jego filozofii. Dla Kuronia miarą jakości systemu nie był sukces najsilniejszych, lecz – przeciwnie – to, jak radzą w nim sobie ci najsłabsi. Grzechem pierworodnym panującej w PRL władzy było odcięcie się od zwykłych ludzi. Można więc powiedzieć, że ten telefon, na który robotnicy dzwonili do Kuroniów, to symbol ideałów równości tak ważnych dla Solidarnościowej rewolucji.

W PRL łatwiej było o nich pamiętać. O równości przypominały nieustannie takie same stoliki i meblościanki, taka sama herbata pita z identycznych szklanek, takie same ubrania, a zwykle też mieszkania na tych samych osiedlach. Przy pracy nad książką i musicalem te szczegóły były dla nas niezwykle istotne.

Tymczasem smutnym symbolem przemian lat 90. stały się osiedla grodzone. Telefony były wprawdzie znacznie bardziej dostępne niż za PRL, ale już prywatne numery stały się pilnie strzeżoną tajemnicą. To, do kogo możemy zadzwonić (albo kogo mamy „wśród znajomych” w mediach społecznościowych), stało się dziś miarą prestiżu i przynależności środowi-

skowej. Do tego stopnia, że coraz większą popularność zdobywa wśród socjologów definicja klasy wyższej: należy do niej osoba, która ma w telefonie bezpośrednio numery do lekarzy i prawników.

W latach 90. równościową filozofię Kuronia (która pierwotnie była dominującą filozofią całej Solidarności) zamieniono na paradygmat kapitalistycznej walki o dominację, w której coraz częściej zwycięzca bierze wszystko. Nikt nie chce pamiętać o przegranych. Nie odbieramy, gdy dzwonią.

Braterstwo

To jeszcze trzeci telefon.

Jest lipiec 1989, tuż po zwycięskich dla opozycji wyborach, których okrągłą rocznicę właśnie świętujemy. Adam Michnik rzuca hasło „wasz prezydent, nasz premier”. Tadeusz Mazowiecki jest sceptyczny. Chwyta więc słuchawkę i dzwoni do Jarosława Kaczyńskiego – wówczas doradcy Wałęsy. Nie wie, że Kaczyński ma już plan. To on, jako jeden z pierwszych w demokratycznej opozycji, rozpoznał poprawnie sytuację. Władza leży na ulicy – trzeba ją przejąć, nim komuniści się odbudują. Solidarność musi mieć swojego szefa rządu. A najlepszym premierem, który potencjalnie nie zagroziłby pozycji Wałęsy, byłby ten, kto najmniej się do premierostwa pali, a więc... Tadeusz Mazowiecki.

Kaczyński odebrał telefon i zaprosił Mazowieckiego na rozmowę w Hotelu Europejskim, gdzie Wałęsa zaproponował mu fotel premiera. Mazowiecki propozycję przyjął. Zaraz jednak oświadczył, że nie będzie premierem malowanym, a potem rzucił Wałęsie rękawicę w wyborach prezydenckich. Tak zaczęła się niesławna wojna na górze.

Telefony między Wałęsą a Mazowieckim zamilkły. Wkrótce zresztą Wałęsa przestał też odbierać połączenia od braci Kaczyńskich (choć podobno uwielbiał gadać przez telefon i już jako prezydent chętnie podnosił słuchawkę przypadkowo dzwoniącego telefonu, żeby tylko sobie z kimś pogawędzić; zdziwionych ludzi dopiero na koniec rozmowy informował, z kim mieli przyjemność).

Jest w tym ironia. Przez całą dekadę opozycjoniści nie mogli żadnych planów omawiać przez telefon, bo wszystkie istotne linie były na podsłuchu. Po przełomie, gdy już mogli rozmawiać spokojnie,

nie mieli sobie nic do powiedzenia. Zerwała się łącząca ich więź. Zniknęło gdzieś to sierpniowe braterstwo.

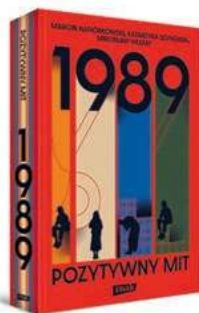
Ale może właśnie tak musiało być? Przecież ludzie Solidarności walczyli z komunizmem po to, żeby wprowadzić pluralizm polityczny, a nie po to, żeby stworzyć wokół związku nową monopartię (i znów Jarosław Kaczyński był pierwszym, który sformułował to spostrzeżenie wprost!).

Triumf roku 1989 możliwy był dzięki przyjaźni, zaufaniu i współpracy między bardzo różnymi ludźmi. Prawicowcami i lewicowcami, robotnikami i inteligentami, zwolennikami różnych programów gospodarczych i różnej dynamiki zmian. Ale to był czas wyjątkowy, czas rewolucji. Następnym koniecznym krokiem była budowa normalnej rzeczywistości politycznej. A ta opierała się na przełamaniu monopolu politycznego – świadomym ujawnieniu i wyrażeniu podziałów. Dlatego właśnie, choć to smutne, opowieść o narodzinach III RP jest zarazem opowieścią o rozpadzie przyjaźni (a przynajmniej sojuszu) między jej twórcami.

Sztuczki pamięci

Pamięć jest podstępna. Naukowcy ciągle starają się zrozumieć, jak właściwie działa. Nieco światła rzuca seria genialnych eksperymentów przeprowadzonych przez psychologa Daniela Kahnemana. Kahneman i jego współpracownicy mierzyli zadowolenie (lub ból, czyli odwrotność zadowolenia) w trakcie wykonywania różnych czynności, a także po nich. Odkryli w ten sposób, że wspomnienie przyjemnej bądź bolesnej sytuacji nie było po prostu średnią doświadczeń z całego jej przebiegu, lecz wyraźnie faworyzowało dwa momenty: najlepszy/najgorszy (szczyt) oraz zakończenie.

Na przykład w jednym z eksperymentów badanym polecono trzymać rękę w misce z lodowatą wodą. To bolesne doświadczenie trwało kilkadziesiąt sekund. Potem ciepły ręcznik, chwila odpoczynku i drugie podejście. Tym razem uczestnicy spędzili tyle samo czasu, mocząc dłoń w zimnej wodzie, ale na koniec sprytny mechanizm dołał do naczynia nieco ciepłej wody, a zegar doliczył badanym kilkadziesiąt dodatkowych sekund. Czyli oprócz bólu z pierwszego eksperymentu dostali jeszcze dawkę mniejszego



Marcin
Napiórkowski,
Katarzyna
Szyngiera,
Mirosław Wlekły
**1989. POZYTYWNY
MIT**
wyd. Znak,
Kraków 2024

cierpienia gratis. Kiedy zapytano badanych, który wariant procedury woleliby powtórzyć, ku zaskoczeniu naukowców niemal wszyscy wybrali numer dwa. Choć „obiektywnie” doświadczali wtedy więcej cierpienia, ich mózgi zarejestrowały, że przygoda „skończyła się lepiej”, i błędnie oceniły ją jako mniej bolesną.

Znany jest w literaturze odwrotny przykład dotyczący wspomnień z wakacji. Nawet jeśli przez cały urlop doświadczaliśmy miłych wrażeń, to nerwowo ostatni dzień, pospieszne pakowanie i powrót w korkach lub opóźniony samolot sprawia, że nasze całokształtowe wspomnienie z wyjazdu będzie negatywne.

Tak już zbudowany jest nasz mózg, że szczególną wagę przywiązujemy do zakończeń. Jesteśmy w stanie kompletnie stracić obiektywne rozeznanie sytuacji i nieświadomie przeprogramować pamięć całego doświadczenia pod wpływem negatywnego zakończenia lub – przeciwnie – happy endu.

Z pionierskich badań Kahnemana wyrósł dziś cały nurt badań dotyczących indywidualnego i zbiorowego poczucia szczęścia. Okazuje się, że zależy ono od opowieści, które snujemy o naszym życiu, i sensu, jaki mu w ten sposób nadajemy. Zakończenia odgrywają w tych opowieściach kluczową rolę.

Wygląda na to, że nasza zbiorowa pamięć o wydarzeniach lat 1980-1989 padła ofiarą tego właśnie efektu. Wszystko, co wydarzyło się w tej szczególnej dekadzie, oceniamy i rozliczamy przez pryzmat „finału”, który lokujemy w latach 90.

Marazm upadłych pegeerów i fabryk kompletnie wyparł z naszej pamięci czas poczucia wolności i sprawczości. Rosnące nierówności, bieda i wykluczenie sprawiły, że zapomnieliśmy o dekadzie równości i wiary w awans, współpracę i solidarność społeczną. Braterstwo kompletnie zatarło się w naszej pamięci, bo wyobrażonym finałem wydarzeń z lat 80.

stał dla nas nie 4 czerwca 1989 r. – data pusta, prawie w zbiorowej wyobraźni nieobecna – lecz 4 czerwca 1992 r., czyli niesławna noc teczek. Symbol polsko-polskiej wojny, zdrady i rozczarowań.

Jak odzyskać solidarność

Jest na to rada wynikająca bezpośrednio ze wspomnianych badań. Kompartmentalizacja to zabieg polegający na rozdzielaniu wspomnień na oddzielne historie. Stosowany świadomie, może nam pomóc odzyskać kontrolę nad pamięcią i spojrzeć na zjawiska z różnych perspektyw.

Na przykład rodzina, której wakacyjne wspomnienia zrujnował fatalny powrót, może zmienić swoje postrzeganie sytuacji, rozpatrując drogę do domu nie jako „finał wakacji”, lecz jako oddzielne doświadczenie (albo pierwszy dzień „szarej codzienności”). Badania pokazują, że można w ten sposób odzyskać poczucie radości i energii, zmniejszyć frustrację i zwiększyć gotowość do wspólnego poszukiwania twórczych rozwiązań.

Z tego samego powodu warto odzyskać 4 czerwca 1989 r. jako datę graniczną. Dostrzec w nim nie tylko początek lat 90., lecz również koniec lat 80. Moment triumfu, który zamyka okres walki, kiedy to Solidarności udało się odnieść bezprecedensowy sukces.

Dlatego potrzebujemy dziś innej pamięci o Solidarności. Nie po to, żeby spojrzeć na laurach i gratulować sobie sukcesu. Przeciwnie – po to, żeby skutecznie zmieniać otaczający nas świat. Bo badania nad pamięcią pokazują jeszcze jedno. Gra ona kluczową rolę nie w naszym stosunku do przeszłości, której już i tak zmienić nie możemy, lecz wobec przyszłości. Indywidualna i zbiorowa przeszłość dostarcza nam scenariuszy pokazujących możliwości zmieniania świata lub ich brak.

Pora przypomnieć sobie, że możliwy był kiedyś świat, w którym obowiązywała wyskandowana w musicalu „1989” maksyma: „nie zostawiamy w tyle swoich ludzi”. © MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Autor jest doktorem habilitowanym, badaczem mitologii współczesnej i pamięci zbiorowej, stałym współpracownikiem „Tygodnika”. Współautor musicalu „1989”, koprodukcji Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie i Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego, wyemitowanego właśnie w Teatrze Telewizji.

Transformacja bez lukru

MICHAŁ PRZEPERSKI, HISTORYK:

Obecna Polska ma miliony słabości, lecz końcówka PRL-u niosła ich miliardy. No i trudno było za komuny powiedzieć, że to nasze państwo.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: To dobry moment, by napisać książkę o transformacji ustrojowej?

MICHAŁ PRZEPERSKI: Idealny – od pierwszych półwolnych wyborów w Polsce minęło 35 lat. Coraz bliżej do momentu, w którym wszyscy się zgodzimy, że to już historia.

I trzeba ją opisać, póki żyją świadkowie?

Spokojnie, tych długo nie zabraknie. Natomiast impulsem do napisania książki „Dziki Wschód. Transformacja po polsku 1986-1993” była niezgoda na spolaryzowane narracje towarzyszące historycznym faktom, takim jak choćby obrady Okrągłego Stołu. Pierwszej narracji towarzyszy przekonanie, że to była zdradziecka sprzedaż ideałów Solidarności, drugiej – że to porozumienie mądrych, a wszystko odbyło się elegancko i bezboleśnie.

To, o czym Pan mówi, świetnie pokazuje nastroje w mojej rodzinie. Ojciec, członek Solidarności, wyrażał sceptycyzm wobec tego, że opozycja zaczyna rozmowy z komunistami. Ja byłem przy Okrągłym Stole z ramienia Federacji Młodzieży Walczącej. Co nie zmienia faktu, że i rodzice, i ja z bratem po raz pierwszy poszliśmy do wyborów 4 czerwca 1989 r.

To był ten moment, w którym z przymusu milczący przez lata Polacy poszli głosować, mówiąc, że mają dość komuny. A zatem prawdziwie historyczny przełom, tym bardziej doniosły, że ostatnie demokratyczne wybory w Polsce odbyły się jesienią 1922 r.

Sam urodziłem się w 1986 r., siłą rzeczy tych wydarzeń pamiętać nie mogę. „Dziki Wschód” jest więc próbą kompletnie innego spojrzenia na ten złożony i niejednoznaczny proces.

Z dystansu?

Jakub Dymek napisał, że w Polsce dyskusja o transformacji sprowadza się często do obrony własnych biografii oraz do tego, kto ma prawo w pełni czerpać z dobrobytu III RP. Jestem pewien, że warto przełamać tę logikę. I zobaczyć różne fenomeny: gorączkową aktywność Polaków, ich zaradność, ich rozczarowania. Zwłaszcza że przejście od kapitalizmu do socjalizmu było w dziejach znane, odwrotnie nie.

Utrzymuje Pan, że początek zmianom dał 1986 r. Wybuchła wtedy elektrownia jądrowa w Czarnobylu, a w Polsce Jaruzelski wypuścił większość więźniów politycznych.

W ówczesnej publicystyce pojawiło się sformułowanie „mużułmani”, zaczerpnięte z opisów życia w obozach koncentracyjnych. Dlaczego? Bo pod koniec PRL-u ludzie byli umordowani wiecznym brakiem, kolejkami, pustymi półkami. Jedna z bohaterek „Dzkiego Wschodu” opowiada, jak z mamą stała w kolejce po kawę. Sklep miał specyficzne położenie: przy drodze z kościoła na cmentarz. Żalobnicy, zorientowawszy się, że kolejka stoi po deficytową kawę, jak gdyby nigdy nic opuścili kondukt i do niej dołączyli. Absolutnie nikt nie uznał tego za niegodziwość. To był czas, kiedy z ludzi uszła nadzieja na pozytywny bieg spraw. A zbankrutowanemu państwu obywatel nie umiał zaufać. Powszechne było przeświadczenie: lekarz cię otruje, milicja obije, w cukierni złapiesz salmonellę, w szpitalu żółtaczkę. Polska gniła.

Moralnie?

Też. Łapownictwo, oszustwo, kradzież w miejscu pracy były na porządku dziennym. Dzisiaj nie musimy się przekonywać, że to jest naganne. Znajomi lewicy badacze często narzekają, że III RP



nie dotrzymuje obietnic, że znacznie lepszą opiekę socjalną zapewniało państwo w końcówce PRL-u. Tylko że to nieprawda. Obecna Polska ma bowiem miliony słabości, lecz końcówka PRL-u niosła ich miliardy. Przede wszystkim trudno było za komuny powiedzieć, że to było nasze państwo. Bo obywatele nie mieli w nim nic do powiedzenia. Wyjątek stanowiła garstka partyjniaków i strupieszających esbeków.

Skoro PRL był do tego stopnia gospodarczo niewydolny, sam by się nie rozmontował?

To myślenie ówczesnych i późniejszych radykałów. Twierdzili, że trzeba było poczekać, nie siadać do Okrągłego Stołu. Że parę miesięcy później doszłoby do rewolucji, przede wszystkim młodzież by się wzburzyła, zaprotestowała. Twierdzą, że może to byłoby możliwe w dużych miastach – w Warszawie, Krakowie, Gdańsku, lecz w Łomży, Małkini czy w Grudziądzu, z którego pochodzę, opozycja nie istniała. Młodzież oglądała się głównie za tym, by wyjechać do Reichu i tam przykombinować.

Nic więc nie wskazywało na to, że państwo się zupełnie załamie. Realną opcją



Plac przed kawiarnią „Niespodzianka” na warszawskim MDM-ie, wówczas nieformalną siedzibą sztabu wyborczego Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie w dzień wyborów 4 czerwca 1989 r.

pracowników Państwowych Gospodarstw Rolnych. W prasie i w telewizji pokazywano ich jako tyleż śmiesznych, co groźnych. Złych, sfrustrowanych, roszczeniowych. Odpadki transformacji, niepożądany element w modernizującym się państwie. Nikt wtedy nie miał poczucia, że to jest nie okej. Tymczasem przekształcenia własnościowe, cięcia w wydatkach socjalnych, zamykanie zakładów pracy, masowe zwolnienia – to wszystko musiało prowokować do protestów.

W samym roku 1992 r. w Polsce zorganizowano ich ponad sześć tysięcy.

Weźmy znamieny przykład z fabryki ciężarówek w Starachowicach. Zwalniani robotnicy byli przedmiotem badań socjologicznych, dostawali do wypełnienia ankiety. Wielu nie radziło sobie z prostymi formularzami, co pokazuje, że byli fatalnie wykształceni. Ale ta dyskursywna pogarda? Automatycznie nasuwa się pytanie, kto za nią ponosi odpowiedzialność?

Inteligencja.

Która próbuje zrobić rachunek sumienia. Przykładem głos Marcina Króla, który w „Byliśmy głupi” pisze o tym, jak w czasie transformacyjnym byliśmy zaślepieni, niedoświadczeni i niewyobrażalnie naiwni. Odpowiedzialność inteligencji jest tu wyjątkowa i nie da się jej zbyć jednym esejem. Choć inna sprawa, że wszyscy – komuniści i opozycjoniści, elity i zwykli zjadacze chleba – wierzyli w to, że Ameryka podaruje dolary, dzięki którym polska gospodarka ruszy z kopyta. Polepszy się codzienność, pojawią się nowe inwestycje, usługi itd. A jakie były realia? Porozumienia polsko-niemieckie z 1991 r. zakładały fundusze dla nas w wysokości 500 milionów marek. No przepraszam: co to w ogóle są za pieniądze?

No dobrze, a te elity?

Nieempatyczne od prawa do lewa. W 1997 r. Włodzimierz Cimoszewicz do ludzi, którzy w powodzi tysiąclecia →

było to, że komuniści dalej by nim rządili. A jeśli w Moskwie pojawiłyby się aparatczyki zmęczony reformami Gorbaczowa i powiedziałby: „Dosyć tej głośności, bierzemy wszystko za mordę”, to u nas też by się pojawił ktoś, kto ponownie oparłby się na wojsku i esbekach.

Gorbaczow jest więc głównym architektem polskiej transformacji?

Nie. I nie są też nimi polskie elity komunistyczne, opozycyjne, społeczeństwo i Kościół. Za architektów uznałbym przede wszystkim tych, którzy na przełomie lat 80. i 90. nadawali ton globalnemu łaadowi. Czyli instytucje finansowe: Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy. Oraz władze USA – administracje republikańskie Ronalda Reagana i George’a Busha.

A kto jest największym beneficjentem transformacji?

Chyba ci, którzy w jakimś sensie dostali Polskę do zagospodarowania po upadku komuny. Którzy objęli stanowiska ministerialne i dyrektorskie. Którzy nadali ton debacie publicznej. Jeżeli w Polsce spojrzysz się na nazwiska najważniejszych współczesnych polityków, to są

one obecne w dyskursie medialnym właśnie od lat 90.

Donald Tusk i Jarosław Kaczyński?

Z pewnością to właśnie oni konsekwentnie opowiadają nam historię tego, po co zdarzyła się transformacja, przeciwko czemu była i kto z niej czerpał korzyść. Moja książka może im się w niektórych fragmentach nie podobać, zwłaszcza tam, gdzie kwestionuję czarno-białą logikę zmian i widzę głównie odcienie szarości.

A transformacyjni przegrani?

Chłopi, robotnicy, emeryci. W latach 90. poniżeni i dyskursywnie wypłuci. Magda Szczęśniak w kapitalnej książce „Normy widzialności. Tożsamość w czasach transformacji” pokazała, jak nagle można było stać się w Polsce niewidzialnym. Oto robotnicy: do roku 1989 byli wszędzie, właściwie w nadmiarze, stanowili dyskursywną rację bytu państwa komunistycznego.

Jednym z najtrudniejszych doświadczeń badawczych w trakcie pracy nad „Dzikim Wschodem” było uświadomienie sobie, że w tamtym czasie powszechna i akceptowalna stała się pogarda. Dobrze ją widać na przykładzie

→ stracili dorobek życia, był w stanie tylko powiedzieć, że trzeba się było ubezpieczyć. To nie był moment, by poszkodowanym dawać złote rady. Na drugim biegunie stała Unia Wolności, z którą sympatyzowało się w moim domu, ale prawdę powiedziawszy to była partia z gębą profesorskich mądrali wypowiadających się piękną polszczyzną, w której słyszalna była nuta arogancji.

W tym wszystkim społeczeństwo więzi?

Degradują się. Symboliczne jest to, że w latach 90. ludzie przestają się odwiedzać, a jeszcze w PRL-u normą było składanie wizyt bez zapowiedzi. A w latach 90. czas był odmierzany w zupełnie innym tempie – stał się pieniądzem. Ludzie mniej się sobą interesowali, rzadziej się spotykali, oddalali się od siebie.

Z tego deficytu mogła się brać tęsknota za PRL?

Ludzie za nim nie tęsknili. Komunizm, rozumiany jako struktura władzy w Polsce między II wojną światową a 1989 r., przyjął się bardzo słabo. Zawsze był odbierany jako coś narzuconego. Ale wbrew temu, co lubimy o sobie myśleć, nie jesteśmy narodem wiecznych powstańców: potrafimy się przystosować i przetrwać. Końcówka lat 80. pokazuje, że sporo ludzi potrafiło sobie dać radę mimo tego, że lata komuny stworzyły określone uwarunkowania i przyzwyczajenia. Drobnym przemysł w celach han-



Michał Przeperski
**DZIKI WSCHÓD.
TRANSFORMACJA
PO POLSKU
1986-1993**
Wydawnictwo
Literackie,
Kraków 2024

dlowych stał się sposobem na życie dla setek tysięcy rodaków!

Pan mówi, że Polacy nie tęsknili za PRL, ale to właśnie w 1993 r. w wyborach do parlamentu zwyciężyli postkomuniści. Na scenie politycznej pojawiają się te same nazwiska, co za komuny: towarzysz Miller i towarzysz Kwaśniewski.

Wybory z 1993 r. to jednak przykład tego, że demokracja pod naszą szerokością geograficzną zaczęła działać. Społeczeństwo okazało się sprawcze. Dojrzałe.

Litości! Wynik tych wyborów to jedno z moich największych obywatelskich rozczarowań.

Postkomuniści wygrali z kilku powodów. Jednym był na pewno rebranding i to, że zaczęli „wybierać przyszłość”. Twarz Kwaśniewskiego była jednak twarzą młodego, dynamicznego, ciekawie mówiącego polityka, który był w PZPR

i w rządzie Rakowskiego, ale potrafił stworzyć wrażenie, że jest człowiekiem niewykłanym w dawny układ. Bardzo zgładnie mu to wyszło.

Ale do tego dochodziły nieporadność i skrajne skłócenie sił postsolidarnościowych. Poważne konflikty, np. pomiędzy Lechem Wałęsą i Unią Demokratyczną, o to, kto będzie grał pierwsze skrzypce w krajowej polityce. Jak patrzę na to dziś, mam przeświadczenie, że siły postsolidarnościowe były przekonane, iż będą rządzić Polską przez lata. Tak samo zresztą, jak komuniści początkowo byli przekonani, że czeka ich długi pobyt w politycznym czyszceniu.

Pycha zgubiła postsolidarnościowców?

Po części. Bo nad tymi dwiema kwestiami góruje trzecia, najważniejsza. To koszt, który siły postsolidarnościowe musiały zapłacić za swój reformatorski zapał. Z tym zastrzeżeniem, że gdyby siły postsolidarnościowe wystąpiły zjednoczone, a nie podzielone, to wynik wyborów z 1993 r. z pewnością nie byłby tak jednoznaczny.

A co z etosem Solidarności?

Zaczął się zużywać od momentu wprowadzenia stanu wojennego, który podciął skrzydła ludziom przez 16 miesięcy cieszącym się bezprecedensową swobodą. Jasne, wielu solidarnościowych liderów wiedziało doskonale,

REKLAMA

NOWOŚĆ



KRYSZYNA BUDNICKA

Ocalałam

Rozmowa rzeka z jedną z ostatnich ocalałych z warszawskiego getta.

NOWOŚĆ



ZBIGNIEW NOSOWSKI

Szare, a piękne

Rekolekcje o codzienności i przeżywaniu zwyczajnego życia w nadzwyczajny sposób.

NOWOŚĆ



MAREK KITA

Zostać w Kościele. Zostać Kościołem

Jak zachować w Kościele wolność od dysfunkcyjnej instytucji i budować prawdziwą wspólnotę wierzących.

WIEŻ

Warszawa
ul. Trębacka 3
tel. 22 827 96 08
ksiegarnia@wiew.pl
wydawnictwo.wiew.pl

czym jest przyzwoitość. Lecz gdy przyszło co do czego, część podporządkowała się brutalnej mechanice władzy. W tym towarzystwie byli ludzie wyjątkowi, choćby Karol Modzelewski. Piękna postać polskiej historii – obdarzona charyzmą, wrażliwością i świadomością społeczną. On był człowiekiem, który też nie unikał odpowiedzialności i potrafił zachować klasę. Czuło się w nim autentyczność. Można się było z nim nie zgadzać, ale był serio, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Był pełnokrwistym graczem i... wycofał się z polityki, wrócił do nauki.

Inni pełnokrwieści gracze?

Z pewnością Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Geremek. Ludzie, którzy potrafili podejmować trudne decyzje. I to również dzięki nim Polska wylądowała w NATO i w UE. Co jest ważne zwłaszcza teraz, kiedy za miedzą Putin prowadzi wojnę w Ukrainie.

Mazowieckiego krytykuje się za grubą kreskę.

Gdyby miał współcześnie działać w polityce, to prawdopodobnie miejsca by dla siebie nie znalazł. Jako człowiek kameleon i uduchowiony, głęboko odpowiedzialny za Polskę, raczej nie porywał mas, ale budził zaufanie – był człowiekiem prezentującym klarowne wartości.

Ale on powiedział, że „przeszłość odkreślamy grubą linią”, a nie „kreską”.



POLA STARCZYŃSKA / WYDAWNICTWO LITERACKIE

DR MICHAŁ PRZEPERSKI (ur. 1986) jest pracownikiem Instytutu Historii Nauki PAN i Muzeum Historii Polski. Wydał m.in. „Gorące lata trzydzieste. Wydarzenia, które wstrząsnęły Rzeczpospolitą”, „Nieznosny ciężar braterstwa. Konflikty polsko-czeskie w XX wieku” i „Mieczysław F. Rakowski. Biografia polityczna”. Laureat nagrody „Nowych Książek” dla najlepszej książki (2017), a w roku 2021: Nagrody Naukowej tygodnika „Polityka”, Nagrody Specjalnej Fundacji Identitas oraz Nagrody Klio.

Nie miał na myśli tego, co mu potem imputowano. Nie chciał, by jego rząd ponosił polityczną odpowiedzialność za dziesięciolecia rządów komunistycznych, nie namawiał natomiast do wybaczenia wszystkich win za bezdurno.

Widać też z dzisiejszej perspektywy, że Mazowiecki był kunktatorski. Choćby w sprawie zjednoczenia Niemiec czy wycofania wojsk sowieckich z Polski. Tu można było zrobić więcej i szybciej. Choć z drugiej strony, jego działania były dobrze osadzone w ówczesnej rzeczywistości; każdy, kto pamiętał II wojnę światową, miał prawo bać się zjednoczonych Niemiec.

Istnieją na pewno elementy działalności Mazowieckiego, które krytyki wymagają. Jednym z najważniejszych była gotowość do rzucenia wyzwania Wałęsie – to okazało się zabójcze dla Solidarności.

Można było tego uniknąć?

Może gdyby Mazowiecki uchylił się od wejścia w konflikt z Wałęsą, to sytuacja obozu solidarnościowego byłaby inna. Ale to już spekulacje, które historykom wręcz nie przystoją.

To na koniec proszę powiedzieć, jakie pierwsze myśli przychodzą Panu do głowy wraz z datą 4 czerwca 1989 r.

Że to piękny moment polskiej historii. I będę tego święta bronił jak niepodległości. Wtedy dotarło do nas, że mamy realną sprawczość. Mogliśmy popełniać błędy i za nie płacić, ale to jest dobre, bo na tym też polega dorosłość państwa.

© P Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński,
Marek Rabij, Krzysztof Story, Piotr Śmitowicz,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik),
Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
Anita Piotrowska

Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński,
Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Klaudia Bieł, Katarzyna Domin, Sylwia Frotow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Marzena Cora, Mateusz Chmielowski,
Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo,
Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Manciewicz,
Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik,
Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszynski
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
Eliza Kącka, Piotr Kłotkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica,
o. Wacław Oszałka, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocza-Aderet, Jakub Puchalski,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Zsumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Bajka o lustrze*



PEWIEN KRÓL ZAPRAGNĄŁ NADAĆ SVOJEJ komnacie nowy wygląd. Zatrudnił czterech malarzy, by każdy z nich wykonał fresk na jednej ze ścian. Umówił się z nimi, że po miesiącu przyjdzie obejrzeć efekty. Ocenę je i przed każdym malowidłem

położy worek z klejnotami, wypełniony stosownie do wartości dzieła.

Trzej artyści niezwłocznie zabrali się do pracy, a czwarty wybrał rozrywkę. Ostatniej nocy przed upływem miesiąca przyszedł do królewskiej komnaty i powiesił na przydzielonej sobie płaszczyźnie wielkie lustro, w którym odbijały się dzieła powstałe na pozostałych ścianach. Rano przyszedł król i obejrzawszy komnatę, położył przed trzema freskami wypełnione worki. „A dla mnie? Przecież moje dzieło to kompozycja złożona z pozostałych trzech obrazów!”. „Ty też dostałeś zapłatę” – odpowiedział król czwartemu malarzowi. – „Popatrz w swoje lustro, a ujrzysz odbicie trzech worków z klejnotami”.

Historia ta stanowi midrasz do słów mędrca zwanego Ben Hej-Hej: „wedle wysiłku nagroda”, odnotowanych w pierwszej części Talmudu. Przedostatni rozdział Księgi Kapłańskiej poświęcony jest w całości potencjalnym nagrodom i karom, jakie staną się udziałem Izraela w zależności od tego, czy będzie przestrzegał przykazań Najwyższego, czy też nie. „Jeżeli podług ustaw Moich postępować, a przykazań Moich przestrzegać, a pełnić je będziecie...” (Kpł 26, 3; Cylikow). W drugiej części zdania jest mowa o przestrzeganiu przykazań, w pierwszej więc musi chodzić o coś innego, a mianowicie: o włożony w studiowanie nauk Bożych trud.

Jak więc spojrzeć żydowskim okiem na to, że wszyscy robotnicy, niezależnie od momentu, w którym zaczęli pracę w winnicy, „otrzymali po denarze”, czyli pełną dniówkę (Mt 20, 1-16)? W Talmudzie znajdujemy opowieść o Elazarze, synu Durdai, który „nie przepuścił żadnej prostytutce”. Opamiętanie przyszło dopiero w momencie, gdy jedna z nich – do której wybrał się „za siódmą rzekę” – w trakcie stosunku puściła gazy i skomentowała to: „Tak jak te wiatry nie wrócą na swoje miejsce, tak nie zostanie przyjęta skrucza Elazara, syna Durdai”.

Mężczyzna początkowo prosił o wstawiennictwo, lecz gdy zrozumiał, że to zależy tylko od niego samego, usiadł z głową między kolanami. Płakał tak długo, aż opuściła go dusza. Wówczas głos z nieba oznajmił, że „rabinowi Elazarowi, synowi Durdai, jest przeznaczone życie w przyszłym świecie”. Z kolei rabin Eliezer rzecze, by pokutować dzień przed śmiercią. Jego uczniowie zauważają, że przecież nie wiemy, kiedy mamy umrzeć... Z jednej strony Boże miłosierdzie, z drugiej: „wedle wysiłku nagroda”. Albowiem „Najwyższy nie liczy kart [Talmudu], lecz ilość spędzonych na [ich] studiowaniu godzin”. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Nie idźcie tam*



BRACIA JEZUSA I JEGO MATKA, OPOWIADA Marek, nasłuchawszy się niestworzonych rzeczy o nim, postanowili przywołać go do porządku. Mówiono, że Jezusa opętał Belzebub i jego mocą egzorcyzmuje ludzi. Zastali Jezusa, gdy adwersarzom wykazy-

wał brak logiki w tym, co mu zarzucają. Nic to nie dało, gdyż jego adwersarzom nie chodziło o prawdę, ale o pozbycie się Jezusa. Święcie wierzyli, że nikt poza nimi nie zna prawdy o Bogu. Taką postawę Jezus określił jako bluźnierstwo przeciwko Duchowi Świętemu. Ten spór trwa do dzisiaj.

W ubiegłym roku pięciu kardynałów zarzuciło papieżowi Franciszkowi, że podaje w wątpliwość niezmienną kościelną doktrynę. Franciszek odpowiedział, że niezmienny jest tylko Bóg, a nie opowiadanie o nim. „Teraz widzimy niewyrażnie jak w zwierciadle, potem będziemy oglądać twarz w twarz. Teraz poznaję po części, potem poznam tak, jak sam zostałem poznany. Teraz więc trwają wiara, nadzieja i miłość – te trzy. Z nich zaś największa jest miłość”. A to znaczy, że niezmienną Kościołowi zapewnia zmienność. Kościół jest przecież żywym organizmem Jezusa, Syna Bożego, w którym spletały się, jak w każdym człowieku, wszelka wymiarowość z bezwymiarowością. Na nic się więc zda cofanie się do początku czy ucieczka do przodu. I tak członkowie amerykańskiej sekty węzowników, wychodząc od słów Jezusa, biorą do rąk, z fatalnym skutkiem, jadłowite węże.

Inni uganiają się za uzdrowicielami, egzorcystami, jasnowidzami, wizjonerami i rozpowiadają, że przez nich działa Duch Święty i potwierdza prawdziwość ich przekonań. Najwidoczniej jednak nie przekonali Dykasterii Doktryny Wiary, która ostatnio zarzuciła spragnionym nadprzyrodzonej rozmijanie się z faktami, błędy doktrynalne, sekciarstwo, dążenie do zysku, władzy, sławy, rozgłosu, jak też zachowania niemoralne i psychopatyczne, uleganie zbiorowej histerii itp. Wreszcie „za szczególnie obciążające moralnie należy uznać wykorzystywanie domniemych doświadczeń nadprzyrodzonych lub uznanych elementów mistycznych jako środka lub pretekstu do dominacji nad ludźmi”.

Jezus mówi do uczniów: „Przyjdą czasy, kiedy będziecie pragnęli zobaczyć choć jeden dzień Syna Człowieczego, ale nie zobaczycie. I będą wam mówili: »Jest tam« albo: »Jest tutaj«. Nie idźcie tam ani nie biegnijcie za nimi. Bo jak błyskawica, gdy zabłyśnie, świeci od jednego krańca nieba aż po drugi, tak będzie z Synem Człowieczym w Jego dniu. Jednak przedtem musi On wiele wycierpieć i być odrzucony przez to pokolenie”. A ponieważ każdy czas jest czasem ostatecznym, więc powyższą wypowiedź można odnieść do teraźniejszości. Tak, na Golgocie nie wszystko się skończyło i nie wszystko zaczęło. Wszystko ma swój udział w Życiu. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś:

Łamanie Chleba

*Nie chcesz słuchać
o podłości innych ludzi,
bo przez to pragnienie
cechy ich podłości
wnikają w ciebie.*

MAREK EREMITA



*Jeśli chcesz skutecznie
przyjść z pomocą
sobie i innym,
ćwicz umiejętność
stawiania się
w miejscu innego.*

ŚANTIDEWA



„OPOWIADALI, CO ICH spotkało w drodze i jak Go poznali przy łamaniu chleba” (Łk 24, 35) – słyszeliśmy przy trzecim ołtarzu procesji Bożego Ciała. „Łamanie chleba” to dla św. Łukasza nazwa własna Eucharystii. Odnajdujemy ją nie tylko w przytoczonym wyżej fragmencie Ewangelii, ale także regularnie w Dziejach Apostolskich: „Trwali oni w nauce Apostołów i we wspólnocie, w łamaniu chleba i na modlitwie” (Dz 2, 42); „Codziennie trwali jednomyślnie w świątyni, a łamiąc chleb po domach, przyjmowali posiłek z radością i prostotą serca” (Dz 2, 46); „W pierwszym dniu po szabacie, kiedy zebraliśmy się na łamanie chleba, Paweł (...) przemawiał do nich i przedłużył mowę aż do północy” (Dz 20, 7).

„Łamanie chleba” – jakie to piękne określenie! I jak znaczące! Choć pada w nim słowo „chleb”, to jednak – jak się wydaje – nie chodzi w nim o pokazanie Eucharystii jako pokarmu (podstawowego i codziennego), który miałby zaspokajać ludzki głód. Żeby zaspokoić głód zgromadzonych ludzi, trzeba każdej i każdemu z nich dać po bochenku chleba (a może nawet po dwa...). Wtedy jest szansa, że się nasycą. Kiedy w większej gromadzie osób łamiemy się jednym bochenkiem chleba – o zaspoko-

jeniu fizycznego głodu nie może być mowy. I nie o taki głód chodzi.

Łamanie się jednym chlebem jest znakiem / deklaracją budowania wspólnoty, bliskości, rzeczywistej relacji, jedności. Jest – jak w przypadku „łamania się opłatkiem” – znakiem dobrych życzeń, przebaczenia, a czasem prośby o przebaczenie, znakiem miłości.

Logikę „łamania chleba” streszcza celnie i pięknie św. Paweł w Pierwszym Liście do Koryntian: „Ponieważ jeden jest chleb, przeto my, liczni, tworzymy jedno Ciało. Wszyscy bowiem bierzemy z tego samego chleba”. Nie chodzi więc o wzmocnienie własnego ciała, lecz o budowanie jednego Ciała.

Eucharystia nie jest chlebem, który otrzymujemy po to, by go zjeść w kącie – samotnie, w tajemnicy (i lęku?) przed innymi. Nie jest pożywką dla indywidualistycznej i separatystycznej pobożności (ja i „mój” Pan Jezus).

Eucharystia jest jednym chlebem, z którego każdy, wobec innych, wśród tych, którzy są mu bliscy, odrywa dla siebie kawałek, nie za duży: by na pewno zostało dla każdego. Mocą tego znaku rośnie wspólnota – rośnie w ilość, rośnie też w głębię jakości. Staje się jedno nie tylko poprzez zewnętrzne ramy, strukturę, zasady itp.

Jakże bardzo potrzebujemy Eucharystii jako „Łamania Chleba”! ©

CZYTANIA LITURGICZNE (9 – 16 VI)

10. niedziela zwykła: Rdz 3, 9-15;
Ps 130; 2 Kor 4, 13 – 5, 1; Mk 3, 20-35;
Poniedziałek: 1 Krl 17, 1-6; Ps 121; Mk 5, 1-12;
Wtorek: Dz 11, 21b-26; 13, 1-3; Ps 98; Mk 10, 7-13;
Środa: 1 Krl 18, 20-39; Ps 16; Mt 5, 17-19;

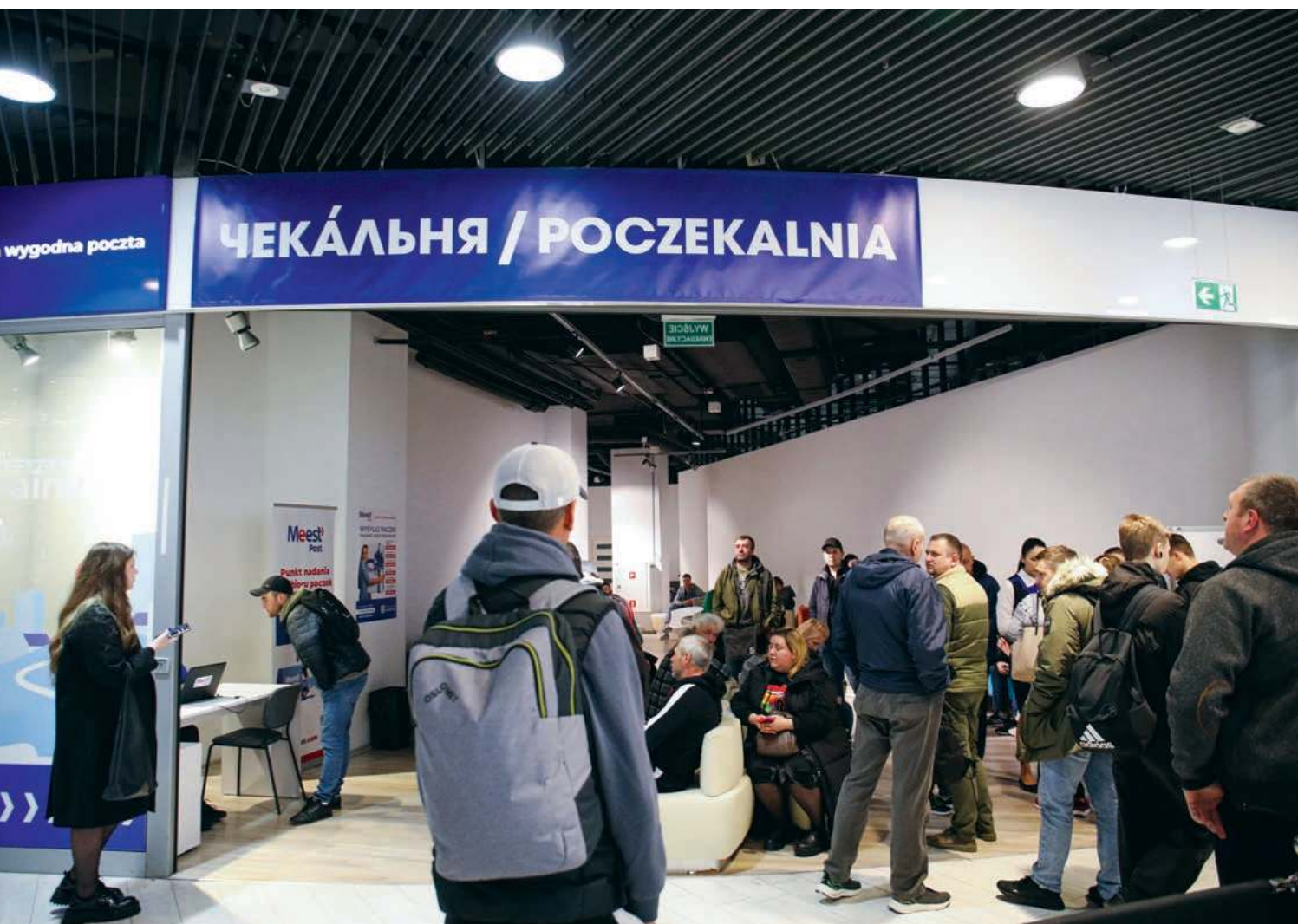
Czwartek: 1 Krl 18, 41-46; Ps 65; Mt 5, 20-26;
Piątek: 1 Krl 19, 9a. 11-16; Ps 27; Mt 5, 27-32;
Sobota: 1 Krl 19, 19-21; Ps 16; Mt 5, 33-37;
11. niedziela zwykła: Ez 17, 22-24;
Ps 92; 2 Kor 5, 6-10; Mk 4, 26-34.

Wybrał PIOTR SIKORA

BUNT CHŁOPCÓW DO BICIA

Żądania władz w Kijowie wobec przebywających za granicą Ukraińców sprawiają, że wielu z nich zaczyna myśleć o drugim obywatelstwie. Najczęściej polskim.

PAWEŁ PIENIĄŻEK



OD PIERWSZYCH DNI PEŁNOSKALOWEJ wojny 40-letni Roman (imię zmienione) stał na warszawskich dworcach, udzielając pomocy ludziom opuszczającym w pośpiechu Ukrainę, przeważnie kobietom i dzieciom. Od ponad dziesięciu lat mieszkał w Polsce, zakorzenił się tu, a rodzinny Lwów traktował jak miejsce odwiedzin bliskich, odpoczynku lub dostępu do tańszego dentysty. Nie miał jednak wątpliwości, że musi pomóc.

– Widziałem, jak zaangażowali się Polacy, więc nie wyobrażałem sobie, że jako obywatel Ukrainy mógłbym żyć spokojnie i nie zwracać uwagi na to, co się dzieje z moim krajem – przyznaje.

W pierwszych dniach inwazji niewielu było wolontariuszy mówiących po ukraińsku i rosyjsku, więc jego pomoc była nieoceniona. Kursował między warszawskimi dworcami, oddawał połowę wypłaty na wojsko. Potem odwiedzał żołnierzy, których przywożono do warszawskich szpitali. To była jego odpowiedź na apele z Ukrainy, by ci, którzy żyli w bezpieczeństwie, pomogli tym w potrzebie. Działa tak do dzisiaj, ale jest zły na swoje państwo.

– Teraz ta moja pomoc to dla nich za mało. Chcą, byśmy wrócili. Mamy walczyć i umrzeć – stwierdza Roman.

Usługi wstrzymane

Przerwa techniczna, jak ją określiły ukraińskie władze, trwała niemal miesiąc. W tym czasie wstrzymano – poza nielicznymi wyjątkami – usługi konsularne dla ukraińskich mężczyzn w wieku poborowym, znajdujących się za granicą. Zrobiono to z dnia na dzień, bez żadnego ostrzeżenia.

Dotyczyło to nie tylko wniosków o nowe paszporty, ale nawet tych, które zostały już wyrobione i tylko czekały na odbiór. Ukraiński MSZ wyjaśniał, że trudności są związane z nowymi mechanizmami ustawy o mobilizacji, która weszła w życie 18 maja. Tyle że czuło się wyraźnie, iż chodzi o coś więcej niż kwestie techniczne. Przecież szef MSZ Dmytro Kuleba już 23 kwietnia wyraził swoją opinię na portalu X: „Jak to wygląda teraz: mężczyzna w wieku poborowym po-

jechał za granicę, pokazał swojemu państwu, że jego przetrwanie go nie obchodzi, a potem przychodzi i chce otrzymać od tego państwa usługi. To tak nie działa. W naszym kraju trwa wojna”.

Był to kolejny już przytyk do mężczyzn w wieku 18-60 lat, przebywających poza granicami ogarniętej wojną Ukrainy. Różnica polegała na tym, że pierwszy raz wprowadzono wobec nich konkretne sankcje i prawdopodobnie jest to dopiero początek. Celem tych działań ma być ściągnięcie ukraińskich mężczyzn do kraju, ale na razie przyniosły one głównie oburzenie, pogłębiły nieufność wobec państwa, a w wielu przypadkach zniechęciły Ukraińców do kraju ich pochodzenia.

– Wśród moich znajomych byli tacy, którzy wahali się, czy wrócić do siebie, albo wręcz byli w trakcie tego procesu. Teraz już nie mają wątpliwości, że zostaną za granicą. Państwo dało im do zrozumienia, że są dla niego wyłącznie uchyłkami, którzy migają się od służby, więc trzeba ich wysłać na front – mówi 48-letni Ołeksandr z Mikołajowa, który od 2022 r. mieszka w Polsce.

Ołeksandr wyjechał z Ukrainy legalnie – jest niezdolny do służby ze względów zdrowotnych. Najpierw trafił do Rumunii, następnie do Grecji, a wreszcie do Polski. Oprócz klimatu wszystko mu się u nas podoba. Ma Kartę Polaka i dzięki niej wkrótce otrzyma stały pobyt, ale nie wie jeszcze, czy zostanie tu na stałe.

Potrzebni ludzie na front

Ustawa o mobilizacji była elementem długich sporów w ukraińskim parlamencie, ale też pomiędzy Wołodymyrem Zełenskim i dowództwem wojskowym. Do pierwszej wersji projektu deputowani wniesli ponad 4 tys. poprawek, gdyż wywołał on kontrowersje wśród społeczeństwa. Chociaż ustawa została przyjęta przez Radę Najwyższą i podpisana przez prezydenta w połowie kwietnia, to weszła w życie dopiero 18 maja.

W lutym 2022 r. do komisji poborowych ustawiały się kolejki chętnych do obrony kraju. Było ich tak wielu, że często odsyłano ich z kwitkiem do domu. Wybierano tych najlepiej rokujących. Z czasem jednak liczba ochotników topniała, by wreszcie spaść w zasadzie do zera.

Przy skali konfliktu, a także stratach, jakie ponosi Ukraina, bardzo potrzebni

są nowi rekruci. Po dwóch latach inwazji Zełenski przyznał, że zginęło już 31 tys. ukraińskich żołnierzy, ale według ustaleń „New York Timesa” z sierpnia 2023 r. ta liczba może sięgać 70 tys. zabitych i 100-120 tys. rannych.

Z tego powodu komisje poborowe przeszły do aktywnej mobilizacji. Wezwania wysyłane są pocztą lub wręczając je patrole obecne na ulicach ukraińskich miast, co sprawia, że od dawna wielu mężczyzn unika miejsc publicznych, by nie musieć się stawiać przed komisją poborową. Dochodziło też do sytuacji, w których wojskowi z użyciem przemocy zatrzymywali opornych, a filmy dokumentujące te zdarzenia zyskiwały ogromną liczbę wyświetleń dzięki mediom społecznościowym.

Najbardziej zdesperowani próbują za wszelką cenę przedostać się za granicę. Niektórzy udają ojców wielodzietnych rodzin, a nawet kobiety. Ostatnio ukraińska straż graniczna opublikowała wideo ze złapanym mężczyzną przebranym za pracownika sieciowego sklepu. Inni decydują się na bardziej niebezpieczne rozwiązania i próbują sforsować granicę w nielegalny sposób. Przechodzą przez Karpaty lub narażają życie podczas przeprawy przez przygraniczną rzekę Cisie. Do tej pory wyłowiono z niej 30 ciał.

Ukraina nie podaje konkretnych danych, ilu mężczyzn nielegalnie wyjechało za granicę. Według danych Eurostatu w Unii Europejskiej przebywa ok. 650 tys. mężczyzn z tego kraju w wieku poborowym, którzy trafili tam po rosyjskiej inwazji. Nie wiadomo, ilu z nich wyjechało z kraju, łamiąc prawo. Dane te nie biorą też pod uwagę mężczyzn, którzy wyjechali jeszcze przed 24 lutego 2022 r.

Według szacunków Ukraińskiego Domu w Warszawie w Polsce przebywa ok. 350 tys. mężczyzn w wieku poborowym, choć niewykluczone, że jest ich jeszcze więcej – brakuje dokładnych danych.

Sprzeczne komunikaty

Jednym z celów ustawy o mobilizacji jest aktualizacja informacji na temat miejsca zamieszkania obywateli. Ma to pomóc komisjom poborowym ustalić, kto gdzie się znajduje. Po tej aktualizacji mężczyźni przebywający za granicą mają znowu otrzymać dostęp do usług konsularnych. ➔

Kolejka oczekujących przed ukraińskim punktem paszportowym w centrum handlowym Blue City w Warszawie. 24 kwietnia 2024 r.

→ Ta z pozoru czytelna procedura wywołała jednak wiele kontrowersji.

Poniekąd winne są same władze w Kijowie, które wysyłają sprzeczne komunikaty. Początkowo jej przedstawiciele mówili, że pracują nad tym, by ściągnąć do kraju mężczyzn z ukraińskimi paszportami, którzy przebywają poza granicami. Pojawiły się plotki, że aktualizacja danych i cyfryzacja systemu spowoduje, że dotrą do nich wezwania do komisji poborowych niezależnie od tego, gdzie będą się znajdować. Potem władze wszystkiemu zaprzeczyły.

– Teraz mówią, że takiej możliwości nie ma. No, ale to teraz. Nie wiemy, co będzie za jakiś czas – mówi Oksana Pestrykova, główna koordynatorka Centrum Wsparcia Ukraińskiego Domu w Warszawie.

Pestrykova monitoruje zmiany, które wprowadza ustawa o mobilizacji, ale – jak przyznaje – wiele kwestii nadal pozostaje niejasnych. Po wejściu w życie nowego prawa urzędnicy wciąż nie są w stanie odpowiedzieć na wszystkie pytania dotyczące obecnych procedur. Bałagan wynika również z tego, że system częściowo działa w wersji elektronicznej, a częściowo w papierowej. Na przykład portal inPoland.net poinformował, że dopiero co powstała aplikacja Rezerw+, która ma umożliwić aktualizację danych, nie działa na telefonach z systemem Android, jeśli w ustawieniach mają wybrany inny kraj niż Ukraina. Teoretycznie można tę procedurę przeprowadzić telefonicznie lub mailowo, ale wówczas nie ma gwarancji, że wszystko zostanie zarejestrowane jak należy. Wciąż też nie jest jasne, co tak naprawdę będzie potwierdzeniem pozwalającym na wznowienie możliwości korzystania z usług w konsulacie.

– Mimo wszystkich wątpliwości te trzy zdalne sposoby sprawiają, że dziś nie ma potrzeby jechać na Ukrainę. A właśnie perspektywa powrotu budziła największe obawy. Mężczyzna tam jedzie, aktu-

Najbardziej zdesperowani próbują za wszelką cenę przedostać się za granicę.

Niektórzy udają ojców wielodzietnych rodzin, a nawet kobiety.

alizuje wszystko, co niezbędne, i dzięki temu nie zostaje wezwany do wojska, ale też nie wypuszczają go z kraju. Siedzi na Ukrainie i nie ma ani pracy, ani kontaktu z rodziną w Polsce – wyjaśnia Pestrykova.

Władze w Kijowie przekonują, że usprawnienie systemu to kwestia czasu, a dzięki temu wszystko uda się załatwić zdalnie.

Wezwania bez granic

O tym, że ukraińskie władze znajdą skuteczny sposób na to, żeby ostatecznie ściągnąć swoich obywateli do kraju, jest przekonany 37-letni Andrij z Kijowa, który zajmuje się coachingiem.

– Prędzej czy później będę w stanie wysłać wszystkim wezwania do komisji poborowej. Ja oczywiście na nie nie odpowiem, bo mieszkam za granicą, ale wtedy będę miał sprawę karną. Zablokują mi rachunek, zarekwirują samochód i mieszkanie. Nie jest mi to do niczego potrzebne – stwierdza Andrij, który w najbliższym czasie chce przepisać wszystko na żonę.

Dzień przed inwazją na pełną skalę Andrij pojechał wraz z koleżanką z pracy na Cypr, gdzie znajdował się jeden z ich klientów. To popularna destynacja dla ukraińskich i rosyjskich przedsiębiorców, którzy korzystali z cypryjskich niskich podatków, a także przychylnej polityki migracyjnej wobec ludzi zamożnych.

Atmosfera na Ukrainie była wtedy bardzo gęsta i coraz więcej wskazywało na to, że zaraz coś się wydarzy. Andrij chciał, żeby żona Natalia z nim pojechała, ale odmówiła. Był to jeden z ostatnich samolotów, który odleciał z Kijowa.

Niedługo po tym, jak wylądowali, Andrij powiedział do koleżanki:

– Coś czuję, że nie zobaczymy domu przez długi czas.

Kolejnego dnia obudził się w apartamencie z jacuzzi i widokiem na spokojne morze. Była ósma rano i gdy wziął telefon, zobaczył siedemdziesiąt nieodebranych połączeń. Wiedział już, że się zaczęło.

Na Cyprze został przez półtora miesiąca. Pod koniec pobytu dołączyła do niego Natalia, która nie chciała wyjeżdżać z Ukrainy, bo od samego początku pomagała żołnierzom. Potem przeprowadzili się do Wiednia, a w zeszłym roku trafili do Warszawy ze względu na pracę Andrija.

W tym roku urodziła im się córka.

Wszyscy tacy sami

– Obywateli Ukrainy, którzy znajdują się w Polsce, najbardziej denerwuje wrzucanie ich do jednego worka – przyznaje Pestrykova z Ukraińskiego Domu.

Złości się na to 25-letni Dmytro z zachodniej Ukrainy. Mieszka w Polsce od ośmiu lat, od początku studiów. Ułożył sobie życie. Zdobycwał doświadczenie zawodowe, zawierał pierwsze poważne związki, w Warszawie ma dziś najbliższych przyjaciół. Od dawna też posiada kartę stałego pobytu. Na Ukrainie została w zasadzie tylko jego matka, którą odwiedzał od czasu do czasu, dopóki granica była otwarta.

– Zawsze mnie drażniło pytanie, skąd jestem. No, skąd? Z Polski, bo tu żyję. Ale urodziłem się na Ukrainie i zgodnie z dokumentami jestem Ukraińcem. Jeśli chodzi o pochodzenie, to jest ono wymieszane, w tym, niestety, też rosyjskie – przyznaje.

Już dawno temu mógł się ubiegać o polski paszport, ale tego nie zrobił. Ostatni raz był na Ukrainie pod koniec 2021 r. Wtedy też poszedł do komisji poborowej, gdzie stwierdzili, że ze względu na stan zdrowia jest nieprzydatny do służby w czasie pokoju i ograniczenie przydatny w czasie wojny. Zaktualizował przy okazji informacje o miejscu zamieszkania. Od tego czasu przestały przychodzić wezwania, ale nie jest pewien, czy po ponad dwóch latach pełnoskalowej wojny i chaosie procesu mobilizacyjnego coś się jednak nie zmieniło.

Dmytro ma poczucie, że dopełnił wszystkich procedur, nie łamał prawa, więc nie rozumie, dlaczego wrzucany jest do jednego worka z tymi, którzy nielegalnie opuścili kraj. Uważa, że



DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA” co tydzień
są gośćmi Roberta Łuchniaka
w Polskim Radiu RDC. Audycję

można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

ukraińskich mężczyzn w wieku poborowym powinno się dzielić na trzy kategorie.

Pierwsza to tacy jak on, którzy od dawna mieszkają za granicą i w zasadzie nie mają nic wspólnego z ukraińskim państwem. Drudzy, jak Andrij, nie przebywali na Ukrainie w momencie rozpoczęcia inwazji z powodów zarobkowych, służbowych czy turystycznych. Zdaniem Dmytra nie zrobili jednak nic złego, bo nigdy nie zobowiązali się do powrotu. Trzecia grupa to wszyscy, którzy złamali prawo – przekroczyli granicę nielegalnie i nie wrócili na Ukrainę.

W poszukiwaniu bezpieczeństwa

Paszport Ołeksandra jest ważny jeszcze 9 lat, Andrija – 5, Romana – 4 lata, Dmytra – 3. Żaden z nich nie znajduje się w krytycznej sytuacji, ale nagle decyzja o wstrzymaniu usług konsularnych spowodowała, że przestali czuć się bezpiecznie. Karta pobytu nie umożliwia wyjazdów za granicę ani rozwiązywania większości spraw urzędowych. W razie zgubienia paszportu wstrzymanie usług konsularnych tworzy poważne problemy. Dlatego wszyscy czterej zaczęli poważnie myśleć o przyjęciu innego obywatelstwa. Andrij dodaje, że polityka Kijowa oddaliła wielu mężczyzn od Ukrainy.

– Od dawna mogłem ubiegać się o polskie obywatelstwo, ale dopiero teraz zacząłem o tym myśleć. Postawa ukraińskich władz była dla mnie impulsem – przyznaje Roman.

– Na razie mam spokój, ale jeśli sytuacja się nie zmieni w ciągu roku czy półtora, będę zmuszony pozyskać polski paszport – mówi Dmytro.

Ołeksandr już rozpoczął starania. – W czerwcu otrzymam kartę stałego pobytu, więc za rok będę mógł ubiegać się o obywatelstwo – zapewnia Ołeksandr.

Roman i Dmytro chcą się na stałe wiązać z Polską. Andrij z kolei myśli, by osiedlić się w zachodniej Europie. Ołeksandr na razie zostaje w Polsce, a potem zobaczy. On jako jedyny chciałby wrócić do domu, ale pod warunkiem, że skończy się wojna, a jego Mikołajów nie wypadnie w ręce Rosjan.

© PAWEŁ PIENIAŻEK



Zapora na granicy polsko-białoruskiej. Białowieża, 28 maja 2023 r.

Wschód na tarczy

MAREK RABIJ

Wyzwaniem dla państwa polskiego nie będzie ufortyfikowanie wschodniej granicy, lecz stworzenie takiego systemu jej obrony, który pogranicznych województw nie zmieni w poligon, a mieszkańców – w obywateli drugiej kategorii.

NIE PIERWSZA TO TARCZA W NAJNOWSzych dziejach Polski, ani nawet nie najdroższa. W 2020 r. na pomoc firmom sparaliżowanym przez lockdown rząd PiS wydał blisko 150 mld zł. Niespełna dwa lata po uruchomieniu tarczy antykryzysowej przyszedł czas na tarczę antyinflacyjną, która kosztowała ok. 19 mld zł. A potem była jeszcze Rządowa Tarcza Solidarnościowa, czyli pakiet rozwiązań mrozących ceny energii dla klien-

tów indywidualnych i podmiotów wrażliwych, na które tylko w 2023 r. przeznaczono ok. 30 mld.

Wieże jak wierzby

W takim towarzystwie najnowszy projekt wzmocnienia około siedmiuset kilometrów polskiej granicy na odcinkach sąsiadujących z obwodem królewieckim i Białorusią, nazwany oficjalnie Tarczą Wschód, z wyceną na poziomie 10 mld zł wypada wręcz skromnie. ➔

→ Kwota z pewnością jednak urośnie. Zasugerował to zresztą sam szef MON-u Władysław Kosiniak-Kamysz, kiedy podkreślał, że w wymienionych 10 mld zł mieszczą się tylko wydatki materiałowe związane z budową Tarczy Wschód. Nie można oczywiście wykluczyć, że rząd uprawia tu księgową propagandę i po prostu przypisuje nowej pozycji wydatkowej zakupy sprzętowe i infrastrukturalne, które już wcześniej przewidział i zabudżetował w wydatkach na wojsko. Ale i wtedy trudno liczyć na to, że kompleksowe zabezpieczenie granicy, połączone z silnym ufortyfikowaniem jej na odcinku blisko pół tysiąca kilometrów, nie pochłonie więcej pieniędzy, niż zapowiada dziś rząd.

Pierwotny budżet może nie wytrzymać konfrontacji już tylko z jednym elementem tarczy, jakim ma być Taktyczny System Dostępu Bazowego Sił Zbrojnych, czyli rodzaj systemu alarmowego, rozstawionego wzdłuż całej granicy, patrzącego w stronę nieprzewidywalnych sąsiadów, a obsługiwanego zdalnie z zaplecza zbudowanego w głębi Polski. Jeśli system ma być naprawdę szczelny, maszty z nadajnikami radiowymi, kamerami termowizyjnymi, radarami, czujnikami rozpoznania akustycznego oraz urządzeniami zagłuszającymi pracę dronów trzeba będzie rozstawić dostatecznie gęsto, aby zakres ich pola obserwacyjnego nakładał się na siebie. Średni zasięg operacyjny zagłuszałki sygnału dronów na wyposażeniu polskiej armii oscyluje obecnie w okolicy 5 kilometrów. Samo stworzenie elektronicznego systemu nerwowego Tarczy Wschód wymagać będzie zatem budowy około 140 takich stacji. Dla porównania: 524 kilometrów polskiego wybrzeża strzeże obecnie 19 wież tworzących Zautomatyzowany System Radarowego Nadzoru wspomagający pracę Straży Granicznej.

Pas przesłaniania

Polskie wydatki na obronność tylko w tym roku przekroczą 150 mld zł. Pieniądzy nie powinno więc zabraknąć także na projekt, który znacznie przekroczy w realizacji pierwotnie założony budżet – zwłaszcza że jego realizacja ma się rozłożyć na trzy lata. O wiele trudniejszym wyzwaniem związanym z budową Tarczy Wschód będzie skoordynowanie jej istnienia z potrzebami i co-

Jak zachować dostępność atrakcyjnych turystycznie terenów przygranicznych w sytuacji, gdy co 5 kilometrów stać będzie na nich jakiś strzeżony obiekt wojskowy?

dziennością lokalnej ludności. Jak zachować dostępność atrakcyjnych turystycznie terenów przygranicznych w sytuacji, gdy co krok stać będzie na nich jakiś obiekt wojskowy? Jak zachęcić do współpracy przy zabagnianiu nieużytków miejscowych rolników, zwłaszcza gdy wcześniej wielu z nich trzeba będzie wywłaszczyć z gruntów pod budowę masztów, schronów czy umocnień? Jak wreszcie współpracować przy budowie tej infrastruktury z samorządowcami, którzy w tej części Polski zwykle pozostają w politycznym sporze z aktualnym obozem władzy – a nastroje wśród wyborców nie muszą bynajmniej nakłaniać ich do zmiany frontu?

Podczas prezentacji założeń Tarczy Wschód szef MON podkreślał, że dzięki inwestycji mieszkańcy pogranicza, żyjący dotąd z granicy, będą teraz żyli z jej obrony. To obraz prawdziwy tylko w połowie. Owszem, po agresji Rosji na Ukrainę w pasie przy obwodzie królewieckim oraz na Podlasiu zamarł mały ruch graniczny i mieszkańcy żyjący tylko z jego obsługi stracili źródło utrzymania. Obydwa regiony są jednak nadal atrakcyjne turystycznie. W woj. podlaskim, jak podaje GUS, w 2022 roku (nowszych danych nie ma) funkcjonowało 250 podmiotów oferujących łącznie 13,6 tys. miejsc noclegowych. W tym okresie odwiedziło je aż 568,9 tys. gości, którzy łącznie skorzystali z ponad 1,28 mln noclegów. W Warmińsko-Mazurskiem 39,2 tys. miejsc noclegowych ugościło w tym czasie 1,2 mln turystów.

Jaki los czeka turystykę w Białowieży czy Gołdapi, gdy za płotem pojawiają się zapory przeciwczołgowe? Co z cenami tamtejszych nieruchomości w sytuacji, gdy rząd publikuje projekty ukazujące 50-kilometrowy pas przygraniczny jako jeden wielki pas taktycznego przesłania-

nia – czyli ziemię skazaną na przemienie przez artylerię obu potencjalnie walczących stron? Co z mieszkańcami przygranicznych wsi, których trzeba będzie przesiedlić? A jeśli tak, to dokąd? W samym woj. podlaskim w odległości do 50 kilometrów od granicy białoruskiej mieszka około 320 tys. osób. W Warmińsko-Mazurskiem z Obwodem Królewieckim sąsiaduje blisko 430 tysięcy Polaków. Z perspektywy Warszawy czy Wrocławia ich los może się wydawać sprawą drugorzędną w obliczu zagrożenia dla polskiej państwowości. Dla miejscowych Polska, której trzeba bronić, zaczyna się za drzwiami ich domów.

Zielone dla miejscowych

Wiceszef MON Cezary Tomczyk zapowiada, że kwestie ewentualnych odszkodowań za straty ureguluje przygotowywana już ustawa o inwestycjach mających szczególnie wpływ na bezpieczeństwo państwa. Rząd zapowiada też rozwiązania, które mają adekwatnie wyceniać świadczenia rzeczowe mieszkańców pasa przygranicznego na rzecz obronności. Nie wiadomo, czy te świadczenia – pojęcie rodem z przepisów czasu wojny – będą dla miejscowych jedynie odpłatne, czy może jednocześnie płatne i obligatoryjne. Z nieoficjalnych wypowiedzi urzędników MON wynika jedynie, że firmy z obszarów przygranicznych mają być traktowane priorytetowo w państwowych przetargach – ma to zachęcić biznes do inwestycji w regionie. Wśród rozważanych rozwiązań są także rządowe dopłaty do polis ubezpieczeniowych oraz kredytów hipotecznych dla osób zameldowanych i stale mieszkających przy granicy.

Co z tego wyjdzie w praktyce? Wcześniejsze doświadczenia każą niestety traktować takie zapowiedzi z dystansem. Kiedy jesienią 2022 roku ówczesne władze ograniczyły prawo wjazdu do terenów przy granicy z Białorusią, osobom oferującym w tej okolicy noclegi miały przysługiwać rekompensaty. Tyle że ustawodawca zawęził grono beneficjentów do podmiotów, które prowadzą osobną księgowość i mają udokumentowane wpływy z turystyki. Na łódzie pozostały setki, jeśli nie tysiące mieszkańców strefy przygranicznej, którzy do tej pory dorabiali sobie wynajmem pokoiów we własnych domach. © MAREK RABIJ



Arkusze maturalne przed egzaminem z języka polskiego. Lubliniec, 7 maja 2024 r.

Błędy kardynalne

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Krytycy Centralnej Komisji Egzaminacyjnej chcą dymisji jej kierownictwa, zarzucając mu upolitycznienie i niekompetencję. Byli pracownicy mówią o znamionach mobbingu. Co się dzieje w instytucji odpowiedzialnej za polskie matury?

CHOĆ OD PONAD DEKADY CKE KIERUJE dr Marcin Smolik – zgryźliwi mówią o nim „niezatapialny”, bo trwa na stanowisku od schyłku „poprzedniej PO” – w ostatnich miesiącach głośniej jest o jego podwładnej, dr Wioletcie Kozak. To szefowa strategicznego Wydziału Egzaminów z Przedmiotów Kształcenia Ogólnego (WEPKO) oraz, jak mówią jej krytycy, szara eminencja PiS-owskiej reformy edukacji i polonistka-konserwatystka broniąca jak niepodległości literackiego kanonu.

Pod koniec stycznia, gdy głośno robiło się wokół okrajania podstaw programowych przez MEN, okazało się, że to ona

przewodzi zespołowi mającemu dokonać redukcji w podstawach z języka polskiego. W środowisku zawrzało: oto jedna ze współauterek PiS-owskiej reformy, w ramach której m.in. rozdęto podstawy programowe, teraz ma je „odchudzić”.

Taki z ciebie doktor

Po publikacji artykułu, w którym to opisaliśmy, do „TP” zgłosił się dr Jerzy Zygmunt Szeja, polonista i były pracownik Komisji. W CKE był zatrudniony na okres próbny w 2022 roku jako ekspert od matury. Dr Kozak nie była zadowolona z jego pracy, więc nie przedłużono mu umowy.

Dziś Szeja określa WEPKO krótko: „prywatny folwark dr Kozak”. I mówi o znamionach mobbingu, któremu miał zostać tam poddany. – Za jego przejaw uważam np. stałe negowanie wyników pracy, bez podawania argumentów – mówi polonista. – Wszystkie moje działania były uznawane przez dr Kozak za bezwartościowe. Stałym elementem był krzyk. Raz zostałem wezwany na dywanik, gdzie szefowa i jej zastępca przez ok. 40 minut na mnie krzyczeli. Chodziło o rzekome oddalenie się z miejsca, gdzie pakowane były arkusze egzaminacyjne. Faktycznie, wraz z innymi pracownikami wyszedłem z pomieszczenia, bo stałem beczynnie. Uznałem, że przy komputerze będę bardziej potrzebny. Krzyk był upokarzający, a zarzut „oddalenia” absurdalny, bo cały czas byłem w pracy.

Jak dodaje dr Szeja, do momentu spotkania z dr Kozak uważał się za osobę odporną. – Za to po koleżankach widziałem, ile kosztują takie „dywaniki” – opowiada. – Niestety dr Kozak i jej zastępca udowodnili mi, że systematyczny nacisk psychiczny może i mnie doprowadzić do stanu krytycznego. Po tygodniu bezsenności poprosiłem psychiatrę o leki. Rozumiem, co taki nacisk może zrobić z młodą

→ kobietą, skoro w ten sposób podział na przeszło stukilowego mężczyznę w 57. roku życia.

Inna była ekspertka CKE (jej dane znane są redakcji): – Pracowałam przez 30 lat w różnych miejscach, ale z czymś takim się nie zetknęłam. Pani dyrektor nie mówiła „dzień dobry”, „do widzenia”, miała sposób bycia krzykliwy, momentami obcesowy i wulgarny. Np. potrafiła do jednego z ekspertów rzucić zdanie, którego wydźwięk i sens był taki: „Taki z ciebie doktor jak z koziej dupy trąba” [zapytaliśmy tego eksperta, czy przypomina sobie podobne zdarzenie; nie potwierdził – red.].

Kobieta przytacza też scenę ze swoim udziałem: – To było spotkanie online dotyczące zadania z arkusza maturalnego, który opracowywali eksperci z komisji okręgowej, a my mieliśmy jego zawartość ocenić. Jak się okazało, w jednym z zadań była nieścisłość, której wychwycenia zażądała ode mnie dr Kozak. Przy tym zabroniła innym pracownikom mi podpowiadać. Trwało to prawie godzinę, a przypominało znęcanie się sadyistycznego nauczyciela nad uczniem, kiedy belfer chce pokazać dziecku, że jest głupie. Przy tym krzyczała, a ja z każdą minutą czułam się coraz bardziej upokorzona.

Oboje byli pracownicy CKE podkreślają, że opowiadają o swoich doświadczeniach nie tylko ze względu na siebie. – Taka atmosfera w ważnej publicznej instytucji musi też wpływać na jakość pracy – mówią.

Tischner zły, Janion zła

Opowiadają też o ideologicznych przekonaniach szefowej WEPKO. – Z puli potencjalnych ekspertów eliminowała le-

wicowców, ale też tych, którzy w ogóle dopuszczają np. feminizm lub myślenie równościowe – twierdzi dr Szeja. – A ci, którzy się ostali, byli publicznie tępieni. Jakakolwiek krytyka idei PiS, czyli np. kultu smoleńskiego czy żołnierzy wykłetych, była niedopuszczalna. Miało to odzwierciedlenie w arkuszach egzaminacyjnych.

Przykład podaje była pracownica CKE. – Jedna z koleżanek zaproponowała fragment tekstu ks. Józefa Tischnera, ale kierownicze nie podpasował – opowiada kobieta. – Zły był Głowacki, zła była Janion. Pani Kozak była też mocno antyszczepionkowa. Nie trawiła maseczek w biurze. Raz w propozycji arkusza znalazł się fragment „Dzumy” Camusa, a koleżanka opatrzyła go fotografiami lekarzy w maskach. To zostało przez Kozak skrytykowane i odrzucone. Podobnie było z feminatywami, np. w poleceniach do zadań.

Była ekspertka CKE opowiada o emocjonalnych kosztach pracy: – Nie spałam, towarzyszył mi nieustanny stres. Aż w końcu mi podziękowano, zresztą w dziwnych okolicznościach. Pojawiło się ogłoszenie, że CKE potrzebuje nowego pracownika w moim dziale. Miałam umowę na czas określony, więc zapytałam kierowniczkę, czy to oznacza moje odejście. Tylko pokiwała głową, że tak. Kilka dni później zostałam wezwana do pokoju, gdzie siedzieli księgowi i ktoś z kadr. Z dniem dzisiejszym – poinformowano mnie – moja umowa się rozwiązuje. Spytałam, jaki jest powód, a w odpowiedzi usłyszałam, że nie spełniam standardów pracy w CKE. Było to tak niewiarygodne, że zachowałam się jak przestraszone dziecko. Wysłałam z podkulonym ogonem, nie prosząc nawet o rozmowę z dyrektorem.

Co na to kierownictwo CKE? Dr Kozak odpowiedziała lakonicznie na e-mail z zaproszeniem do rozmowy, stwierdzając, że oskarżenia o złe traktowanie to pomówienie. Szef CKE, dr Smolik, też nie zgodził się na rozmowę, przesyłając swoje stanowisko, a później odpowiadając mailowo na niektóre pytania. W wydziale, którym kieruje dr Kozak, „pracuje aktualnie 24 pracowników/ekspertów, z których większość jest w CKE od kilku, kilkunastu lat (...). Są osobami tak doświadczonymi zawodowo, pewnymi własnych kompetencji, obowiązków i praw pracowniczych, że trudno mi sobie wyobrazić, że »znosiłyby« zachowania, które Pan wymienia, tym bardziej, że w CKE funkcjonuje cały system zgłaszania potencjalnych nieprawidłowości pracowniczych, wdrożona jest procedura antymobbingowa” – napisał m.in. Smolik, dodając, że odkąd jest dyrektorem CKE, nie wpłynęła doń żadna skarga na dr Kozak.

Dr Szeja podważa tę wersję. Przedstawia roboczą kopię pisma z czerwca 2022 r., w którym tłumaczy się dyr. Smolikowi z zarzutów, jakie stawia mu dr Kozak, i pisze m.in.: „Pozostałe zarzuty (...) są już zupełnie niemerytoryczne i mają charakter (...) mobbingu, który p. Kierownik WEPKO uprawia od lat wobec znakomitej większości swoich pracowników (...), a co na pewno jest Panu Dyrektorowi doskonale znane”.

Na pytanie, dlaczego jako poszkodowani nie poszli do sądu pracy, dr Szeja odpowiada: – Nie znaliśmy się wówczas nawzajem, a w CKE byliśmy osamotnieni, mając poczucie, że nikt w tej instytucji nie świadczyłby za nami. Tandem Kozak-Smolik miał pełne poparcie PiS, a my mieliśmy odmienne poglądy.

Lato z „Tygodnikiem”

TYGODNIK
POWSZECHNY

38% TANIEJ

WIĘCEJ
INFORMACJI



OFERTA WAŻNA
DO 31 SIERPNIA 2024

Przechodziły „koszmarki”

Choć nikt wcześniej – przynajmniej publicznie – nie stawiał kierownictwu CKE zarzutów o złe traktowanie pracowników, krytyka nie jest dla tej instytucji nowością. Głównie ta merytoryczna, dotycząca matury z polskiego, która w wyniku PiS-owskiej reformy oświaty uległa największym zmianom.

– Ich istota polegała na tym, że od tej pory zmusimy uczniów do czytania szerszego kanonu lektur – streszcza Renata Czaja-Zajder, poznańska polonistka i etyczka, współtwórczyni ruchu „Protest z Wykrzyknikiem”. – A później zaczęto się z tego twardego założenia wycofywać. Trochę za sprawą pandemii, a częściowo z przyczyn politycznych.

Politycznych, bo w 2023 r. odbywała się pierwsza matura w tzw. nowej – bo zgodnej z założeniami reformy – formule. Teoretycznie szykował się więc, zgodnie z PiS-owską wizją, egzamin trudniejszy niż wcześniejsze. Ale w 2022 r. minister Przemysław Czarnek ogłosił popandemiczne wymagania egzaminacyjne – w przypadku matury podstawowej z polskiego oznaczało to np. ścięcie listy obowiązkowych lektur z 54 do 41 i wprowadzenie zasady, że na wypracowaniu nie trzeba się odwoływać do wskazanej lektury, a do dowolnej pozycji obowiązkowej, co miało ograniczyć liczbę tzw. błędów kardynalnych, które sprowadzają do zera punktową zdobycz z wypracowania. A tuż przed maturą w 2023 r. zmieniono kryteria oceniania, podwyższając limity dopuszczalnych błędów. Według szefa CKE w zmianach tych nie było sensacji: ot, przeanalizowano badania diagnostyczne, posłuchano egzaminatorów i polonistów, którzy apelowali o łatwiejszą maturę.

Ale krytycy uważają, że chciano tylko odtrącić sukces reformy. – W roku wyborów CKE poszła tak daleko, że tematy wypracowań zwyczajnie nie sprawdzały nic – uważa dr Szeja. – Przykładowo wypracowanie pt. „Człowiek – istota pełna sprzeczności” wbrew zdrowemu rozsądkowi nie musi być o bohaterach, którzy są wewnętrznie sprzeczni, ponieważ zgodnie z opublikowanym na stronie CKE kluczem wystarczyło opisać dwóch ludzi lub dwie sprzeczności.

Niektórzy eksperci twierdzą, że na ogłoszonych oficjalnie zmianach nie poprzestano. – Wywierano też na nas naci-

BYŁA PRACOWNICA CKE:

Kierowniczka krzyczała,
a ja czułam się upokorzona.
Przypominało to znęcanie się
sadyistycznego nauczyciela
nad uczniem, kiedy belfer
chce pokazać dziecku,
że jest głupie.

ski – mówi jedna z zeszłorocznych egzaminatorek, prosząc o zachowanie anonimowości (jej dane są znane redakcji). – Pamiętam pracę, w której uczeń popełnił siedem poważnych błędów na temat „Lalki”. Wszystkie można było zakwalifikować jako kardynalne. Byłam pewna, że zero punktów to formalność, ale usłyszałam: „Nie robimy tu »kardynała«, ale błędy rzeczowe”. Ja to zdanie usłyszałam od przewodniczącej zespołu egzaminatorów, a ona musiała coś podobnego usłyszeć od kogoś z komisji okręgowej. Kreowano propagandę sukcesu.

Jeśli tak było, to cel został osiągnięty. Egzamin w nowej formule, który w zeszłym roku zdawało ponad 150 tys. uczniów, okazał się rekordowo łatwy – zdało go w pierwszym terminie ponad 91 proc. uczniów, w tym aż 98 proc. z polskiego. MEN mógł ogłosić triumf, ale niektórzy eksperci nie grzyli się w język. „Egzaminatorzy tego nie powiedzą, bo się boją, ale (...) na poziomie podstawowym przechodziły koszmarki, bo trzeba było udowodnić sukces” – mówił w sierpniu 2023 r. „Wysokim Obcasom” polonista Paweł Łęcki. – To było zwykłe oszustwo CKE – mówi dziś dr Szeja.

A inni eksperci krytykują całą filozofię oceniania. – Błędy zlicza się mechanicznie, a egzaminator ma do dyspozycji „widelki”: bycie w takim przedziale daje tyle punktów, w innym tyle – referuje Renata Czaja-Zajder. – Wcześniej błędy miały różną wagę: powtórzenie wyrazu to nie to samo, co niezrozumiałe zdanie. Według obecnych kryteriów waga błędów jest jednak taka sama. Ten schematyzm sprawia, że prace napisane dość dobrze, ale z błędami, ocenione są pod względem poprawności tak samo nisko, jak prace kompletnie niekomunikatywne.

Sprawdzanie sprawdzających

Matura 2023 przyniosła też inny rekord: aż 41 tys. próśb o wgląd w arkusze od osób kwestionujących swój wynik, w tym ponad 12 tys., a więc ponad 4 tys. więcej niż rok wcześniej, w te z polskiego (jak będzie w roku obecnym, dowiemy się w wakacje). Wspomniany polonista Paweł Łęcki przytaczał historię, która obiegła Polskę: maturzystka oblała egzamin, złożyła więc odwołanie do OKE. Gdy to nie poskutkowało – do Kolegium Arbitrażu Egzaminacyjnego. Tym razem skutecznie, ale... za późno. Gdy dowiedziała się, że egzamin zdała, i to na ponad 70 procent, była już po teście poprawkowym. Minał też pierwszy termin rekrutacji na studia.

W zeszłym roku błędy przy sprawdzaniu – w przypadku matury z polskiego okręgowe komisje przyznały się do pomyłki 947 razy, przy 530 rok wcześniej – składano m.in. na karb niejasnych kryteriów oceniania (choć CKE źródła większej liczby protestów widzi m.in. w doniesieniach medialnych, które zachęcały do odwołań, a także w większej świadomości prawnej społeczeństwa).

– Pewna doza uznaniowości jest w przypadku egzaminu z polskiego nieunikniona, ale obecna formuła tę uznaniowość potęguje – twierdzi Renata Czaja-Zajder. – Wytyczne każą np. egzaminatorom ocenić, w jaki sposób zdający użył w wypracowaniu dwóch lektur. Przy czym podane możliwości, np. „dwa utwory użyte w pełni funkcjonalnie”, „jeden użyty w pełni funkcjonalnie, a drugi częściowo”, są trudne do zdefiniowania, za to bardzo wiele od nich zależy. To może wypaczyć wynik egzaminu.

Na matury zwrócił w zeszłym roku uwagę rzecznik praw obywatelskich. Marcin Wiącek zauważył w liście do MEiN i CKE, że czasami trudno było stwierdzić, za co egzaminatorzy odejmowali punkty. A że „tylko część maturzystów ubiega się o ponowne sprawdzenie prac, nie można stwierdzić, jak kształtują się wyniki matur, co uniemożliwia (...) ocenę funkcjonowania systemu oświaty”.

Rzecznik pytał też szefa Komisji, czy i jak chce poprawić sytuację. W odpowiedzi usłyszał od Marcina Smolika, że „CKE widzi przestrzeń do działań”, np. poprzez wprowadzenie dwóch egzaminatorów czytających każdą pracę, ale na to potrzeba dodatkowych środków – ok. 120 mln zł rocznie. – To była odpowiedź ➔

→ skandaliczna – ocenia Renata Czaja-Zajder. – W komisjach okręgowych widzę od lat oszczędności, które odbijają się na jakości pracy, jak np. zmniejszenie liczby weryfikatorów mających ponowny wgląd w niektóre prace. Równocześnie nie słyszałam, by dyrektor Smolik występował wcześniej o dodatkowe środki. W wywiadach mówił, że egzaminatorzy są świetnie przeszkoleni i że wszystko poszło zgodnie z planem.

Czy Smolik musi odejść

Z początkiem roku ponownie zrobiło się głośno o CKE przy okazji wspomnianego odchudzania podstaw programowych. Choć zajmował się tym formalnie MEN, szybko okazało się, jak wiele do powiedzenia ma Komisja: jej przedstawiciele stanęli na czele większości z kilkunastu zespołów opracowujących korekty. Włącznie z tym najbardziej newralgicznym, dowodzonym przez dr Wiolettę Kozak. I choć kilka tygodni temu zrezygnowała ona z przewodzenia grupą, przedstawiciele CKE mieli do końca decydujący wpływ na nowe propozycje programowe. Dyr. Smolik uważa, że tak jest od 2008 r. i że decyzje w zespołach podejmowano demokratycznie. Krytycy są zupełnie innego zdania.

– Głównym problemem z CKE, a przy okazji z całym systemem oświaty jest to, że zamiast dostosowywać egzaminy do podstaw programowych, przykrawamy podstawy do wizji końcowych testów. I znowu powtarzamy pierwotny grzech polskiej oświaty, tzn. podporządkowujemy wszystko pod egzaminy – ocenia Renata Czaja-Zajder.

Jej organizacja, czyli „Protest z Wykrzyknikiem”, chce dymisji Smolika. Na razie nieskutecznie: pytana o ewentualne ruchy kadrowe w CKE szefowa MEN Barbara Nowacka powtarza, że takich zmian nie dokonuje się w trakcie roku szkolnego.

Co to oznacza dla szefa CKE, nie wiadomo. Nie wiadomo też, co na temat swojej przyszłości myśli sam zainteresowany. Na zadane mailowo pytania, co uważa za swój największy sukces 10-letniej kadencji, co za błąd i czy liczy się z rychłym zakończeniem misji, Marcin Smolik nie odpowiedział.

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



ARTUR RESZKO / PAP

Ucieczka do Europy

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Zgodnie z konstytucją, demokratyczne wybory powinny być pięcioprzymiotnikowe: bezpośrednie, równe, powszechne, tajne i proporcjonalne. W wyborach do Parlamentu Europejskiego ważniejsze są inne przymiotniki.

EUROWYBORY, PRZYNAJMNIEJ W POLSCE, są przede wszystkim finansowe, wewnątrzrywalizacyjne, zyskowo-ucieczkowo-pocieszające, promocyjne i emerytalne. Wielu Polaków mogłoby to oburzyć, ale raczej tak nie będzie. 9 czerwca pójdziemy do urn z innym zaangażowaniem niż przy niedawnej lokalnej elekcji, nie mówiąc o tym, jak wyjątkowe emocje wzbudzały jesienią wybory parlamentarne, kiedy to wykreśliśmy rekordową frekwencję. Starania o mandat sprawowany w Brukseli i Strasburgu wzbudzają najmniejsze poruszenie u wyborców, gdyż dotyczą nieco abstrakcyjnego z krajowego punktu widzenia bytu, jakim jest Parlament Europejski. Politycy jednak patrzą na to zupełnie inaczej.

Kasa iście europejska

Pierwsza cecha wyborów do PE to ich atrakcyjność finansowa. Wygrana zapewnia europosłowi bardzo dużą jak na warunki polskie gratyfikację, kilkakrotnie przewyższającą wynagrodzenia polskich parlamentarzystów. W efekcie mandat do pracy za granicą staje się czymś wyjątkowo atrakcyjnym nawet dla tych osób, które mogłyby odgrywać w krajowym życiu politycznym bardzo istotną rolę. Jak bowiem inaczej wytłumaczyć fakt, że o 53 mandaty w PE ubiega się aż 146 obecnych posłów i 8 senatorów. Tymczasem ranga fotela w Brukseli jest odwrotnie proporcjonalna do jego finansowej atrakcyjności. Oczywiście istnieją wyjątki, można w PE znaleźć sobie atrakcyjną niszę, ale



*Beata Szydło w trasie PiS busem.
Kampania wyborcza do Parlamentu
Europejskiego. Wysokie Mazowieckie,
28 maja 2024 r.*

zasadniczo nawet funkcje wiceprzewodniczących, piastowane w przeszłości przez kilku Polaków, choć prestiżowe, nie były politycznie znaczące. Większą rangę ma np. kierowanie komisją Parlamentu Europejskiego, która zajmuje się budżetem.

Niewielu obserwatorów naszego życia politycznego może jeszcze wierzyć, że aspekt finansowy nie stał się głównym motywem działalności publicznej w europarlamencie. Dlatego o mandat walczą zawzięcie nie tylko „nowi”, ale również ci, którzy chcą zasiadać w PE kolejną już kadencję – albo tam wrócić, jeśli z jakichś powodów wypadli z gry. Przykładem jest niemal „etatowy” europoseł Adam Bielan, który zasiadał w PE w latach 2004-14, ale który przez odejście z PiS w 2010 r., rok po kolejnym zwycięstwie w eurowyborach, stracił na jedną kadencję mandat. Gdy jednak udało mu się powrócić do Zjednoczonej Prawicy przez akces do ugrupowania Jarosława Gowina, bez wahania zamienił w 2019 r. fotel wicemarszałka Senatu na kolejny mandat europejski. W najbliższej elekcji znów kandyduje z PiS (mimo afery w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju), a za rywala na tej samej liście w okręgu mazowieckim ma innego polityka marzącego o powrocie do PE, Jacka Kurskiego.

Sporo można by też napisać o postaci Roberta Biedronia, który rozmienił

wizerunek nadziei polskiej lewicy nie na drobne, ale na wysokie wynagrodzenie w euro, z podobnych względów załatwiając miejsce na liście do PE swojemu życiowemu partnerowi, obecnemu wiceministrowi sprawiedliwości Krzysztofowi Śmiszkowi. Tu zresztą można przypomnieć słynną deklarację Biedronia sprzed eurowyborów w 2019 r., kiedy to na antenie TVN24 obiecał, że w razie wygranej zrzeknie się mandatu, żeby móc walczyć o Sejm w kolejnych wyborach. Nigdy tego przyrzeczenia nie dotrzymał.

Niewykluczone, że podobne motywy, choć być może nie tylko one, skłoniły do kandydowania do PE takich wpływowych polityków PO i członków rządu Donalda Tuska, jak Borys Budka czy Marcin Kierwiński. A także znanych „tropicieli” przekrętów PiS, obecnie zaś szefów dwóch komisji śledczych: Dariusza Jońskiego i Michała Szczerbę. Z powodu ich marzenia o karierze w Brukseli komisje na gwałt muszą kończyć pracę.

Przyjaciel, wróg, kolega z listy

Z aspektem finansowym wyborów wiąże się w pewien sposób drugi – wyjątkowo silny w przypadku tych wyborów element wewnętrznej rywalizacji w partiach. Ponieważ kandydatom bardzo zależy na mandatach, są w stanie swoich konkurentów na tych samych listach utopić w łyżce wody. Przy okazji wyborów do PE w sposób szczególny nasilają się wszelkie walki frakcyjne i negatywna, choć nie wprost, kampania wobec kolegów z partii. Jej elementem są m.in. napisy na plakatach kandydatów PiS na Podkarpaciu: „jestem stąd”. To oczywiście aluzja do kandydatury „spadochroniarza”, byłego prezesa Orlenu Daniela Obajtka, który startuje właśnie stąd i którego stać na kosztowną kampanię.

Trudno się też dziwić, że gdy ostatnio wybuchła sprawa nadużyć w Funduszu Sprawiedliwości, co najbardziej obciążło Suwerenną Polskę, przedstawiciele innych formacji i frakcji na listach PiS zaczęli się od SP mniej lub bardziej dyskretnie odcinać, licząc, że odium spływające na ziobrystów zwiększy ich szanse. Najmniej dyskretni są znani z (wzajem-

nej) niechęci do SP przedstawiciele frakcji Mateusza Morawieckiego. Stąd dosyć jednoznaczne dystansowanie się od środowiska Ziobry takich polityków PiS, a zarazem kandydatów do PE, jak Michał Dworczyk czy Waldemar Buda.

Ta „nielojalność”, jak można nieoficjalnie usłyszeć, miała zresztą na tyle zdenerwować Jarosława Kaczyńskiego, iż miał on podjąć decyzję o pozbawieniu Mateusza Morawieckiego szans na nominację prezydencką w przyszłorocznych wyborach, mimo relatywnie dobrych sondaży byłego premiera w porównaniu z innymi potencjalnymi kandydatami prawicy.

Atrakcyjność wysokich miejsc na listach do PE sprawia, że ich zdobycie jest traktowane w poszczególnych partiach jak miernik wpływów. W klubie parlamentarnym KO kandydatów do europarlamentu było wielokrotnie więcej niż miejsc na listach. Większość musiała obejść się smakiem, bo nie chcieli startować z dalszych pozycji, niedających większych szans na mandat.

Z kolei z kandydowania z list Trzeciej Drogi zrezygnował wieloletni europoseł PSL Andrzej Grzyb, bo w wewnętrznej rywalizacji „jedyńka” na liście wielkopolskiej przypadła Krzysztofowi Hetmanowi, który po ledwie czterech miesiącach odszedł z fotela ministra rozwoju i technologii w rządzie Donalda Tuska.

Mastalerek versus Szydło

Jednocześnie rozpoczął się wyścig o wsparcie ze strony politycznych gigantów. Nawet prezydent Andrzej Duda nie waha się ponad miarę wspierać kandydującego z wielkopolskich list PiS swojego totumfackiego, Wojciecha Kolarskiego. Z tym wiąże się zresztą głośna wymiana ciosów na portalu X między prezydenckim szefem gabinetu Marcinem Mastalerkiem a Beatą Szydło. Gdy była premier poparła kandydującego na Mazowszu Kurskiego, Mastalerek skomentował to słowem „obrzydlive”, co z kolei wywołało ripostę Szydło. Wszystko dlatego, jak można usłyszeć, że prezydent Duda wściekł się na byłą premier za wsparcie w Wielkopolsce nie Kolarskiego, ale innego weterana PE, Ryszarda Czarneckiego. On zaś jest niemal uosobieniem traktowania mandatu europejskiego jak intratnego źródła dochodu, ma nawet zarzuty związane z rzekomym wyłudzeniem pieniędzy na podróże służbowe. ➔

→ Prezes PiS Jarosław Kaczyński też ma swoich faworytów. W okręgu łódzkim wyraźnie promuje np. drugą na liście Joannę Lichocką, w okręgu warszawskim pojawiły się zaś banery ze wsparciem prezesa dla kandydującej z pierwszego miejsca Małgorzaty Gosiewskiej. Lider PiS jest tu zresztą dosyć konsekwentny – chętniej jednoznacznego wsparcia udziela kobietom. Nie dlatego, że jest ikoną walki o wyrównywanie szans obu płci – bardziej chodzi o to, że kobiety postrzega jako mniej groźne w wewnątrzpartyjnej walce o władzę.

W przypadku prezesa PiS jest ważne jeszcze to, że jeśli ktoś ma u niego „krechę” z powodu prawdziwej lub domniemanej nielojalności, nie trafia na listy, tak jak Krzysztof Jurgiel czy kojarzona ze znajdującym się w niełasce Ryszardem Terleckim Beata Mazurek.

Wybory do PE mają też silny wymiar zsyłkowo-ucieczkowo-pocieszający.

Oczywisty charakter „ucieczkowy” (przed wymiarem sprawiedliwości) ma obecne kandydowanie z list PiS Mariusza Kamińskiego, Macieja Wąsika czy Daniela Obajtka. Z kolei wymiar „zsyłkowo-pocieszający” można dostrzec w kandydowaniu Kamili Gasiuk-Pihowicz z KO. Liczyła ona na rządową posadę w resorcie sprawiedliwości, ale z powodu skomplikowanych gier koalicyjnych jej nie otrzy-

Jeśli ktoś podpadnie prezesowi PiS z powodu prawdziwej lub domniemanej nielojalności,

nie trafia na listy wyborcze,
jak Krzysztof Jurgiel
czy Beata Mazurek.

mała – dobre miejsce na liście jest dla niej formą partyjnego zadośćuczynienia.

Aspekt pocieszający przy okazji eurowyborów występuje też wtedy, gdy ktoś nie dostał się np. do Sejmu, a jest zasłużony. W tych wyborach do PE dotyczy to bardzo ważnej dla PO byłej wieloletniej prezydent Warszawy Hanny Gronkiewicz-Waltz. Na warszawskiej liście KO jest też Andrzej Rozenek, który przeszedł z lewicy, ale w ostatnich wyborach nie dostał się do Sejmu.

Jak wygląda koniec

Istnieje też wymiar promocyjny wyborów do PE, który czasem przynosi owoce całym formacjom. Dzięki relatywnemu sukcesowi w wyborach w 2019 r. powstała Konfederacja. Ale już fiaskiem

skończyło się stworzenie w związku z wyborami w 2009 r. podobnej ideowo polskiej odnogi formacji Libertas, która wtedy nie przekroczyła progu. Gwoździem do politycznej trumny Janusza Palikota stała się z kolei sromotna porażka w 2014 r. stworzonej wspólnie z Aleksandrem Kwaśniewskim i jego ludźmi formacji Europa Plus – Twój Ruch.

Jest wreszcie ostatni aspekt wyborów do PE – emerytalny. Parlament Europejski stał się, według słów Bartłomieja Sienkiewicza, „cmentarzyskiem politycznych słoni”, do którego zresztą on sam zamiesza dołączyć. Trafiają tam ludzie, którzy szczyt politycznej kariery mają zazwyczaj za sobą. W polskim przypadku to być może właśnie przypadek wspomnianego Sienkiewicza, ale także Leszka Millera, Marka Belki czy Włodzimierza Cimoszewicza. Cała trójka skutecznie powalczyła o mandaty w 2019 r. W najbliższych wyborach Belka i Cimoszewicz kandydują z list lewicy, natomiast Miller na razie kończy europarlamentarną przygodę, choć nie można wykluczyć jego powrotu do PE za 5 lat. Zapewne będzie chciał być wierny swojemu słynnemu zdaniu o tym, po czym poznaje się prawdziwego mężczyznę.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ

Lato z „Tygodnikiem”

TYGODNIK
POWSZECHNY

38% TANIEJ

za 62 dni nieograniczonego dostępu
49,90 zł zamiast 80 zł!

Kup na powszech.net/lato

WIECEJ
INFORMACJI



OFERTA WAŻNA
DO 31 SIERPNIA 2024

TOMASZ

Stawiszyński:

Kiedy skończył się King



„METALLICA SKOŃCZYŁA SIĘ NA »KILL'EM ALL«” – głosi popularny dowcip, którego potencjał komiczny bierze się naturalnie stąd, że Metallica tak naprawdę skończyła się na „czarnym albumie”. Każdy to przecieć wie. Z jed-

nym drobnym wyjątkiem – ja mianowicie uważam, że Metallica się od „czarnego albumu” zaczęła. No dobrze, żartuję, ale, jak wiadomo, w każdym żarcie jest tylko odrobina żartu, a reszta to prawda. Rzeczywiście, „czarny album” uważam za arcydzieło. Być może dlatego, że ukazał się w 1991 r., kiedy miałem ledwie trzynaście lat i życie nabierało niespotykanej intensywności. Wprawdzie moją największą muzyczną miłością było wówczas Depeche Mode, ale – dzisiaj już mogę się do tego bezpiecznie przyznać, taką mam przynajmniej nadzieję – kiedy tylko usłyszałem „Wherever I May Roam”, „The Unforgiven” oraz „Sad But True”, zrozumiałem, że świat się jednak nie kończy na „Personal Jesus”. I pomimo wszelkich obowiązujących w depechowskiej subkulturze tabuizacji zacząłem „czarnego albumu” słuchać regularnie. Rzec jasna, zawsze w stosownym odosobnieniu, żeby mnie przypadkiem nikt nie przyłapał. Słuchali tej płyty po kryjomu również inni depesze, a jakże, choć oczywiście zwierzałyśmy się sobie z tego niechętnie, z rzadka i wyłącznie tym, których uważaliśmy za najbliższych przyjaciół.

Przypominałem sobie to *dictum* o „Kill'Em All” całkiem niedawno, kiedy wziąłem do ręki „Im mroczniej, tym lepiej”, najnowszy zbiór opowiadań mojego ukochanego Stephena Kinga. Owszem, w trakcie lektury towarzyszyły mi zupełnie inne emocje niż w tym samym, co premiera „czarnego albumu”, roku 1991. Bo tak się składa, że właśnie owego lata – ku wyraźnej trwodze babci oraz ciotki, sprawujących nade mną wakacyjny nadzór – samowolnie zakupiłem powieść „Misery” w księgarni w Podkowie Leśnej. Nie ukrywam, znęcony złowrogo-krwawą okładką...

A potem już wszystko, jak w dobrym horrorze, wymknęło się spod kontroli. Ten pierwszy kontakt z prozą mistrza, muszę powiedzieć, wbił mnie w fotel. W sensie jak najbardziej dosłownym: na fotelu, szczęśliwie miękkim i wygodnym, łapczywie pochłonałem „Misery” w trakcie jednego popołudnia, które bezwiednie zmieniło się w wieczór i noc. Od tego momentu zaczęła się moja wielka miłość do Kinga. W księgarniach i na bazarach fanatycznie polowałem na jego książki – wyobraźcie sobie, nie było wtedy internetu – a kiedy już zdobycz wpadała mi w ręce,

każdą czytałem co najmniej kilka razy. Pamiętam też, jak w 1993 r. ukazało się trzysłowne wydanie Kingowskiego *opus magnum*, czyli „To”. Wracając z warszawskiego bazaru Volumen – na którym, dzięki obrotnym bukinistom, zdobyłem to cudo na kilka dni przed oficjalną premierą – o niczym innym, przysięgam, nie marzyłem, jak tylko o tym, żeby natychmiast zapaść na jakieś przeziębienie i bez zakłóceń (pod postacią szkoły) przeczytać całość jednym ciągiem. Słabe na to wprawdzie miałem widoki, bo wiosna była w rozkwicie, ale opatrność okazała się przychylna i niedługo potem w tajemniczy sposób wystąpił u mnie pełen zestaw grypopodobnych objawów.

Nie potrafię wskazać, kiedy dokładnie te emocje zaczęły się normalizować, entuzjazm spłaszczając, a anankastyczny odruch, żeby biec po każdą kolejną książkę natychmiast, kiedy się tylko ukaże – ustępować kontrolowanej niespieszności. Oczywiście, Kinga niezmiennie uważałem za autora wybitnego, niezmiennie uwodziła mnie jego zdolność portretowania amerykańskiej prowincji, tworzenia pełnokrwistych bohaterów, a nade wszystko – dostrzegania grozy w codzienności, nie zaś w starych gotyckich zamczyskach czy innych zmurszałych kryptach. Coraz częściej jednak znajdowałem w jego obfitej twórczości także i ewidentnie słabe pozycje, na początku lat dwutysięcznych zaś miałem wrażenie, że znalazł się w poważnym twórczym kryzysie (to skądinąd prawda – w następstwie wypadku, któremu uległ w 1999 r.). Zresztą większość rzeczy, które wydał po naprawdę genialnym „Worku kości” (1998), nie wprawiało mnie już w takie ekstazy uniesienia jak kiedyś. Przysnągę – przez długi czas trochę na Kinga narzekałem, trochę marudziłem, w duchu i stylu podobnym, co wspomniane na początku narzekania na Metallikę. I co te wszechobecne, odwieczne narzekania wielbicieli takich czy innych muzyków, pisarzy, malarzy czy filozofów, którzy to twórcy, zdaniem wielbicieli, nieodmiennie i nieuchronnie na czymś się zawsze kończą. A potem, od owego momentu, X to „już więcej nie jest to samo”.

Cóż, bez wątpienia istnieją w życiu każdego piszącego, nagrywającego czy malującego etapy najwyższej kondensacji twórczych mocy. Ale i w życiach ich wielbicieli istnieją również okresy najwyższej kondensacji intelektualnej oraz emocjonalnej chłonności. To całkiem naturalne – z wiekiem afekty i zaangażowania blakną, inne sprawy wywołują w nas ekscytację, inne rzeczy, jeśli w ogóle, działają na nas obezwładniająco. I chociaż lektura „Im mroczniej, tym lepiej” nie dostarczyła mi ekstazy i przerażeń takich, jak kiedyś „Misery”, „To” albo „Czwarta po północy”, to zarazem uświadomiła – nie ona jedyna, nie pierwszy raz – wartość i wagę tych długotrwałych relacji, w których pogodnie akceptuje się własną i cudzą zmianę, także wtedy, kiedy się ona łączy ze stratą (a przecież nieuchronnie się łączy). Nie ujmuję to tym relacjom nic z wyjątkowości, nie gasi ognia dawnych wzlotów i zachwyków, lecz jedynie ustawia je w stosownych pozycjach względem zagadkowych prawideł tego świata. ©

DOGMATY NIE SPADŁY Z NIEBA

Powinny wierze pomagać.
A często czynią ją jeszcze trudniejszą.

JÓZEF MAJEWSKI

FIODOR DOSTOJEWSKI DZIESIĘĆ LAT swego życia spędził na syberyjskim zesłaniu, gdzie poznał niejaką Natalię Fonwizinę, która odegrała ważną rolę w jego nawróceniu na chrześcijaństwo. W 1854 r. autor „Zbrodni i kary” w liście do niej wyznał: „Ileż strasznych mук kosztowało i kosztuje mnie (...) pragnienie wiary, które jest tym silniejsze w duszy mojej, im więcej jest we mnie dowodów przeciwnych. Jednakże Bóg zsyła mi niekiedy chwile, w których jestem absolutnie spokojny. (...) W takich chwilach ukształtowałem w sobie symbol wiary, w którym wszystko jest dla mnie jasne i święte (...): wierzyć, że nie ma nic piękniejszego, głębszego, sympatyczniejszego, rozumniejszego, odważniejszego od Chrystusa (...). Więcej, gdyby ktoś mi udowodnił, że Chrystus jest poza prawdą, i rzeczywiście byłoby tak, że prawda jest poza Chrystusem, to wolałbym pozostać z Chrystusem niż z prawdą”.

Nikommu nie życzę podobnych dylematów, ale w naszych czasach przydarzają się one katolickim i katolikom nie tylko z przyczyn zewnętrznych, związanych choćby z ogromnymi społecznymi i kulturowymi przemianami, napędzanymi przez rewolucje technologiczno-medialne, które stawiają wiarę przed nowymi pytaniami. Rzecz w tym, że dzieje

się tak również z przyczyn jak najbardziej wewnętrzkościelnych. Mam na myśli pogmatwane, niejasne i poplątane kościelne losy tego, co nazywamy dogmatami. Katolik ma je przyjmować w sumieniu, ale sumienie miewa z tym poważne kłopoty.

O skali tego pogmatwania świadczy choćby fakt, że niektórzy biskupi – w Polsce często cała Konferencja Episkopatu – zdają się windować na poziom dogmatu swoje wypowiedzi w takich kwestiach jak przykazania kościelne, antykoncepcja, gender, *in vitro* czy rola świeckich w Kościele. Jakby niezgoda na nie miała być tożsama z herezją i wyłączała ze społeczności kościelnej.

Wynoszenie niedogmatycznych poglądów i opinii na poziom dogmatów wprowadza w błąd, odstręcza od Kościoła i niekiedy każe katolickim i katolikom zupełnie niepotrzebnie mierzyć się z dylematami na miarę Fiodora Dostojewskiego, sprowadzającymi się do pytania: Chrystus czy dogmat?

Znikający grzech

Na jednym z rzymskokatolickich portali internetowych znalazłem taką oto charakterystykę dogmatu: „to prawda wiary, którą Kościół uznał za objawioną ludziom przez Pana Boga. (...) Można powiedzieć, że powstały [one] po to, by w pe-



wien sposób doprecyzować naszą wiarę. Nie ma zatem co się dziwić, że one po prostu są. (...) Nam, członkom Kościoła rzymskokatolickiego, dogmaty nie powinny w ogóle przeszkadzać. Wręcz przeciwnie – czynią one bowiem naszą wiarę bardziej klarowną, co sprawia, że staje się ona łatwiejsza do przyswojenia i zrozumienia”. Autor zdaje się postrzegać dogmaty jako oazę spokoju i bezpieczeństwa wiary. Owszem, nie ma co się dziwić, że dogmaty istnieją i że powstały po to, by doprecyzować wiarę. Ale życie uczy, że dogmaty mogą przeszkadzać i że wiara może się przez dogmaty stać mniej



Fragment fresku Ioannisa Kornarou z XV wieku. Toplou na Krecie, Grecja

klarowna, trudniejsza do przyswojenia i zrozumienia.

Znamiennym przykładem jest dogmat o „grzechu” pierwotnym. Jego tradycyjne brzmienie trzeszczy w wielu miejscach, ale oficjalni nauczyciele wiary wciąż od nowa forsują jego wykładnię, która wystawia wiarę wiernych na trudne dylematy. Oto kilka z tych trzeszczących miejsc:

Przed katolikami z jednej strony nauka rozciąga pasjonującą wizję ewolucji wszechświata, w tym gatunku *Homo sapiens*, a z drugiej strony katecheza maluje dogmatyczną, przedpo-

topową, dawno przebrzmiałą wizję prapoczątków wszelkiego stworzenia z Adamem i Ewą w rolach głównych, wizję statyczną, nieewolucyjną. Owszem, Jan Paweł II w 1996 r. powiedział do uczestników spotkania Papieskiej Akademii Nauk, iż „nowe zdobycze nauki każą nam uznać, że teoria ewolucji jest czymś więcej niż hipotezą”, tyle że cztery lata wcześniej promulgował Katechizm Kościoła Katolickiego (KKK), w którym słowa „ewolucja”, „ewolucjonizm” ani „teoria ewolucji” nie pojawiają się ani razu, nawet w partiach poświęconych stworzeniu wszechświata

i człowieka oraz „grzechowi” pierwotnemu! Tak samo mają się rzeczy w Kompendium katechizmu Kościoła katolickiego z 2005 r., podpisanym przez Benedykta XVI.

Jak wierzyć w dogmat o „grzechu” pierwotnym, niezmiennie prezentowany w katechizmach w sposób sprzeczny z podstawowymi ustaleniami nauk przyrodniczych o ewolucji świata i ludzkości? Jak wierzyć w dogmat, który kłóci się nawet z zupełnie podstawowymi ustaleniami egzegezy biblijnej co do natury początkowych partii Pisma Świętego?

Symbolicznie czy dosłownie

⇒ Otóż egzegeza od dawna powtarza, że pierwsze rozdziały Księgi Rodzaju, z ich odmiennymi literackimi narracjami (a jest ich więcej niż jedna!) o stworzeniu świata, mają naturę symboliczną, obrazową, metaforyczną. To od dawna oczywiste, że rajski wąż czy drzewo poznania dobra i zła, podobnie jak sam raj nie są faktami historycznymi, ale oddaniem chwały Bogu, który świat stworzył i zbawia ode złego. W konsekwencji również symbolicznie należałoby traktować Adama i Ewę.

Autorzy KKK przyznają, że biblijne narracje o stworzeniu są obrazowe, a nie dosłowne – węża czy rajske drzewo traktują symbolicznie (zob. nr. 390 i 396). Ci sami autorzy jednak, w tym samym fragmencie biblijnym akurat tylko Adama i Ewę pojmują jak najbardziej dosłownie i historycznie. Widzą ich jako pierwszych w dziejach wszechświata ludzi z krwi i kości, parę, która dała początek całemu rodzajowi ludzkiemu. Skąd takie odczytanie? Na to pytanie w KKK brak odpowiedzi.

Katechizm opowiada się za poglądem, że na początku rodzaju ludzkiego stanęła jedna para, podczas gdy badania naukowe temu przeczą. „Dobór naturalny może efektywnie działać tylko

w obrębie dość znacznej populacji gatunku przodka, co oznacza, że gatunek *Homo sapiens* nie mógł się wyłonić z jednej pary (monogenizm). (...) obecna populacja gatunku ludzkiego zawiera zbyt wielką genetyczną różnorodność pochodzącą od jego przodków, która mogłaby być tej populacji przekazana przez jedną parę. Monogenizmu nie broni także koncepcja mitochondrialnej Ewy, ponieważ identyfikacja mitochondrialnego DNA nie pozwala na jednoznaczne wskazanie wspólnego dla danej populacji przodka” – piszą ks. Wojciech P. Grygiel i ks. Damian Wąsek w książce „Teologia ewolucyjna”.

Dogmat głosi, że przed „grzechem” pierwotnym w świecie panowała harmonia, brakło cierpienia i śmierci, Adam i Ewa cieszyli się pierwotną sprawiedliwością i świętością, nienapastowani pożądliwością, czyli skłonnością do złego itd. To dopiero ów „grzech” miał zniszczyć pierwotną harmonię, sprowadzić na ludzi i świat zło i katastrofy, cierpienie i śmierć.

Na taką wizję nie ma miejsca w naukach przyrodniczych, według których – jak podkreśla biblista Marcin Majewski – „do natury człowieczeństwa [tj. od samego początku istnienia ludzi] należy niedoskonałość, skłonność do zła mo-

ralnego, choroba, trud, cierpienie, płciowość naznaczona pożądaniem, rywalizacja między gatunkami i wewnątrzgatunkowa, a wreszcie śmierć. (...) Śmierć, wrogość i wzajemne zabijanie się różnych gatunków, wymieranie, choroby, pożądliwość, dysfunkcje, mutacje i wszelkiego rodzaju zło fizyczne i moralne – istniały w świecie od samego początku istnienia życia (...). Nie są więc efektem historycznego grzechu, ale są wpisane w naturę funkcjonowania świata. (...) Słabość, grzeszność, cierpienie i śmierć są częścią natury, a skłonność człowieka do zła nie jest czymś zawinionym, lecz jest jego wyposażeniem ewolucyjnym, za które nie ponosi odpowiedzialności”.

Dogmat o „grzechu” pierwotnym szczególnie od czasów narodzin teorii ewolucji stanowi prawdziwy *crux theologiae*. Teologowie i teolożki szukają – wciąż właściwie bezskutecznie, chociaż z podziwu godnym zaangażowaniem – nowych jego formuł i wykładni, aby uwolnić wierzących od rozdarcia między sprzecznymi ze sobą wizjami wszechświata i człowieka.

Dogmatyczny niepokój

Teoria ewolucji wstrząsa nie tylko dogmatem o „grzechu” pierwotnym, ale także innymi doktrynami, jak wszechmoc Boga i Boża opatrność. Jak rozumieć np. opatrność Bożą, jeśli cierpienia, męczarnie i śmierć, szczególnie istot najsłabszych, pierwszych ofiar doboru naturalnego, „odrzutów” ewolucji, z istoty charakteryzują przyrodę ożywioną, którą właśnie jako taką, dodaje wiara, stworzył Bóg będący miłosierną Miłością. Jak to pojąć w wierze?

Dogmaty nie muszą być postrzegane jako oazy spokoju. Historie konkretnych dogmatów, jeśli przyjrzeć się im uważnie, zaglądając nie do katechizmów, ale do archiwów czy dokumentów, okazują się zwykle burzliwe, czasem tragiczne, przepełnione dobrą i złą wolą, modlitwami i ośzczerstwami, błogosławieniem i przeklinaniem. Ślad tego wszystkiego odcisnął się na wielu pierwotnych definicjach dogmatycznych pod postacią słynnej formuły *anathema sit!* („niech będzie wyklęty!”), wykluczającej ze wspólnoty Kościoła, czyli przeznaczającej na wieczne potępienie niedowiarłów, ale i inaczej myślących, problematyzujących język

ś.†P.

Michał Szczepański

Filmowiec, Pisarz, Scenarzysta

Brat, Wuj, Szwagier, Kuzyn, Przyjaciół, „Ujek Michał”

odszedł 24 maja 2024 r.

Msza Św. Żałobna zostanie odprawiona
w piątek 7 czerwca o godzinie 13.00 w kościele
pod wezwaniem św. Antoniego w Brzegach,
koło Bukowiny Tatrzańskiej, po czym nastąpi odprowadzenie
Michała na miejsce wiecznego spoczynku,

o czym ze smutkiem zawiadamiają:

RODZINA I PRZYJACIELE

POŻEGNANIE

definicji czy przyjęte doktrynalne rozwiązania.

Praktycznie każdy dogmat rodził się w niepokoju, w sporze i kłótni, zdarzało się, że trwających dziesiątki, a nawet setki lat. Dogmaty często wikłyły się w politykę, wewnątrzkościelną i świecką. W książce o Soborze Trydenckim (XVI w.) „Trydent: co się wydarzyło podczas soboru” amerykańskiego historyka, jezuita Johna O'Malleya słowo „polityka” czy „polityczny” występuje prawie co pięć stron. Z kolei w studium tego samego autora „Co się zdarzyło podczas Soboru Watykańskiego Drugiego” (1962-1965) – co siedem stron. Tymczasem w jego pracy „Historia papieży” o „polityce” mowa na 120 z 370 stron! W czterech tomach znakomitej „Historii dogmatów”, pod redakcją jezuita Bernarda Sesboué, na łącznie ponad 2000 stron słowa „polityka” czy „polityczny” można przeczytać prawie 240 razy.

Ochryple wrzaski na Soborze

Jak wiele niepokoju mogą kryć w sobie dogmaty, dobrze widać na przykładzie historii doktryny Soboru Nicejskiego z 325 r., na którym biskupi zajmowali się tajemnicą Jezusa Chrystusa, ogłaszając dogmat o Jego bóstwie i człowieczeństwie. Wcześniej jednak doszło do potężnych teologicznych oraz kościelno-politycznych przepychanek, walk i wstrząsów. Jednym z głównych ich bohaterów był niejaki Ariusz (zm. 336 r.), teolog i prezbiter z Aleksandrii, który zastanawiał się nad naturą Jezusa Chrystusa względem Boga Ojca.

W „Historii dogmatów” czytamy: „Jego doktryna rozprzestrzenia się bardzo szybko (...). Ariusz miał bowiem przyjaciół wśród biskupów na tamtych terenach, (...) zwłaszcza wpływowego Euzebiusza z Nikomedii (...). Ariusz pisze do nich i prosi o wsparcie. Wobec powagi, jakiej nabierała cała sprawa, [biskup] Aleksander [największy przeciwnik Ariusza] zwołuje lokalny synod biskupów Egiptu i Libii w Aleksandrii, który potępia, składa z urzędu i ekskomunikuje Ariusza. (...) Wygnany z Aleksandrii, Ariusz chroni się w Palestynie, następnie w Nikomedii (...). Dwa synody usiłują wstawić się za nim. Zamęt religijny jest wówczas wystarczająco poważny, by stać się problemem politycznym. Po swym zwycięstwie nad Licyniuszem w 324 r., [cesarz] Konstantyn stara się za-

**Choć dogmaty są filarami
wiary chrześcijańskiej,
jesteśmy dziedzicami
bardzo ziemskiej
i kruchej ich postaci.**

prowadzić pokój religijny i postanawia zwołać sobór. Będzie to pierwszy sobór powszechny [w Nicei]. Jak osądzić osobę Ariusza? Jak zawsze, gdy chodzi o »herezyków«, zwyczajnie tamtej epoki chcieli, by ich portret malował się w czarnych barwach: »pełen próżności«, »chytro wąż«, »oszustwo w manierach«, »uwodzicielska słodycz«, pisze [biskup] Epifaniusz z Salami. Poprzez całą serię pejoratywnych sądów, odgadujemy mimo wszystko, że chodziło o ascetę o wielkiej finezji psychologicznej, bardzo uzdolnionego w dziedzinie przekazu duszpasterskiego, dobrego znawcę Pism, a także wykształconego w dialektyce. Pytanie, jakie stawia wierze chrześcijańskiej, wcale nie jest przeciętne”.

Sobór w Nicei potępił Ariusza i ogłosił *Credo*, na które złożył się swoisty zestaw podstawowych do dziś dogmatów wiary Kościoła, które głośno powtarzamy w niedzielnej liturgii, wyznając wiarę m.in. w jednego Pana Jezusa Chrystusa, Boga prawdziwego z Boga prawdziwego, który dla zbawienia ludzi stał się człowiekiem, cierpiał i zmartwychwstał trzeciego dnia. Sobór dodał do tego: „Tych, którzy mówią: »był kiedyś czas, kiedy go [Chrystusa] nie było« lub »zanim się narodził, nie był« lub »stał się z niczego« lub pochodzi z innej hipostazy, lub z innej substancji [niż Bóg Ojciec], lub że Syn Boży jest zmienny i przeobrażalny, tych wszystkich powszechny i apostołski Kościół wyłącza (*anathematizei*)”. Owe cytaty odnosiły się do poglądów Ariusza.

Soborową doktrynę trzeba uznać za znaczące osiągnięcie, owocujące pewną klarownością i otwierające doktrynę na kolejne doprecyzowania wiary, które przyjdą z kolejnymi starożytnymi soborami. Jednak bynajmniej nie pod każdym względem wiara stała się przez to klarowniejsza i łatwiejsza do przyjęcia. Nie tego dowodzą wydarzenia, jakie rozegrały się w Kościele po zamknięciu nicejskich obrad. Św. Bazyli Wielki (zm. 379 r.) tak je opisał: „Ochryple wrzaski tych, którzy skłóceni

występują przeciw sobie; niezrozumiała gadanina, bezładny zgłęb krzyczących bez ustanku wypełnił już cały Kościół, zniekształcając – przez nadgorliwość lub uchybienia – prawdziwą naukę wiary”.

Sobór w Nicei w dziedzinie doktryny zamknął jedną puszkę Pandory, ale otworzył drugą. Podobnie miały się rzeczy w przypadku innych soborów, także tego ostatniego – Soboru Watykańskiego II (1962-1965). Benedykt XVI w grudniu 2005 r. – w czterdziestą rocznicę jego zakończenia – oznajmił: „Nie chcę odnosić tego dramatycznego opisu [pióra Bazyli Wielkiego] do sytuacji po ostatnim Soborze, niemniej częściowo odzwierciedla on to, do czego doszło”.

Ziemskie i kruche

Dogmaty są wynikiem długich, bardzo ludzkich trudów intelektualno-duchowych, historii złożonych zmagających się z życiowych, teologicznych, modlitewnych, liturgicznych, filozoficznych, naukowych, kulturowych, obyczajowych i politycznych. Doprawdy, żaden z nich nie spadł gotowy z nieba. Jesteśmy dziedzicami i dziedzicami bardzo ziemskiej i kruchej postaci tych filarów wiary chrześcijańskiej.

Problem w tym, że ta ich ziemskość i kruchość często jest z nich – w katechizmie i katechizmach, na ambonach i w pobożnych publikacjach – na siłę usuwana, jakby ich natura była czysto niebiańska. Jeśli jednak życia i historii ludzi są pełne trudów, goryczy i bólu, ale także pocieszeń, szczęścia i pokoju oraz jeśli dogmaty rodzą się właśnie z takich żyć i historii oraz ich dotyczą, to trudno się dziwić, że jest w nich radość i smutek, szczęście i cierpienie, pokój i niepokoje.

Wbrew pobożnym przekazom, dogmaty mogą przeszkadzać i utrudniać przyjęcie i zrozumienie wiary. Mogą rodzić wielkie trudności, dla których często brak zadowalających rozwiązań. Znam wierzących, którzy zazdroszczą niewierzącym, że ci nie muszą mierzyć się z takimi problemami. Mierzenie się z trudnościami samo w sobie jednak jest częścią ziemskiej przygody wiary i nie jest to jej słabość, ale zwykła cecha, o czym pisali już autorzy ksiąg biblijnych. Szczególnie Księgi Hioba i Księgi Koheletha, u których więcej jest pytań, problemów i niepokojów wiary niż odpowiedzi, rozwiązań i spokoju.

© JÓZEF MAJEWSKI



Pastor Nikołaj Bortuckij z córkami w swoim domu w Użhorodzie. Lipiec 2023 r.

Pastor, co nie chciał do swoich

TEKST **EWA WOŁKANOWSKA-KOŁODZIEJ** Z UŻHORODU (UKRAINA)
ZDJĘCIA **PIOTR WÓJCIK / PICTURE DOC**

W jednej miejscowości na Zakarpaciu może działać nawet pięć różnych romskich wspólnot religijnych.

NAWRÓCIŁ SIĘ GWAŁTOWNIE W WIEKU dwudziestu lat. Wcześniej z hukiem nawróciła się jego mama. Dostało się jej za to, że hej. – Wracam kiedyś do domu i widzę, że talerze i szyby są potłuczone. Zapytałem, co się stało, a mama mówi: „Babcia była z wizytą”. Oskarżyła swoją córkę o zdradę. Społeczność romska tak mamę nękała, że ona w pewnym momencie przestała dawać radę i myślała nawet o samobójstwie – opowiada 51-letni pastor Nikołaj Bortuckij.

Urodził się w Rosji, ale po kilkunastu latach rodzina przeniosła się na wschód Ukrainy w okolice Charkowa, gdzie mieszka duża społeczność romska. W większości wyznająca prawosławie, tak jak 61 proc. z blisko 41 mln mieszkańców

Ukrainy, choć trzeba zaznaczyć, że wszystkie dane pochodzą sprzed wojny. – Każdy Rom wierzy w Boga, ale czy to wystarczy? Romskie prawosławie jest pomieszane z pogaństwem – mówi Nikołaj. – Dużo w nim tradycji, wróżb, czyli innymi słowy okultyzmu. My z mamą odnaleźliśmy Boga w Kościele baptystów, więc w oczach innych Romów zostaliśmy zdrajcami, którzy wyrzekli się wiary swoich przodków.

Około miliona obywateli Ukrainy, czyli 2,4 proc. mieszkańców, wyznaje protestantyzm. W niektórych częściach kraju działa po kilka różnych wspólnot, z których największymi są baptyści, zielonoświątkowcy i adwentyści. Historia protestantyzmu na tych ziemiach sięga nawet XVII wieku – kiedy z terenów Woły-

nia i Podlasia nowa religia zaczęła się rozprzestrzeniać na Podole, Zakarpacie czy okolice Kijowa. Ożywienie tych wspólnot nastąpiło w latach 90. ubiegłego wieku po rozpadzie Związku Radzieckiego. Wtedy zagraniczni misjonarze mogli z większą swobodą działać na tych terenach.

Wchodzę tam

Niemający swojego państwa Romowie zazwyczaj przyjmują religię dominującej większości, więc w Ukrainie można spotkać zarówno Romów prawosławnych (głównie na wschodzie kraju), grekokatolików i katolików (na zachodzie), jak i protestantów (duże skupiska są na Zakarpaciu, wschodzie, jak również w zachodniej części kraju).

– Niedaleko naszego domu znajdował się dom modlitwy baptystów i ja jako nastolatek bardzo się tego miejsca bałem. Mówiło się, że to sekta, więc myślałem, że dzieją się tam straszne rzeczy – opowiada Nikołaj Bortuckij. – Mama z moją ciotką i babcią zawsze miały ten dom, gdy szły do cerkwi. Któregoś razu, przechodząc tamtędy, mama usłyszała głos: „Szukasz prawdy, która jest tutaj”. I tak trzy razy, każdej kolejnej niedzieli. W końcu powiedziała swojej siostrze i mamie: „Wy róbcie, co chcecie, a ja wchodzę tam”. Pastor akurat głosił kazanie. „Mówił o całym moim życiu. O wszystkim, co czułam i przez

co przeszłam. O bólu w sercu, o zmar-
twieniach i o tym, że Chrystus chce dać
mi nowe życie”, tak opowiadała potem
mama – kontynuuje opowieść Nikołaj.

Dołączyła do baptystów, a Nikołaj od-
nalazł Boga (bo takich słów używa, by
opowiedzieć o nawróceniu) niedługo po-
tem. Odkrył w sobie ducha ewangeliza-
tora. Szedł do sąsiadów Rosjan i Ukraiń-
ców, by tłumaczyć im Pismo Święte. Wy-
bierał się nawet na misje do Afryki. Bał
się jednego – iść do Romów. Do swoich.

Znaki

Po nawróceniu znaki widział wszędzie.
Skanował swoje życie, wyszukując z prze-
szłości wydarzenia, które były wskazów-
kami z nieba. – W Związku Radzieckim
Biblia była książką zakazaną, ale z jakie-
goś powodu moja mama bardzo chciała
ją mieć. Zobaczyła ją kiedyś w kiosku
w Odessie i kupiła, choć kosztowała ma-
jątek. Tak pojawiło się u nas w domu Pi-
smo Święte. Mama je czytała, czytałem też
ja – mówi Nikołaj.

To był znak pierwszy, najważniejszy.
Kiedy dołączył do Kościoła baptystów,
unikał Romów. Bał się wyszydzenia i nę-
kania takiego, jakiego doznała jego matka.
Miał wtedy zwyczaj biegania rano: dobie-
gał do dużego drzewa, modlił się przy
nim, a następnie wracał do domu. Wła-
śnie tam miał wizję, która zmieniła jego
nastawienie. – Zobaczyłem wielką drogę,
którą szedł cały świat: ludzie z wszystkich
krajów, narodów i kultur. Na jej poboczu
było natomiast bardzo brudno. I to w tym
miejscu w błocie tkwili Romowie. Wszy-
scy ich mijali, nie zwracając na nich uwagi.
Bóg powiedział mi tak: „Ci ludzie nie są po-
trzebni Kościołom, nie są potrzebni pań-
stwom, ale ja ich chcę i kocham, ponieważ
za nich umarłem” – opowiada Nikołaj.
A trzeba wiedzieć, że ma dar opowiadania.

Dwa tygodnie później 20-letni Niko-
łaj wsiadł ze swoją mamą do samochodu
i pojechał do romskiej osady w mieście
Merefa, żeby ewangelizować Romów.
Mówi, że nawróciło się wtedy wielu lu-
dzi i że w ogóle w ciągu roku cała ro-
dzina przeszła do Kościoła baptystów,
a w ciągu kilku następnych lat również
blizsi i dalsi kuzyni Nikołaja. Po jakimś
czasie w Merefie powstał istniejący do
dzisiejszego dnia kościół, w którym
25-letni Nikołaj został pastorem. Współ-
nota zgromadzona w tym taborze – bo
tak nazywa się romskie osady w Ukra-

inie – kupiła duży namiot i jeździła z tym
namiotem po całym obwodzie charkow-
skim. Rozstawiano go w miejscach za-
mieszkania Romów i głoszono tam
Słowo Boże. Tak naprawdę od tamtego
czasu życie zawodowe Nikołaja zaczęło
oscylać między kościołem a działalno-
ścią na rzecz społeczności romskiej – naj-
bardziej dyskryminowanej mniejszości
etnicznej w Europie.

Praca humanitarna

Według badań przeprowadzonych przez
Agencję Praw Podstawowych Unii Euro-
pejskiej z 2016 r. co trzeci Rom mieszka
w budynku, w którym nie ma wody
w kranie. Co trzecie romskie dziecko
mieszka z ludźmi, z których ktoś poszedł
spać głodny przynajmniej raz w poprzed-



*Podczas domowej modlitwy w dzielnicy
Radwanka. Użhorod, lipiec 2023 r.*

nim miesiącu, a połowa Romów w wieku
6-24 lata nie uczęszcza do szkoły w ogóle.

Bardzo trudno jest określić, ilu Romów
mieszka dziś w Ukrainie. Nawet przed wy-
buchem wojny nikt nie mógł powiedzieć
tego na pewno. Według danych spisu lud-
ności z 2001 r. było ich niecałe 50 tysięcy.
Tyle że to nie może być prawda. Zarówno
Rada Europy, jak i organizacje pozarzą-
dowe twierdzą, że tę liczbę trzeba pomno-
żyć nawet dziesięć razy. Najwięcej Romów
mieszka na Zakarpaciu, w rejonie Odessy
i Charkowa. Wielu nie ma żadnych doku-
mentów, niektórzy boją się przyznawać
do swojej narodowości i obcym osobom
mówią, że są na przykład Mołdawianami.
Nic dziwnego – tylko w ostatnich latach
w Ukrainie Zachodniej i Zakarpaciu zo-

stało zamordowanych z nienawiści kilku
Romów i Romek. Ukraińską policję bada-
jącą sprawy napaści na Romów zazwyczaj
cechowała opieszałość i udało się zatrzy-
mać jedynie nielicznych sprawców.

Nikołaj Burluckij od prawie dwudzie-
stu lat jest prezesem organizacji Czaczimo,
zajmującej się edukacją, pomocą humani-
tarną i integracją Romów w społeczeń-
stwie ukraińskim. W Charkowie praco-
wał nad budowaniem dialogu między wła-
dzami lokalnymi i społecznością romską.
Organizacja miała specjalny numer tele-
fonu, pod który Romowie mogli dzwonić,
jeśli działo się coś złego, a pracownicy orga-
nizacji mogli reagować na każdy przejaw
dyskryminacji bardzo szybko. – Prowa-
dzę różnego rodzaju szkolenia jako trener.
Umiem przemawiać, mam wiedzę. Czę-
sto kiedy ludzie dowiadują się, że jestem
Romem, są w szoku: „Naprawdę?! Trudno
w to uwierzyć”. A ja wtedy mówię: „Wasz
komplement jest miły, ale jednocześnie
mnie zasmuca, bo poniża mój naród. Ja
nie jestem innym Romem niż ci, do obrazu
których jesteście przyzwyczajeni. Jestem
prawdziwym Romem”. Często po szkole-
niach ludzie mówili mi, że ich opinia o Ro-
mach się zmieniła – opowiada.

Był dom, nie ma domu

Kiedy w 2022 r. Rosja zaatakowała Ukra-
inę, Nikołaj był rozdarty. Z jednej strony
czuł się odpowiedzialny za ludzi ze swo-
jego Kościoła, z drugiej – za żonę i trzy
córki. Postanowił, że na kilka tygodni
(zanim wojna się skończy) razem z czter-
dziestoma Romami ze wspólnoty wyje-
dzie do Użhorodu na Zakarpacie, skąd po-
chodzi żona Nikołaja. Lokalni pastory
protestanccy pomogli znaleźć im miej-
sce do tymczasowego życia. – Tydzień
później sąsiad z Charkowa wysłał zdjęcie
naszego domu. Był całkowicie spalony.
Jesteśmy religijną rodziną, więc kiedy
dotarło do nas, że nie mamy domu, usie-
dliśmy i zaczęliśmy dziękować Bogu za
to, że żyjemy. Postanowiliśmy też spro-
wadzić z Charkowa nasz duży namiot.
To się udało. Rozbiliśmy go w Użhoro-
dzie i przez rok spotykaliśmy się tu na
modlitwie – mówi. Następnego dnia po
tym, jak namiot został wysłany, w budy-
nek poczty w Charkowie trafił pocisk i ta
przestała istnieć. Znaki. Wszędzie znaki.

Nikołaj był przekonany, że zamiast
zniszczonego domu, dostaną od Boga
lepszego. I tak się stało. Rodzinie udało się →



Sasza Badžo podczas rozmowy o Biblii z mieszkańcami Radwanki. Użhorod, lipiec 2023 r.



Spotkanie modlitewne w romskim taborze we wsi Welka Dabroń. Lipiec 2023 r.

→ kupić ze swoich oszczędności duży, piękny dom w centrum Użhorodu. Kosztował połowę ceny rynkowej. Właściciele zachodzili w głowę, dlaczego nie udawało się im go sprzedać. A Nikołaj wiedział. Bóg zarezerwował go dla nich.

Duchowni w taborze

Po roku wszystkie osoby, z którymi Nikołaj przyjechał z Charkowa, postanowiły wyjechać do Niemiec. Zresztą mówi się o tym, że co najmniej jednak trzecia zakarpaccich Romów po wybuchu wojny wyjechała za granicę i nie każdy z nich został dobrze tam przyjęty, nie każdy odnalazł się w nowym społeczeństwie. – Cóż, na tle ogólnych problemów, problem dyskryminacji staje się mniej widoczny. Jednak sposób myślenia ludzi się nie zmienił. Powiem więcej: w czasach kryzysu negatywne stereotypy stają się jeszcze bardziej negatywne – mówi.

Organizacja Czaczimo zaczęła działać na rzecz Romów w Użhorodzie. Kilka razy wysyłała pomoc humanitarną na front, ale Nikołaj uznał, że o ludziach walczących na froncie, jak i mieszkających w jego sąsiedztwie, pamięta się; o ubogich Romach z Zakarpacia nie pamięta prawie nikt i nie dociera do nich prawie żadna pomoc. To właśnie te najbiedniejsze rodziny są wspierane przez organizację prowadzoną przez Nikołaja.

Nikołaj w swoim domu ma miejsce modlitwy, gdzie prowadzi nabożeństwa. Naucza przez internet, jeździ też do protestanckich kościołów w romskich taborach rozrzuconych po Zakarpaciu. – Nie zakładam własnego Kościoła. Usłyszałem wezwanie od Boga, by wspierać istniejące tu wspólnoty. Zwłaszcza te biedne, w wioskach, gdzie Romowie często nie potrafią czytać i pisać. Ja mam dar nauczania i dużą wiedzę na temat Pisma Świętego.

Jeżdżę więc do tych miejsc i tam prowadzę szkolenia biblijne, nauki – opowiada.

W jednym taborze czasem działa kilka różnych protestanckich kościołów i kilku pastorów, którzy mają spory wpływ na mieszkańców. Mówi się o tym, że w społecznościach romskich odgrywają oni nie raz rolę nie tylko duchownych, ale też pracowników społecznych czy edukatorów. Rozstrzygają spory rodzinne, uczą zasad higieny, prowadzą jadalnię dla dzieci. Czasami właśnie w kościele Romowie dowiadują się, że mogą prowadzić inne życie, wyrwać się z biedy, pójść do szkoły.

Powiem szczerze

Część romskich mężczyzn z Ukrainy walczy na froncie. Pastorzy są więc też tymi, którzy wysłuchują niepokojów ich bliskich. – Nie rozmawiam z ludźmi o polityce, ponieważ ona nie zmienia życia. Rozmawiam o ich bólu, zmaganiach, lękach. Kiedy człowiek dozna przebaczenia od Boga, wtedy sam ma moc przebaczenia innym, również swoim oprawcom. Najważniejszymi problemami nie są te, które dzieją się w państwie, lecz te, które mają miejsce w rodzinach. Tam jest najwięcej bólu, a im bardziej boli, tym trudniej przebaczyć.

Nikołaj mówi tak, jakby głosił kazanie. Zastanawiam się jednak, jaki jest tak naprawdę jego stosunek do wojny i czy pochwała zgłaszanie się swoich wiernych na ochotnika do wojska.

– Każdy człowiek ma jakieś powołanie. Obowiązkiem policjanta jest noszenie broni i utrzymywanie porządku. Powołaniem pastora jest zajmowanie się sferą duchową. Jeśli więc ktoś jest powołany do obrony swojej ojczyzny, to jest to jego powołanie. Osobiście uważam, że człowiek wierzący powinien bronić swojego domu i swojej rodziny, ale nie ma prawa odbierać życia innym ludziom, bo to Bóg dał je człowiekowi. Takie jest moje stanowisko – mówi pewnie, nie zdradzając tonem głosu żadnej wątpliwości. – Powiem jednak szczerze... jeśli moja rodzina byłaby w niebezpieczeństwie, to tak naprawdę nie wiem, jak bym się zachował.

© EWA WOŁKANOWSKA-KOŁODZIEJ

Fotoreportaż powstał dzięki wsparciu Fundacji w Stronę Dialogu, która po rozpoczęciu inwazji Rosji na Ukrainę pomaga romskim uchodźcom, prowadząc Centrum Społeczności Romskiej.

Strzały w kościele

MACIEJ MÜLLER

Do św. Stanisława i abp. Romero dołączy wkrótce kolejny kapłan zamordowany przy ołtarzu: proboszcz z wielkopolskiego Lubonia ks. Stanisław Streich.

MSZA DLA DZIECI ZACZĘŁA SIĘ O 10.00. Wcześniej ks. Stanisław Streich przez pół godziny spowiadał. Po odprawieniu mszy zdjął ornat, wziął ewangelia i ruszył w kierunku ambony, by wygłosić kazanie. Wtedy z tłumu zgromadzonych wyskoczył mężczyzna i z bliska wypalił mu z pistoletu prosto w twarz.

Z zimną krwią

Wybuchła panika, wierni rzucili się do drzwi. Tymczasem zamachowiec wskoczył na ambonę i wykrzykiwał: „Niech żyje komunizm” i „Wynoście się z kościoła, zabiłem księdza za naszą i waszą wolność”. Potem próbował uciec, ale rzucił się na niego kościelny Franciszek Krawczyński. Zamachowiec wypalił, raniąc go w skroń i ramię.

Kościół był w budowie; wyjście znajdowało się w lewej nawie i tam tłoczyli się spanikowani wierni. Zamachowiec wiedział o rezerwowym wyjściu w nawie głównej, jednak drogę zabiegli mu kolejarz Józef Mańczak i organista Franciszek Szulc. Mańczak chwycił i wykręcił dłoń mężczyzny, rozbrajając go, i powalił na ziemię. Ludzie rzucili się, gotowi do linczu. Kolejarzowi i organiście udało się jednak opanować sytuację i poprowadzili zabójcę na dworzec. Wkrótce potem pojechał pod eskortą do poznańskiego aresztu śledczego.

Zamachowiec – stwierdzono w śledztwie – użył łatwego do ukrycia, sześciostrzzałowego pistoletu Browning Baby. Ks. Streicha trafiły dwie kule: pierwsza utkwiała w mózgu, druga przebiła płuco. Kapłan zginął na miejscu, jak zanotowano: 27 lutego 1938 roku, o godzinie 10.30.



Ks. Stanisław Streich (z prawej) z grupą dziewcząt przystępujących do pierwszej komunii

Pieczęć papieska

23 maja 2024 r. papież Franciszek upoważnił prefekta Dykasterii ds. Kanonizacyjnych do promulgowania ośmiu dekrétów. Jeden z nich dotyczy męczeństwa ks. Stanisława Streicha. Wcześniej nad jego sprawą obradowali kardynałowie i biskupi z Dykasterii. Uznali, że prowadzony od 2017 r. proces wykazał, iż ks. Streich zginął za wiarę, a jego zabójca działał w *odium fidei* – nienawiści do wiary.

Orzeczenie o męczeństwie skraca drogę na ołtarze: nie trzeba czekać na świadectwo cudu. Polski Kościół może liczyć niebawem na kolejnego błogosławionego, który dołączy do grona czczonych kapłanów zamordowanych przy ołtarzu: Tomasza Becketa, św. Stanisława czy współczesnego biskupa Óscara Romero.

Patron proboszczów

W przeciwieństwie do wyżej wymienionych ks. Stanisław Streich nie walczył z okrucieństwem tyranów. Z powodzeniem będzie mógł zostać patronem proboszczów, którzy z cierpliwością, wytrwale i bez rozgłosu po prostu wykonują swoją robotę duszpasterską.

Urodził się w 1902 r. w Bydgoszczy, po osiągnięciu pełnoletności wstąpił do seminarium duchownego w Poznaniu, potem w Gnieźnie. W 1925 r. otrzymał święcenia kapłańskie, po czym pracował jako kapłan zakonnic, katecheta i wikariusz.

W 1933 r. został proboszczem parafii w podpoznańskim Żabikowie. Na jej terenie znajdowała się wieś Luboń, według Streicha potrzebująca własnego kościoła. Wystarał się w diecezji o wydzielenie tam parafii pw. św. Jana Bosko i w 1935 r. został jej proboszczem.

Luboń zamieszkiwały głównie ubogie rodziny robotnicze. Abp Stanisław Gądecki, który od lat starał się o beatyfikację ks. Streicha, tak opisywał jego działalność duszpasterską w liście pasterskim z 2016 r.: „Młody proboszcz zorganizował niemal od podstaw życie parafialne, dokonując wewnętrznego zjednoczenia wiernych i nadając kierunek rozwoju parafii. Powołał do życia szereg znakomicie rozwijających się organizacji katolickich”.

W ukryciu i podstępnie

Proboszcz nie miał łatwego życia. Od 1937 r. powtarzały się akty wandalizmu: w kwietniu nieznani sprawcy włamali się do kościoła, uszkadzając tabernakulum i skarbone, w sierpniu napadnięto stróża, a w październiku ktoś obrzucił księdza kamieniami. Miał też otrzymywać listy z groźbami śmierci. Później zdarzenia te powiązano z osobą przyszłego mordercy, Wawrzyńca Nowaka.

To postać tajemnicza, a jego życiorys, którego wobec zniszczenia większości dokumentacji ze śledztwa nie da się szczegółowo odtworzyć, jest pełen sprzeczności. ➔

→ Urodził się w 1890 r. w Luboniu, ukończył tylko cztery klasy szkoły i wyjechał do Niemiec, gdzie pracował na budowach. W 1914 r. wcielono go do armii niemieckiej, a podczas walk dostał się do niewoli rosyjskiej. W 1917 r. zaciągnął się do oddziałów generała Józefa Dowbora-Muśnickiego, ale rok później włożył mundur bolszewicki. W wojnie obronnej 1920 r. walczył jednak po stronie polskiej (trafiąc do niewoli sowieckiej). W wolnej Polsce toczył awanturniczy żywot, ściągany za defraudację i pobicia – aż w 1936 r. osiedlił się w Luboniu.

Czy był komunista? Ze względu na okrzyki, które wzniósł po zastrzeleniu księdza, morderstwo w Luboniu powiązano z działalnością komunistów. Pod hasłem walki ze skrajną lewicą odbyły się manifestacje środowisk nacjonalistycznych w Poznaniu i innych miastach. Broszury głosiły: „Zbrodnia w Luboniu jest groźnym ostrzeżeniem dla nas, że komunizm działa w naszym kraju, wprowadzie w ukryciu i podstępnie, ale dość silnie i szeroko”.

Wątpliwości nie mieli mieszkańcy, którzy w wypowiedziach dla prasy opowiadali o rzekomej naradzie komunistów w noc poprzedzającą zabójstwo, podczas której Nowak jakoby miał wyciągnąć los jako wykonawca wyroku. Jednoznacznie z komunistami wiąże Nowaka postulator ks. Wojciech Mueller, pisząc, że śmierć ks. Streicha „zaledwie o dwa lata wyprzedziła zbrodnię katyńską, dokonaną przez ten sam komunistyczny ustrój”.

Wyrok: śmierć

Sprawa jednak nie jest tak prosta. Nowakowi wkrótce po aresztowaniu postawiono zarzut „pospolitego morderstwa”. Oskarżony tłumaczył, że początkowo

Z powodzeniem będzie mógł zostać patronem proboszczów, którzy bez rozgłosu
wykonują swoją robotę duszpasterską.

„chciał dokonać zamachu na jakiego ministra”, potem jednak doszedł do wniosku, że „Kościół ma wielką władzę i powziął myśl zgładzenia księdza”. Później zeznawał niespójnie: najpierw zapewniał, że „jest zwolennikiem nauki chrystusowej, a tylko nienawidzi księży” i że jest przeciwnikiem komunizmu, potem przyznał, że w 1918 r. był bolszewickim komisarzem. Sąd skazał Nowaka na karę śmierci, a prezydent Mościcki nie skorzystał z prawa łaski; z Warszawy przyjechał kat i wyrok wykonano.

Co istotne: sąd przyznał, że w toku procesu nie udało się przypisać Nowakowi członkostwa organizacji komunistycznej (choć podkreślił, że zbrodnia miała oparcie w tej ideologii). Historyk IPN Marcin Jurek, który badał przedwojenną działalność komunistów w Wielkopolsce, nie znalazł śladów przynależności do nich Wawrzyńca Nowaka.

Warto dodać, że w drugiej połowie lat 30. Komunistyczna Partia Polski właściwie nie istniała. Od odzyskania przez Polskę niepodległości nie zyskała istotnych wpływów w społeczeństwie, działalność komunistyczna ze względu na powiązania KPP z Moskwą i negowanie polskiej państwowości była ścigana. W dodatku Stalin nie ufał KPP, uważając, że jest zinfiltrowana przez kontrwywiad; jej przywódcy od połowy lat 30. padali ofiarą

czystki, a w styczniu 1938 r. rozwiązano KPP. Polscy komuniści nie byli środowiskiem zdolnym do destabilizacji życia społecznego i planowania zamachów.

Jak w pierwszych wiekach

Są to jednak rozważania akademickie. Nowak nie musiał być członkiem KPP, żeby działać pod wpływem wrogiej Kościołowi idei komunistycznej, mogły nim kierować wewnętrzne motywacje – tak czy inaczej działał w *odium fidei*, zabijając księdza Streicha jako kapłana i przywódcę wspólnoty. Postulator ks. Wojciech Mueller podkreśla, że zbrodnia „zaistniała na tle politycznym, światopoglądowym i społecznym”, natomiast na gruncie prawa kanonicznego jest ona męczeńska.

Takie opinie rozeszły się niebawem po śmierci kapłana: gazety pisały, że śmierć ks. Streicha „przypomina pierwsze wieki chrześcijaństwa”. Wybuch wojny uniemożliwił podjęcie starań beatyfikacyjnych, a w PRL władze zwalczały pamięć o zamordowanym, utrudniając organizowanie w parafii uroczystości ku jego czci. Kult jednak przetrwał, a w Luboniu parafianie w intencji wyniesienia Streicha na ołtarze modlili się w poniedziałki koronką, w soboty różańcem, a 27. dnia każdego miesiąca poświęcali temu intencję mszalną.

Propagatorem kultu ks. Streicha był abp Gądecki, który nazywał go „poprzednikiem Popiełuszki”. Podkreślał przede wszystkim wartość jego męczeńskiej śmierci, ale w cytowanym już liście z 2016 r. przypominał też inny aspekt: „Był ofiarnym pasterzem, szukającym przede wszystkim ludzi oddalonych od Boga, których zagubienie napawało go bólem”.

© P MACIEJ MÜLLER

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Kościerzynie toczy się postępowanie z wniosku PROTEGAT 1 Niestandaryzowany Fundusz Inwestycyjny Zamknięty Wierzytelności z siedzibą w Krakowie w sprawie sygn. akt I Ns 59/24 o stwierdzenie nabycia spadku po Mirosławie Literskiej, zmarłej dnia 24 kwietnia 2015 r., ostatnio stale zamieszkałej w Kościerzynie.

Wzywa się wszystkich spadkobierców Marcina Tęcy i Zuzanny Tęcy, aby w terminie 6 miesięcy od daty publikacji ogłoszenia zgłosili i wykazali swe prawo do spadku po nich pod rygorem rozpoznania sprawy bez ich udziału i pominięcia ich w dziedziczeniu.

W Sądzie Rejonowym w Kościerzynie toczy się postępowanie z wniosku Powszechnej Kasy Oszczędności SA w Warszawie w sprawie sygn. akt I Ns 224/23 o stwierdzenie nabycia spadku po Januszu Bukowskim, zmarłym dnia 16.10.2021 r., ostatnio stale zamieszkałym w Starych Polaszkach.

Wzywa się wszystkich spadkobierców Janusza Bukowskiego, aby w terminie 6 miesięcy od daty publikacji ogłoszenia zgłosili i wykazali swe prawo do spadku po nim pod rygorem rozpoznania sprawy bez ich udziału i pominięcia ich w dziedziczeniu.

ZUZANNA

Radzik: Bądźmy głośne



PAPIEŻ OGŁOSIŁ, ŻE DIAKONATU KOBIET NIE będzie. Na proste pytanie, czy kobiety będą ordynowane na diakonki, zadane przez Norah O'Donnell w programie „60 Minutes” amerykańskiej telewizji CBS, Franciszek odpowiedział krótkim: „Nie”. Zaskoczona

O'Donnell cisnęła dalej, na co wytłumaczył, że święcenia są dla mężczyzn. Proste, nie? Zresztą, kwietniowy wywiad wyemitowano w maju, akurat około trzydziestej rocznicy dokumentu „Ordinatio sacerdotalis”, wydanego przez Jana Pawła II, by odpowiedzieć na prośby i pragnienia kobiet chcących służyć Kościołowi jako prezbiterzy i diakoni. Tamten dokument też był wyrazistym „nie”. Czy jednak da się ten temat zamknąć, powtarzając „nie”, a to w dokumencie, a to w telewizji, skoro głosy prosiące o diakonat kobiet tak mocno przebiły się w konsultacjach synodalnych i raportach regionalnych, w wielu rejonach zaś nie stroniono i od pytań o kobiece kapłaństwo?

Papież już orzekł, tymczasem trwają prace kolejnej komisji, którą powołał, żeby wyjaśniła, czy diakonat kobiet w historii był, czy go nie było. Jak się ma zatem papieskie „nie” do prac komisji i jesiennej sesji synodu? Czy to zapowiada jakiś kobiecy diakonacki program bez święceń, słabszą wersję diakonatu dla słabszej płci? Czy też, że nie będzie nic, żadnych zmian ani żadnego dostrzeżenia zmieniającej się rzeczywistości? Czemu papież zdradza to rozwiązanie w telewizji, nie czekając na synod o synodalności, który miał być procesem głębokiego słuchania i globalnych konsultacji? Problem jeszcze w tym, że diakonat i był, i go nie było, bo przed średniowieczem święcenia nie były usystematyzowane, wiązały się z nimi różne role i rytuały, używano różnych nazw. Choćby Febe, pierwsza osoba nazwana w historii chrześcijaństwa diakonem. Co z nią zrobić, skoro nie wiadomo, jakim rodzajem diakona była? Raczej nie ordynowanym, bo ciężko sobie wyobrazić, by w latach 50. pierwszego wieku, gdy w Jerozolimie stoi wciąż świątynia, a ruch Jezusowy spotyka się po domach, ktoś wymyślił ordynację na diakona. Krótko mówiąc: historia nie odpowie nam na współczesne pytanie, czy możemy mieć diakonat kobiet, czy nie możemy.

Musimy wziąć odpowiedzialność za naszą odpowiedź, a nie powoływać kolejne komisje i zasłaniać się przeszłością.

Osobnym zagadnieniem jest, jaką rangą nauczania jest występ telewizyjny papieża. Zakładam, że nie wysoka. Czy jednak można zupełnie machnąć ręką? Ja nie mogę, bo wiem, w jakich nerwach wiele kobiet posługujących duszpastersko i liturgicznie w Kościele czeka na rozstrzygnięcie w tej sprawie. Rozmawialiśmy już, że musimy być razem w Rzymie pod koniec synodu, by tej decyzji nie musiały znosić w samotności, żeby było z kim się cieszyć lub płakać. Ze wskazaniem na płakać. Dla nich to rozstrzygnięcie jest odpowiedzią na pytanie, czy Kościół widzi ich pracę i powołanie. Dlatego nie wzruszam ramionami na występ papieża, tylko otulam je czule myślą, ale buzuje we mnie złość.

I nagle, nie umiem tego wytłumaczyć, ta złość odpaliła mi w głowie nieśmiertelny hit Jennifer Lopez z czasów mojego liceum: „Let's get loud! Let's get loud!” – huknęło na cały regulator, a przed oczami zobaczyłam, jak tańczymy to u wrót Watykanu (dowolnych) lub na placu św. Piotra. Mogą mówić swoje, a my i tak jesteśmy w Kościele ze wszystkim: naszymi ciałami, powołaniami, pragnieniami. „If you wanna live your life, live it all the way and don't you waste it” („Jeśli chcesz żyć swoim życiem, żyj nim do końca, nie roztrwój go”) – kręcimy biodrami w rytm hitu Lopez przed Watykanem. „You gotta do it (you gotta do it), you gotta do it your way. You gotta prove it (you gotta prove it), you gotta mean what you say” („Musisz to zrobić, musisz to zrobić na swój sposób. Musisz to udowodnić, musisz wierzyć w to, co mówisz”).

Słucham tej piosenki w kółko, bo jej energia mnie koi. Chcę zaszaleć, skoro papieskie wolty w sprawie diakonatu kobiet powoli doprowadzają nas do szaleństwa. Odreagować, głośno zaprotestować. Let's get loud! Bądźmy głośne! – wiercę się przed komputerem. Musisz to zrobić na swój sposób – śpiewa w tle Lopez, a przede mną staje ciekawe pytanie: o zmysł wiary ochrzczonych. Co, jeśli rozeznajemy rolę kobiet inaczej niż Watykan i – w sumie, jak w sprawie antykoncepcji – zaczniemy się do swojego rozeznania stosować? Co, jeśli zaczniemy traktować kobiety, jakby przewodziły Kościołowi, głosiły, wyjaśniały Piśmo? Od kilkudziesięciu lat mogą mieć taką rolę tam, gdzie brak księży (jak w niedawnym tekście Domy Matejko o Amazonii), czy w sąsiednich Niemczech, gdzie nie brakuje w parafiach kierowniczek duszpasterskich. Jak to zrobić w umęczonym klerykalizmem Polsce, z której ledwo te zmiany widać? ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkanie Klubów „Tygodnika Powszechnego”

- **WROCŁAW**, poniedziałek 10 czerwca, godz. 18.00
spotkanie z Janiną Ochojską, „Mosty i granice”, MiserArt (ul. Cybulskiego 35A, wejście od podwórka)
- **KATOWICE**, środa 12 czerwca, godz. 18.00
spotkanie z o. Tomaszem Dostatnim OP, Aleksandrą Klich



i prof. Ryszardem Koziołkiem, „Otwarta Brama – oblężona Twierdza. Chrześcijaństwo w Polsce dzisiaj”, Sala Parnassos Biblioteki Śląskiej (plac Rady Europy 1)

- **GLIWICE**, środa 12 czerwca, godz. 18.30,
spotkanie z Kawerem Ezrą Ssewamala, „Mój kraj nie jest dla mnie bezpieczny”, Stacja Artystyczna Rynek, (Rynek 4/5)
- **KRAKÓW**, czwartek 13 czerwca, godz. 18.30
spotkanie z Anną Marią Wajdą, „Czy Nowy Testament milczy o zwierzętach?”, Piwnica Powszechna (ul. Piarska 5/20)

więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

REZERWUJ
ZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ





PRAWDZIWE ŻYCIE CMENTARZYSKA SŁONI

Kryzysy ostatnich lat przeorały Europejczyków.
Debata o dalszej integracji Unii, migracji czy ekologii przesuwają się na prawo.
W tych kwestiach rezultat nadchodzących eurowyborów
będzie mieć duże znaczenie.

PIOTR OLEKSY

GDZIEŚ W PRZEDNICH RZĘDACH SIEDZIAŁ brzuchaty Czech. Mówił długo, niskim głosem, co rusz rzucając anegdotę. Przyjemnie się go słuchało, choć trudno było wychwycić sedno. Po nim głos zabrał starszy i narowisty Francuz. Bronił dobrego, jak twierdził, imienia

kultury rosyjskiej. Potem Polak prosił o włączenie Kościoła katolickiego w politykę Unii wobec wschodniego sąsiedztwa. Nad wszystkim starał się panować Hiszpan. Mówił po angielsku z tak silnym akcentem, że chwilami najbardziej zrozumiałym słowem było „gracias”.

To nie żart, to wspomnienie z obrad komisji spraw zagranicznych europarlamentu w 2018 r. Parodia? Niekoniecznie: owocem tamtego wielogłosu stała się rezolucja, która przyczyniła się do zmiany polityki Unii wobec Mołdawii i w efekcie do odsunięcia od władzy sko-

Banery przed Parlamentem Europejskim zachęcające do głosowania w czerwcowych wyborach europejskich.
Bruksela, 29 stycznia 2024 r.

rumpowanego oligarchy, którzy niszczyli ten kraj. Nawet jeśli w europarlamencie bywa chaotycznie, rodzą się tam ważne decyzje.

Przystań dla emerytów?

Obraz europarlamentu – w oczach i mieszkańców Unii, i jej klasy politycznej – zmienia się wprawdzie wolniej niż jego waga. Ale i tu widać zmiany.

Po tym jak w 2004 r. weszliśmy do Unii, nasze partie wystawiały w eurowyborach celebrytów i emerytów. Często bardziej barwnych niż kompetentnych. Jeszcze niedawno politykowi, który do niego kandyduje, zdarzyło się powiedzieć, iż europarlament to „cmentarzysko politycznych słoni” (potem Bartłomiej Sienkiewicz chyba się zorientował, że to kiepska zachęta dla jego wyborców, i teraz głosi, iż chce tam zwalczać populistów).

Próbując zrozumieć strukturę władzy w Unii, zwykle szukamy analogii państwowych. I tak, przewodniczący Rady Europejskiej byłby odpowiednikiem prezydenta, Komisja – rządu, a europarlament – władzy ustawodawczej. Jednak te analogie nie oddają realiów. Wszystkie te instytucje są częścią złożonej maszyny decyzyjnej, w której główną rolę nadal odgrywają państwa narodowe, reprezentowane na poziomie przywódców (Rada Europejska) i ministrów (Rada Unii Europejskiej).

Europarlament początkowo był instytucją doradczą i miejscem, gdzie toczy się debata o sprawach Wspólnoty. Z czasem kompetencje rozszerzano, a od traktatu z Lizbony (2009 r.) jest on jedną z czterech kluczowych instytucji w unijnej „grze o tron” (to także dwie Rady i Komisja). Dziś europosłowie wyrażają zgodę na obsadę głównych stanowisk w Unii, a ostatnie lata pokazują, że to więcej niż formalność i wiele zależy tu od siły różnych frakcji. Europarlament stanowi też unijne prawo (wspólnie z Komisją i Radą UE), ma wpływ na kształt unijnego budżetu i funkcje kontrolne. No i możliwość nadawania tonu decyzjom w Europie. Nadal jednak główne decyzje zapadają podczas ustaleń między rządami.

Europejskie czy krajowe?

To także europarlament jest dowodem, iż polityki krajowe wciąż dominują nad polityką unijną. Podział na ponadnarodowe frakcje – tzw. europejskie grupy polityczne (jak centroprawicowa Europejska Partia Ludowa czy Postępowy Sojusz Socjalistów i Demokratów) – generalnie sprawdza się, choć chwilami może wydać się sztuczny.

Bo kto spiera się u siebie w kraju, ten także na forum unijnym występuje zwykle po przeciwnych stronach. A podczas eurowyborów – także obecnych – ponadnarodowe sztyldy często są drugoplanowe względem dynamiki krajowej. Na przykład w 2019 r. kandydaci polskiej Koalicji Europejskiej (utworzonej przez PO, PSL i Lewicę) ostatecznie zasilili szeregi dwóch różnych frakcji. Z kolei dziś politycy Koalicji Obywatelskiej i Trzeciej Drogi – rywalizujący ze sobą o mandaty – na koniec trafiają do tego samego klubu Europejskiej Partii Ludowej.

Wprawdzie przyglądając się tematowi kampanii w różnych krajach, można znaleźć punkty wspólne. Ale emocje, które rządzą decyzjami wyborców, mają charakter lokalny. Trudno nie odnieść też wrażenia, iż większość liderów skupia się na znaczeniu tych wyborów dla własnej pozycji w polityce krajowej, a nie na kształcie europarlamentu.

Dlatego trudno powiedzieć, że to autentyczne wybory europejskie. To raczej „symultaniczne” wybory krajowe, w których wypadkowa dwudziestu siedmiu różnych dynamik i emocji stworzy na koniec kształt europarlamentu.

Plemiona kryzysowe

Politolog Marek Cichocki zauważa (w podkaście „Układ otwarty”), że te wybory nie przyniosą trzęsienia ziemi w unijnej polityce, które można by porównać np. z przejściem władzy we Francji przez Marine Le Pen (co jest możliwe w przyszłości). Mimo to politycy przekonują nas, że to bitwa o kształt Europy. Wspomniana Le Pen definiuje ją jako rywalizację globalistów i narodowców (suwerenistów). Strona liberalna mówi o sobie jako o obrońcach wspólnej Europy przed populistami. Etykiety są różne, ale wszyscy wiedzą, po której są stronie.

Tymczasem, jak pokazują badania think tanku ECFR z końca 2023 r., emocje wyborców napędzają dziś głównie obawy

o utratę bezpieczeństwa w różnych sferach życia. Ogromną rolę odgrywają tu traumy wywołane pandemią i lęki związane z kryzysem ekonomicznym, migracyjnym, klimatycznym i wojną Rosji przeciw Ukrainie. Analizując wyniki badań, Iwan Krastew i Mark Leonard uznali, iż europejscy wyborcy nie dzielą się na prawicowych i lewicowych, lecz na różne „plemiona kryzysowe”.

„Niemcy są jedynym krajem, którego obywatele wskazują imigrację jako kwestię, która dotknęła ich przede wszystkim. We Francji i Danii ludzie wskazują zmiany klimatyczne jako najważniejszy kryzys. Włosi i Portugalczycy wskazują na globalne zawirowania gospodarcze. W Hiszpanii, Wielkiej Brytanii i Rumunii główną kwestią jest pandemia. Estończycy, Polacy i Duńczycy uważają wojnę na Ukrainie za ten kryzys, który najbardziej zmieni Europę” – piszą Krastew i Leonard.

Migracja i Zielony Ład

Przegląd tematów, jakie dominują dziś w kampanii w różnych krajach, daje obraz nieoczywisty i zróżnicowany.

I tak, w Polsce zdziwienie wielu wywołał fakt, że Unia zdecydowała się przyjąć pakt migracyjny teraz, w okresie przedwyborczym. Zdawałoby się, że to woda na młyn dla partii, które akcentują temat masowej nielegalnej imigracji. Jednak w większości państw zachodnich (poza Niemcami) temat ten nie rozgrzewa już tak bardzo emocji. Głównie dlatego, że partie centroprawicowe przyjeły w międzyczasie część języka i postulatów antyimigracyjnej prawicy. Po części dotyczy to też lewicy, np. rządząca duńska socjaldemokracja radykalnie zaostrza przepisy o migracji i integracji przybyszów.

W efekcie spory, które się tam toczą, dzielą raczej partie głównego nurtu. Chodzi np. o kwestię traktowania migrantów, którzy przybyli nielegalnie. Dla wielu kuszący jest przykład Wielkiej Brytanii, która chce wysłać ich do Rwandy, by tam czekali na decyzję w swej sprawie. Dla części lewicy to wciąż nie do pomyślenia.

Na znaczeniu straciła też kwestia transformacji energetycznej. Pięć lat temu temat ten wszedł do agendy największych partii, ale z czasem okazało się, że koszty społeczne Zielonego Ładu są zbyt wysokie. Stworzyło to pożywkę dla

→ tych, którzy cały projekt przedstawiają jako przykład absurdałności decyzji Brukseli. Liderzy głównych partii starają się więc unikać tego tematu. Jak zauważa Jędrzej Bielecki w rozmowie z Polityką Insight, Zielony Ład został „rozmontowany narracyjnie” – poszczególne siły polityczne podnoszą jedynie te kwestie, które w ich państwach są możliwe do zrealizowania bez dużych kosztów, unikając przy tym samego sztytu jako obciążającego.

W wypadku obu tematów wyjątkiem są Niemcy, gdzie migracja i transformacja energetyczna (zwana tu *Energiewende*) wywołują wielkie emocje i są paliwem zwłaszcza dla Alternatywy dla Niemiec (AfD).

Ukraina łączy, Gaza dzieli

Tematy bezpieczeństwa zewnętrznego i rosyjskiej inwazji nie budziły kampanijnych emocji. Dla nas to dobry sygnał: żadna z liczących się sił nie podważa wsparcia militarnego dla Ukrainy. Doszło nawet do ciekawego zjawiska: partie prawicowe, postrzegane jako eurosceptyczne, chętnie deklarują poparcie dla pomocy Ukrainie. Chcą w ten sposób wejść do głównego nurtu i pozbyć się wizerunku tych, którzy podważają wspólną troskę o bezpieczeństwo (zjawisko to określa się *Ukrainewashing*).

Taktykę tę stosowali Geert Wilders z Holandii i włoska premier Giorgia Meloni, której koalicjant kojarzony był z proputinowskimi sympatiami. Wskazuje to, że zmęczenie wojną nie jest tak silne, jak można sądzić. Przy czym warto zaznaczyć, że ta powszechna zgoda dotyczy przekazywania broni i wsparcia gospodarczego, ale nie rozszerzenia Unii o Ukrainę.

Emocje rozpala za to wojna w Gazie, a konkretnie sposób, w jaki Izrael ją prowadzi, nie licząc się z cywilami. Tu sympatie idą często w poprzek emocji związanych z innymi tematami, co czyni tę kwestię wyjątkowo delikatną dla liderów głównego nurtu.

Dalej: dla obywateli Włoch, Francji, Hiszpanii, Portugalii czy Grecji ważne są kwestie bezpieczeństwa wewnętrznego i gospodarki. Dyskusja na te tematy skupia się na szukaniu bodźców rozwojowych i odpowiedzi na pytanie o rolę państw narodowych i Unii. Ton stara się nadać Emmanuel Macron, który snuje wizję bardziej protekcyjnej Unii,

Czasy się zmieniły: europarlament to dziś jedna z czterech kluczowych instytucji w Unii.

aktywnie dbającej o sytuację ekonomiczną swoich obywateli.

Prawda badań, prawda ekranu

Porównując koncepcję „plemion kryzysowych” (które miałyby zastąpić podział na prawicę i lewicę) z obrazem dyskursu medialno-politycznego, można powiedzieć, że jest prawda badań i prawda ekranu. W tej drugiej bowiem podział jest bliższy wspomnianemu już rozróżnieniu na „globalistów” i „suwerenistów”. O ile więc faktycznie te obawy określają nasze decyzje polityczne, wybór dotyczy odpowiedzi na pytanie: kto lepiej zapewni bezpieczeństwo w tych niepewnych czasach – Unia czy państwo narodowe?

W europarlamencie przez lata dominował duopol: Europejska Partia Ludowa i socjaldemokracja, które dzieliły się władzą. Po wyborach z 2019 r. duopol został zasilony przez centrową grupę Renew Europa (zbudowaną przez Macrona) i Zielonych. Te cztery siły tworzą dziś główny nurt unijnej polityki. Na poziomie Unii wielu wyborców nie dostrzega różnic między nimi, co zresztą owocuje wspólnymi listami ugrupowań formalnie ze sobą rywalizujących. Tak jak w 2019 r. „polscy chadecy” z PO startowali na jednej liście z lewicą, tak teraz podobne rozwiązanie wybrały rumuńska centroprawica i socjaldemokracja.

Wzmacnia to wrażenie, że wybór jest między dwoma obozami: głównego nurtu i eurosceptycznym. To z kolei mogłoby zbliżyć nas do konstatacji, że na poziomie unijnym rysuje się coś na wzór nowego duopolu, składającego się tym razem z dwóch wspomnianych obozów. Tak zresztą przedstawiają to liczni liderzy: dla polityków głównego nurtu te wybory są walką między nimi a populistami o przyszłość Unii, z kolei „suwereniści” widzą je jako szansę na przebudowę Unii według własnego modelu (zahamowanie dalszej integracji i wzmocnienie decyzyjności państw narodowych w sferze gospodarczej i ideowej).

Wątpliwa jedność eurosceptyków

Cieniem na tej dwubiegunowej wizji kładzie się jednak fakt ogromnego zróżnicowania między partiami „suwerenistycznymi”. Bo jak np. w świetle węgiersko-rumuńskiego sporu o Siedmiogród (żywego na poziomie emocji) mogłaby układać się współpraca węgierskiego Fideszu z rumuńskimi nacjonalistami? Albo przychylniej Rosji Marie Le Pen z Giorgią Meloni, która podkreśla wagę współpracy z USA?

Różnice te już wpływają na obóz eurosceptyczny. Gdyby w kończącej się kadencji europarlamentu Fidesz dołączył do grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (do niej należy PiS), stałaby się trzecią siłą w tej izbie. Na to nie zgadzali się jednak Szwedzcy Demokraci: nie do przyjęcia była dla nich postawa Węgier wobec Rosji i homofobiczna retoryka Fideszu.

Ostatnio rośnie napięcie między francuskim Zjednoczeniem Narodowym a niemiecką AfD. Sondażowa siła obu partii budzi nadzieję jednych i obawy innych, że współtworzona przez nie grupa Tożsamość i Demokracja mogłaby stać się drugą siłą w europarlamencie. Jednak radykalizm AfD sprawia, że Le Pen – szukająca poparcia centrowych wyborców, także z myślą o wyborach prezydenckich we Francji w 2027 r. – deklaruje, iż nie chce być z AfD w jednej frakcji.

Idee się przenikają

Ponadto – jak widać na przykładzie migracji, Zielonego Ładu i stanowiska wobec Rosji i Ukrainy – silne jest zjawisko wzajemnego przenikania się idei między partiami głównego nurtu a eurosceptykami. Działa to w dwie strony: żadna z liczących się partii nie nawołuje już do wyjścia z Unii, mało kto podważa też wsparcie dla Ukrainy. Jednocześnie dyskusja o dalszej integracji, migracji czy ekologii przesuwana jest na prawo. Właśnie w tych kwestiach rezultat obecnych eurowyborów będzie mieć bardzo duże znaczenie. Ale taka przecież jest rola europarlamentu: do procesu decyzyjnego ma wnieść emocje społeczne i europejskiego ducha czasu.

© PIOTR OLEKSY

Autor pracuje w Instytucie Europy Środkowej w Lublinie i na UAM w Poznaniu, stale współpracuje z „TP”.



Uciekinierzy z Wołczańska już po ukraińskiej stronie frontu, w rękach medyków i psycholożki. Maj 2024 r.

Wyszliśmy z piekła

TEKST I ZDJĘCIA

ANTONINA PALARCZYK

SPOD WOŁCZAŃSKA

Są w podeszłym wieku, z drżącymi kończynami i podkrążonymi oczami. Ostatnie dwa tygodnie spędzili w piwnicy.

SIERGIEJ MA POCZUCIE, ŻE GDY ZACZY-
na się gdzieś jakieś bagno, na pewno
ich tam wyślą. Ich, ukraińskich marines.
Weteran licznych bojów 36. Brygady Pie-
choty Morskiej opuszcza na nos słonecz-
ne okulary. Dopełniają wizerunku rębaj-
ły, który – aż dziw – że jeszcze żyje.

Powietrze jest rozgrzane, huczą auta
po obwodnicy Charkowa. Wolontariu-
sze spotkali się tu z żołnierzami, by prze-
ładować zaopatrzenie. Generatory, słoiki
z przetworami, siatki maskujące: to, co
potrzeba jednostce przerzuconej właśnie
do Charkowa spod Chersonia.

Przez ostatnie miesiące oddział Sier-
gieja operował na lewym, okupowa-
nym brzegu Dniepru, w okolicy Krynek.
O tę wieś, zajęętą przez ukraiński desant,
trwały ciężkie walki. Droga zaopatrzenia
i ewakuacji rannych prowadziła łódkami

w poprzek rzeki. Również to czyniło ten
odcinek frontu jednym z najcięższych.

Obok nich z piskiem opon zatrzymuje
się auto, z którego wybiega zażywna ko-
bieta w średnim wieku. Wcześniej wpa-
dła na żołnierzy na pobliskiej stacji benzy-
nowej. Teraz, gdy znalazła ich ponownie,
ma już w rękach kilka czekolad i pudełka
słodczych, które zdążyła kupić. Rzuca się
Siergiejowi na szyję, obejmuje go.

Placze: – Dziękuję, chłopcy, żeście tu
przyjechali. Przegońcie, przegońcie ich
wszystkich! Mieszkam pod Charkowem
i raz już przeżyłam okupację. Zróbcie
wszystko, żeby tu nie wrócili!

DLA OLEHA, który przeżył oblężenie Azow-
stalu w Mariupolu, rosyjską niewolę,
a po zwolnieniu wrócił do 36. Brygady
i był w Krynkach, odcinek wołczański to
nie jest najgorsze, co go spotkało. Służy
w „Czarnym Batalionie”, tak się nazwali.

Spotykamy się w wiosce rejonu
(powiatu) wołczańskiego, w cieniu roz-
łożystego drzewa, jakich wokół wiele.
Drzewa są ważne, osłaniają przed dro-
nami. Ta okolica nie zdążyła nabrać apo-
kaliptycznego przyfrontowego charak-
teru, w którym dominują kikuty drzew,
choć była już pod okupacją. W lutym-
marcu 2022 r. Rosjanie dość szybko za-
jęli te przygraniczne tereny i parę mie-
sięcy później niemal równie szybko zo-
stali z nich wypchnięci. Ślady zdążyły się
zabliźnić świeżą trawą.

– Wołczańsk to nie jest jakiś piekielnie
trudny kierunek. Nie byliśmy na nim po
prostu przygotowaniu, choć od miesięcy
wszystko świadczyło o tym, że Rosjanie
szykują się do uderzenia na nowym kie-

runku, gdzieś na północ od Charkowa –
Oleń korzysta z chwili, rozkłada się na
karimacie.

– Mogliby nam dać choć ciut ode-
tchnąć po tych Krynkach – narzeka. Tam,
jak wspomina, mieli do czynienia z *mobi-
kami*, oddziałami złożonymi ze zmobili-
zowanych. – Tutaj są wojska desantowe,
są kadyrowcy – wylicza.

WOŁCZAŃSK to kolejny przykład takiego
miasta jak wcześniej Bachmut i Awdi-
jiwka. Tak uważa Oleń: – Gdy do ich zdo-
bycia Rosjanom nie wystarczyła klasyczna
ofensywa, zaczęli obracać je w pył z po-
mocą bomb lotniczych. Mają przewagę
w powietrzu. Potrzeba nam więcej syste-
mów obrony przeciwlotniczej dla wyrów-
nania sił. Ich samolot startuje w Biełgoro-
dzie i z odległości kilkudziesięciu kilome-
trów spuszcza bombę. No i koniec.

Bo takiej bomby nie da się zestrzelić.
Można za to próbować zniszczyć samolot,
który ją niesie. Jednak do niedawna USA
i Niemcy nie zezwalały Ukrainie na uży-
cie dostarczonej przez nich broni do ata-
kowania celów na terenie Rosji. Wśród
mieszkańców obwodu charkowskiego,
na których spadają bomby zrzucone z Ro-
sji, budziło to ogromną frustrację. Do-
piero 31 maja oba rządy udzieliły takiej
zgody – choć ograniczonej do rosyjskich
terenów w okolicy Charkowa.

SYTUACJA jest dziś już bardziej stabilna
niż w pierwszych dniach ofensywy, gdy
na północ od Charkowa Rosjanie szli
naprzód. Teraz kontrolują część Woł-
czańska, głównie tę po północnej stronie
rzeki Wołcza. Być może ich ofensywa na ➔

→ tym odcinku za jeden z celów miała odciągnięcie sił ukraińskich z obwodu donieckiego.

Oleń twierdzi, że Rosjanie używają tu cywilów jako żywych tarcz: – Nie dalej jak wczoraj widzieliśmy z powietrza, z drona, grupę starszych ludzi z manatkami w rękach, jak są prowadzeni do piwnicy jednego z budynków. Ci, którzy mogli chodzić, schodzili do piwnicy, a rannych zanoszono na piętro. W takie miejsce nie możemy uderzyć, nie możemy nic, jeżeli nie chcemy strzelać do cywilów. Ot, taka praktyka wojenna. W Wołczańsku została garstka cywilów, niektórzy mówią, że setka, ale myślę, że trochę więcej. Ukrywają się.

NIE MINĘŁA GODZINA od naszej rozmowy, a z „Czarnego Batalionu” przekazują wieść o zaobserwowanej grupie dziewięciu cywilów. Z białą flagą w rękach idą główną ulicą miasta, próbują przejść częściowo zawałony most.

W ich kierunku ruszają dwa busiki, z białymi chorągiewkami nad każdym z lusterek. Chowająca się w zagajniku przed dronami grupa medyków szykuje się na ich powrót. Kurs stąd do Wołczańska nie zajmuje wiele czasu.

Wreszcie są. Wszyscy w podeszłym wieku, z drżącymi kończynami i podkrążonymi oczami. Ostatnie dwa tygodnie spędzili w piwnicy. Gdy budynek nad nimi stanął w ogniu, opuścili ją. Brnącą przez gruzy grupę przerażonych ludzi pierwsi dostrzegli, rzecz jasna, operatorzy drona.

Teraz są w rękach medyków i psychologa. Wśród płaczu słychać urywki zdań.

– Był z nami jeszcze jeden człowiek, trafił go odłamek. Zakopaliśmy go koło piwnicy.

– Bez wody, bez prądu.

– Przyjechali raz wolontariusze, ale ewakuowali tylko inwalidów. Obiecali, że po nas wrócą.

– Ale już nie przyjechali.

– Walerianka? Nie macie czegoś silniejszego?

– Wyszliśmy z piekła – duka starszka, przeciera twarz chustką. – Piekło. Byliśmy w piekle.

© ANTONINA PALARCZYK

Tekst ukończono 31 maja

Srogie ostrzeżenie Pekinu

TEKST I ZDJĘCIA **MARIA WIŚNIEWSKA** Z WYSPY KINMEN (TAJWAN)

Do niedawna była popularnym celem eskapad chińskich turystów. Dziś wysepka Kinmen, należąca do Tajwanu, jest na pierwszej linii potencjalnego chińskiego ataku. Jak żyją z tym jej mieszkańcy?

W SŁONECZNY DZIEŃ Z JEJ BRZEGU widać wyraźnie kontury wieżowców w Xiamen, chińskim mieście portowym. Przez lornetkę można dostrzec nawet plażowych sportowców, a w czasie odpływu – zbieraczy owoców morza.

Turyści lubią pozować do zdjęć na tu-tejszej plaży, wśród resztek umocnień polowych sprzed ponad dwóch pokoleń. Jednak stare opuszczone bunkry i wystające z piasku stalowe pręty, które miały zatrzymać chiński desant, są nie tylko świadectwem burzliwej historii Kinmen – wysepki w archipelagu należącym do Tajwanu, a położonej przy brzegu ChRL.

Dziś znów kojarzą się z zagrożeniem, które czyha po drugiej stronie Cieśniny Tajwańskiej.

METODA PEKINU | W oddali, na wybrzeżu po chińskiej stronie cieśniny, wznosi się potężny czerwony napis: „Jeden kraj, dwa systemy”. Przypomina o planach, jakie Pekin ma wobec Tajwanu i należących do niego wysp.

Prezydent Xi Jinping regularnie deklaruje nieuchronność „zjednoczenia Chin”. To nic nowego: Pekin dąży do zajęcia Tajwanu od 1949 r., kiedy to po przegranej z komunistami wojnie domowej politycy i wojskowi Kuomintangu (KMT) ewakuowali się na Tajwan i tam ufortyfikowali. Najchętniej Xi dokonałby tego, jak mówi, pokojowo, ale nigdy nie wykluczył użycia siły. Położenie Kinmen – pięć kilometrów od Chin i prawie dwieście od głównej wyspy Tajwanu – sprawia zaś, że wysepka odgrywa kluczową rolę w chińskiej misji „przyłączenia Tajwanu do macierzy”.

Władze Chin wykorzystują Kinmen i resztę peryferyjnych wysepek, aby te-

stować strategię „zjednoczenia Chin”. Wykorzystują starą metodę „kija” i „marchewki”. „Marchewka” ma przekonać o korzyściach płynących ze współpracy z Pekinem, „kij” zaś – pokazać konsekwencje oporu.

– W przypadku Kinmen metoda ta działa całkiem skutecznie – mówi mi prof. Jinho Kim, politolog z Academia Sinica, głównej instytucji badawczej Tajwanu.

POCISKI I POP | Uderzenia „kija” Kinmen odczuwał już wiele razy. Od 1949 r. do późnych lat 70. XX w. wyspa była regularnie ostrzeliwana przez komunistów. Część pocisków miała niszczyć strategiczne obiekty, a część zawierała ulotki propagandowe. Obiecywały lepsze życie pod rządami Pekinu i nawoływały tajwańskich żołnierzy do dezercji.

– Byłam wtedy nastolatką i w szkole kazano nam oddawać zebrane pociski z ulotkami. Kiedyś po kryjomu przeczytałam taką ulotkę, bo bardzo mnie zaciękało, jak wygląda życie na kontynencie – wspomina 80-letnia Chien-Ting. Od tamtego czasu w kontynentalnych Chinach Chien-Ting była ponad 20 razy – podróże, w obie strony, są dziś możliwe.

Wtedy pociski leciały także w drugą stronę. I artyleryjskie, i propagandowe. W wojnie psychologicznej Tajwan wykorzystywał nietypową broń: Teresę Teng, ikonę tajwańskiego popu lat 70., niezwykle popularną także na kontynencie.

Z wysokiego na 10 metrów głośnika, ustawionego na brzegu Kinmen, regular-

Kinmen leży ok. 5 km od chińskiego miasta Xiamen. W słoneczny dzień wyraźnie widać wieżowce po drugiej stronie Cieśniny Tajwańskiej. Maj 2024 r.

nie puszczano jej przeboje. Z nadzieją, że ciepły głos piosenkarki dotrze do mieszkańców komunistycznych Chin i odmieni ich sympatie.

Jej piosenka „Słodki jak miód” nadawana jest zresztą w radiu po dziś dzień:

*Słodki uśmiech, jakże słodki
Gdzie to było?
Gdzie spotkałam cię?
Ach, we śnie
To ciebie spotkałam we śnie.*

PRZY ŚWIECZCE | Najtrudniejszym momentem w XX-wiecznej historii Kinmen był rok 1958, gdy w ciągu 44 dni Armia Ludowo-Wyzwoleńcza wystrzeliła na wyspę blisko pół miliona pocisków, wywołując tzw. drugi kryzys w Cieśninie Tajwańskiej. USA, które w odpowiedzi skierowały tam swoją flotę, znalazły się o krok od konfliktu z Pekinem.

W związku z zagrożeniem na Kinmen ogłoszono wtedy stan wojenny, który zniesiono dopiero w 1992 r. – pięć lat później niż na głównej wyspie Tajwanu, gdzie Kuomintang przez blisko 40 lat rządził twardą ręką.

Do 1992 r. Kinmen żył więc pod bezpośrednią administracją wojska, co wiązało się z uciążliwymi restrykcjami. Egzekwowali je rygorystycznie żołnierze, których

było wtedy na wyspie więcej niż cywili. Ten czas nadal jest żywy w pamięci starszych mieszkańców.

– Oficerowie, którzy stacjonowali u nas w domu, nie pozwalali nam wieczorami zapalać światła, żeby wróg nas nie dostrzegł. Z bratem musieliśmy grać w madżong [popularna gra – red.] przy jednej świeczce. Gdy pod koniec lat 90. pojechałem pierwszy raz do Tajpej, nie mogłem się nadziwić, jak rozświetlone nocą jest to miasto! – opowiada mi 75-letni Chin-lung, siedząc w bujanym fotelu na dziedzińcu urokliwego domu, typowego dla kinmeńskiej architektury końca XIX w.

Dziś pozostałości tamtych czasów – bunkry, schrony, tunele – są głównie atrakcją turystyczną. W sklepach z pamiątkami można kupić noże i tasaki wykonane z chińskich pocisków. To specjalność Kinmen. Dobrze ilustruje pragmatyzm i umiejętność adaptacji jej mieszkańców.

PROM NA WYSPĘ | Po dekadach ostrzału, który nie zmieknął Kinmen, Pekin zaczął machać przed oczyma mieszkańców wysepki „marchewką” – w postaci strumienia turystów i pieniędzy. A wyspa szybko się zmieniła: z izolowanej fortecy w cel krótkich wypadów krajoznawczych dla entuzjastów historii i miłośników morskich rarytasów.

Stało się to możliwe na początku XXI w., gdy w ramach normalizacji stosunków gospodarczych między ChRL a Tajwanem otwarto połączenia lotnicze i morskie. Dziś między Tajpej a Pekinem latają średnio trzy samoloty dziennie.

Miedzy Xiamen a Kinmen kursuje zaś prom, który dowozi pasażerów na miejsce w pół godziny. W 2019 r. wyspę odwiedziło 2,5 mln turystów, z czego 40 proc. przybyło z ChRL.

– Turyści jak turyści, ci z kontynentu szybko przyjeżdżali i szybko wyjeżdżali. Ale dużo kupowali. Szczególnie lubili wódkę Kaoliang. Brali po parę butelek, dla siebie i znajomych – mówi mi właścicielka sklepu bezcłowego.

CENA NIEZALEŻNOŚCI | Sklep jest pustawy, klientów brak. W ciągu ostatnich lat liczba turystów przybywających z Chin na Kinmen spadła dramatycznie, podobnie jak na całym Tajwanie. W 2023 r. na wysepkę przybyło 700 tys. gości, z czego tylko 5 proc. to Chińczycy z ChRL.

To skutek decyzji Pekinu z 2019 r. o wstrzymaniu indywidualnych wyjazdów turystów na Tajwan. Władze Chin sygnalizują w ten sposób swoje niezadowolone z polityki prezydentki Tsai Ing-wen, która rządziła Tajwanem od 2016 r. do maja tego roku. Jej ugrupowanie, Demokratyczna Partia Postępu (DPP), podkreśla niezależną od Chin i demokratyczną tożsamość Tajwanu.

– Od kiedy rządzi DPP, jest coraz gorzej. Wiele hoteli i kafejek zbankrutowało. Nikt nie wie, kiedy to się zmieni. Dobrze, że chociaż odwiedza nas coraz więcej tajwańskich turystów – mówi pracowniczka agencji turystycznej.

Ona w styczniowych wyborach prezydenckich zagłosowała na kandydata Kuomintangu, który opowiada się za zbliżeniem z Chinami. Podobnie głosowało



→ 61 proc. mieszkańców Kinmen (w skali całego Tajwanu było to ok. 33 proc.).

Lai Ching-te, nowy prezydent i partyjny kolega Tsai, w przemówieniu inauguracyjnym z 20 maja wyraził nadzieję na wznowienie ruchu turystycznego. Ale Pekin, który nazywa go „niebezpiecznym separatystą o konfrontacyjnej mentalności”, raczej nie ma na to ochoty.

Jednak właściciele sklepów bezcłowych w kinmeńskim porcie Shuitou, do którego przypływają promy z Xiamen, mają nadzieję, iż turyści z kontynentu wrócą. Mimo pustek jest tu głośno – trwa budowa nowego terminalu pasażerskiego, który ma zostać otwarty w 2025 r.

MOST NIEZGODY | Temat Kinmen rozpalil tajwańską debatę przed ostatnimi wyborami: prezydenci kandydaci poróżnili się w sprawie idei budowy mostu z Kinmen do Xiamen i ustanowienia strefy ekonomicznej, która miałaby przyciągnąć chińskie inwestycje.

Przeciwnicy projektu – raczej młodszy i zwykle po studiach na głównej wyspie Tajwanu (bardziej sceptycznej wobec Chin niż Kinmen) – sądzą, że to „zatruta marchewka”. Obawiają się, że projekt byłby zagrożeniem dla wyspy i całego Tajwanu. Ścisła integracja ekonomiczna dałaby Pekinowi narzędzie nacisku na polityków i mieszkańców, a most umożliwiłby chińskiej armii szybszy przerzut wojsk, gdyby Pekin zdecydował się na inwazję.

– Teraz nie boję się inwazji, ale jeśli Chiny zbudują most, ryzyko ataku będzie większe – uważa 33-letnia Mei-Ling, która pracuje w Tajpej i przyjechała na Kinmen, by odwiedzić rodziców.

Słychać głosy, że wyspiarze zbyt lekko traktują problem nadmiernego uzależnienia od Chin. Przytacza się kwestię rurociągu, który od pięciu lat dostarcza na Kinmen wodę pitną z prowincji Fujian (do niej należy Xiamen). Zanim go zbudowano, władze wyspy zobowiązały się, że do 2031 r. trzy czwarte zapotrzebowania na wodę zaspokoją zasoby lokalne. Dziś z Fujian pochodzi już 60 proc. zużywanej wody. Co, jeśli Pekin zakręci kurek?

Z kolei zwolennicy mostu utrzymują, że jego budowa pozwoli wyspie się wzbogacić, zwłaszcza jeśli jej koszty pokryją Chiny. Dla części mieszkańców byłoby to też ułatwienie w życiu codziennym: ok. 60 proc. z nich ma na kontynencie rodzinę, a wielu nierucho-



Wieża upamiętniająca bitwę o Guningtou z 1949 r. Przegrana komunistów zniweczyła ich szanse na zajęcie Tajwanu. Maj 2024 r.

mości. W weekendy niejeden Kinmeńczyk wsiada na prom, by zrobić taniej zakupy w Xiamen i korzystać z uroków nowoczesnego miasta.

– Z Kinmen obserwowaliśmy, jak w ciągu ostatnich 40 lat rozwinął się drugi brzeg. Jeszcze niedawno trudno było tam cokolwiek dostrzec. Dziś Xiamen wygląda jak Manhattan. Dlaczego mielibyśmy sprzeciwiać się zbliżeniu z Chinami, gdzie tak poprawił się poziom życia? – pyta 60-letni pan Hung.

SROGIE GROŹBY | Teraz, za rządów Xi Jinpinga, Pekin coraz częściej sięga znów po „kij”. 23 maja, trzy dni po zaprzysiężeniu Lai Ching-te, chińska armia rozpoczęła ćwiczenia wojskowe wokół Tajwanu, w tym w pobliżu Kinmen, symulując blokadę wyspy. Pekin określił ćwiczenia jako „surową karę dla separatystycznych sił na Tajwanie” i „srogi ostrzeżenie dla zewnętrznych aktorów przed ingerencją i prowokacją”.

– Głównym celem ćwiczeń wojskowych jest demonstracja dominacji w Cieśninie Tajwańskiej i testowanie gotowości wojskowej swoich sił. A zaczynając ćwiczenia zaraz po inauguracji nowego prezydenta, Pekin chce pokazać elektoratowi Tajwanu i społeczności międzynarodowej, że osoba Lai ma negatywny wpływ na pokój w cieśninie – ocenia prof. Jinho Kim.

Zamiast pełnoskalowej inwazji na Tajwan czy blokady morskiej, Chiny mogą jednak ułatwić sobie zadanie i najpierw

ograniczyć się do ataku na Kinmen lub inne wysepki leżące blisko kontynentu. Z punktu widzenia Pekinu Kinmen ma wiele zalet: jest mała, leży blisko kontynentu, a jej mieszkańcy są dość przyjaźni Chinom. Niektórzy twierdzą, że obyliby się bez wystrzału.

– Zajęcie Kinmen pozwoliłoby Pekinowi przetestować reakcję Waszyngtonu przed dalszą inwazją. Stany zostałyby wtedy postawione w trudnej sytuacji: wejść w konflikt zbrojny z Chinami z powodu peryferyjnej wyspki czy postawić pod znakiem zapytania ich zasadniczą gotowość do obrony Tajwanu? Pekin kalkuluje, że taki dylemat mógłby podzielić i osłabić przeciwnika – uważa prof. Kim.

BĘDZIE POWTÓRKA? | Tymczasem mieszkańcy wyspy, obserwujący od paru lat pogarszanie się relacji między Chinami a Tajwanem, boją się powtórki z historii. – Konflikt w cieśninie byłby katastrofą. Na Kinmen dobrze poczułismy, czym jest horror wojny, więc rozumiemy wartość pokoju dużo lepiej niż ci, którzy rządzą nami z Tajpej. Nie chcemy znowu stać się mięsem armatnim – mówi pan Hung.

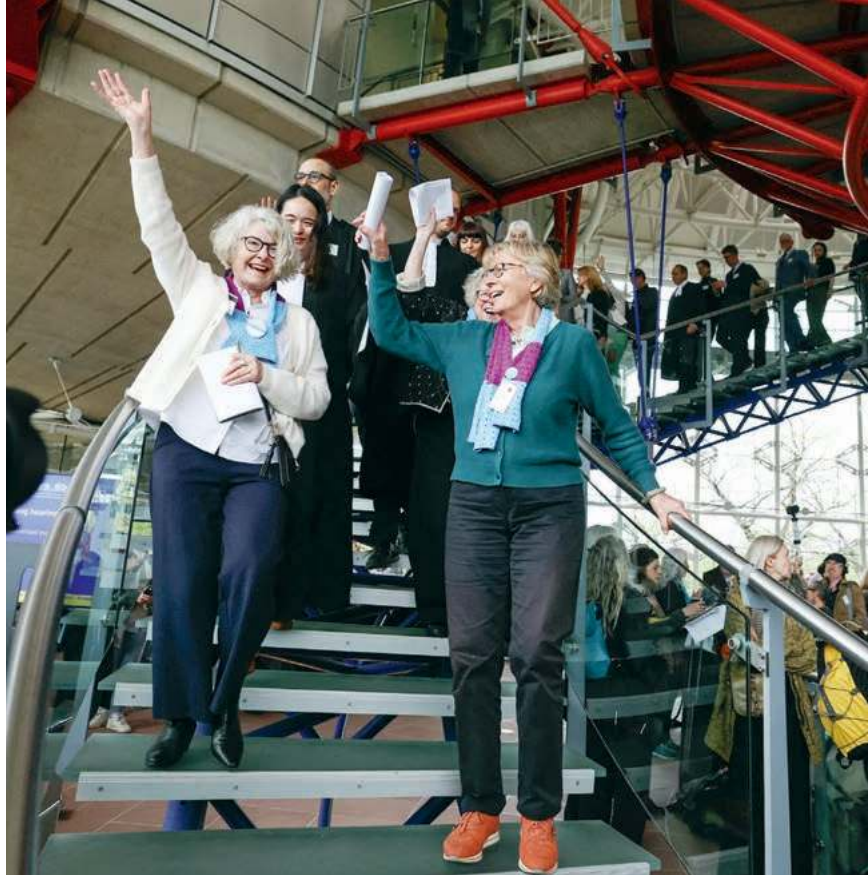
„Kij” przynosi efekty. Wraz ze wzrostem obaw, że chińskie ćwiczenia wojskowe mogą wkrótce wymknąć się spod kontroli, na Kinmen popularność zyskuje propozycja „demilitaryzacji wyspy”, której deklarowanym celem jest promocja „pokoju między dwoma brzegami cieśniny”. Zakłada ona wycofanie z wyspki wszystkich żołnierzy tajwańskich. Teraz i tak jest ich niewielu: ze 120 tysięcy w trakcie najgorętszego okresu zimnej wojny (było to prawie dwa razy więcej niż ówczesna liczba cywilnych mieszkańców) dziś na wyspie zostały 3 tysiące żołnierzy.

– Jeżeli żołnierze opuszczą Kinmen, to nie będzie powodu, dla którego Chiny miałyby dokonać inwazji. Chińczycy sami z siebie przecież nie zabijają własnych kuzynów – uważa pan Hung. Jednocześnie twierdzi, że nie miałby nic przeciwko, aby wyspa została przyłączona do ChRL, gdzie mieszka jego brat.

– Jeżeli tak by się stało, to Kinmen może wreszcie dogonić Xiamen – dodaje po chwili z gorzkim uśmiechem.

Lepiej byłoby jednak nie testować, na ile powszechna jest to opinia.

© MARIA WIŚNIEWSKA



FREDERICK FLORIN / AFP / EAST NEWS

Seniorki idą po zdrowie

AGNIESZKA KAMIŃSKA Z ZURYCHU

Osiem lat temu emerytowane Szwajcarki podjęły z państwem walkę o ochronę klimatu. Powołują się na prawo do życia i zdrowia.

JAK MISTERNIE SKONSTRUOWANA SCENOgrafia, Alpy okalają turkusowomleczne jezioro. Aż trudno uwierzyć, że w połowie wieku XX tam, gdzie teraz jest woda, mieszkali ludzie.

To była typowa mała alpejska wioska – kilka domów, szkoła, kościół, plebania. Latem górale zajmowali się suszeniem siana, a wiosną, kiedy topniały śniegi, niemal całą powierzchnię doliny pokrywały krokusy. Pocztę z pobliskiej miejscowości listonosz dowoził na osle. Ale powojenny rozwój gospodarczy i związane z nim zwiększone zapotrzebowanie na energię zrodziły plan zbudowania w okolicy elektrowni wodnej.

Do jej zasilania potrzebny był zbiornik retencyjny, który zbierałby wodę z kilku górskich rzek.

Najlepszą lokalizacją dla tego sztucznego jeziora wydawała się szeroka łąka u podnóża gór. Mieszkańcy wioski, 70 sztuk bydła, 400 owiec i kóz – wszystko i wszyscy musieli rozstać się ze swoją ziemią i przenieść w inne miejsce. Ruszyła budowa zapory, a potem dolinę zalało 75 miliardów litrów wody. Jedynym śladem tamtego życia pozostała zachowana ku pamięci dzwonnica kościoła w miejscu, gdzie zaczyna się szlak.

Klimaseniorki, klimababcie...

Gdy zachwycamy się wyjątkowym kolorem jeziora, Beatrice, jedna z organizatorek wędrowki, sprowadza nas na ziemię. Tłumaczy, że mleczna barwa wody oznacza, iż spływa ona z alpejskich lodowców. Topią się za szybko, mówi i pokazuje, do którego miejsca na skalistych zboczach jeszcze niedawno sięgała płachta lodu.

Lodowiec Damma, którego biały jęzor (a raczej to, co z niego zostało) błyszczy w słońcu daleko w górę, jest jednym z najlepiej zbadanych lodowców na świecie. Od 1921 r. znajduje się pod czujnym okiem glaciologów, którzy dokumentują jego przemiany.

Od początku pomiarów Damma skurczył się już o ponad 620 metrów.

Szwajcarskie klimaseniorki po ogłoszeniu decyzji Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Strasburg, 9 kwietnia 2024 r.

Nie tylko zresztą on. Symulacje pokazują, że do końca stulecia w Alpach zachowa się co najwyżej jedna piąta obecnej masy lodowej, a to zmieni górski krajobraz nie do poznania.

Beatrice, tak jak towarzyszącą jej siostrę Ritę i inne organizatorki wycieczki, martwi to na tyle, że wraz z innymi kobietami powyżej 64. roku życia (tyle wówczas, w 2016 r., wynosił szwajcarski wiek emerytalny) założyły stowarzyszenie. Różnie się na nie mówi: seniorki na rzecz ochrony klimatu, klimaseniorki, klimababcie.

Rita, która dziś jest księgową stowarzyszenia, zaczęła chodzić po górach dopiero po pięćdziesiątce. Wcześniej były dzieci, mąż, praca, na wypadki nie starczało czasu. Dzisiaj góry sprawiają, że czuje się wolna. Ale też nic nie przygnębia jej tak jak one.

Rita nieprzypadkowo wybrała wędrowkę właśnie do tego miejsca. Podczas naszego spaceru dużo mówi o wodzie. Aż 60 proc. produkowanej w kraju energii pozyskiwane jest z niej. Dlatego kurczenie się półtora tysiąca lodowców okrywających szwajcarskie Alpy to problem. Znikające lodowce to też coraz groźniejsze góry: większe ryzyko osunięć i lawin.

Wciąż patrzymy na jezioro, teraz już bardziej ze strachem niż zachwytem.

„Kobiety prędzej niż mężczyźni”

Fale upałów, przed którymi nie da się już uciec nawet w góry, dotykają zwłaszcza osoby starsze. Jak podaje tutejsze ministerstwo środowiska, w trzech letnich miesiącach 2015 r. śmiertelność w Szwajcarii była o 5,4 proc. wyższa niż średnia z poprzednich dziesięciu lat, a w cieplejszych regionach kraju wzrosła nawet o ponad 10 procent.

Ogromna większość zmarłych na skutek wysokich temperatur to osoby powyżej 75. roku życia. Światowa Organizacja Zdrowia w raporcie „Płeć, zmiany klimatyczne i zdrowie” wskazuje na powiązania między płcią a doświadczaniem skutków zjawisk związanych ze zmieniającym się klimatem.

Czytamy: „Kobiety i mężczyźni w różny sposób odczuwają negatywne konsekwencje zdrowotne powstające w wyniku ekstremalnych zdarzeń takich jak

*Od lewej: Rita, Annemarie, Pia.
Od prawej: Beatrice, Rosemarie.
Dwie panie w środku to zaproszone goście.
21 sierpnia 2023 r.*

→ powodzie, wichury, susze i fale upałów. Chociaż klęski żywiołowe powodują trudności dla wszystkich, średnio zabijają więcej kobiet niż mężczyzn lub kobiety przedniej niż mężczyzn”.

I dalej: „Podczas europejskiej fali upałów w 2003 r. zmarło więcej kobiet niż mężczyzn, a większość badań wykazała, że kobiety są bardziej narażone na ryzyko śmierci w wyniku takich zdarzeń. Mogą istnieć pewne fizjologiczne przyczyny zwiększonego ryzyka wśród starszych kobiet”. Np. taka, że ciała kobiet po menopauzie mają mniejszą zdolność do odprowadzania ciepła i są bardziej narażone na przegrzanie, co z kolei silniej obciąża serce i układ krwionośny.

Źródła ich uporu

Patrząc na odpoczywające w cieniu seniorki, zdaje sobie sprawę, że do tej pory twarze aktywistek klimatycznych nie kojarzyły mi się ze zmarszczkami.

Medialne przekazy pełne są obrazów młodzieży pokolenia Greta Thunberg, domagającej się na demonstracjach w obronie klimatu bezpiecznej i zdrowej przyszłości. Ale nie powinno przecież dziwić, że doborstaniu kolejnych generacji pragnie też starsze pokolenie.

W końcu te kobiety nie robią tego wyłącznie dla siebie. Martwią się o naturę, o własne zdrowie i komfort życia, ale też o przyszłość dzieci i wnuków. Do tego dorastały w czasach, kiedy sprawczość kobiet w Szwajcarii była minimalna. Może to też jest źródło ich uporu.

Pia sprawia wrażenie, jakby od górskiego sprintu zaczynała dzień. Pokonuje kolejne metry wzwyż z prędkością górskiej kozicy. Z daleka widać tylko przemieszczającą się jaskrawą czerwień jej sportowego kapelusza.

Wychowała się na wsi. W gospodarstwie jej rodziców było siedem krów i dziewięcioro dzieci. „Politykowała” już jako nastolatka, śledząc starania kobiet o własny głos w demokracji. Pia: – Ojciec był przeciwny prawom wyborczym kobiet. Mówił, że to nikomu niepotrzebne i drogie. Uważał, że jeśli w małżeństwie dobrze się układa, to przecież żona ma



AGNIESZKA KAMIŃSKA

takie samo zdanie jak mąż. Pytał, po co mnożyć głosy.

Pierwsza Zielona w kantonie

Pia się buntowała. Po apelu lokalnej gazety o stworzenie listy argumentów za włączeniem kobiet do demokracji wysłała swoje trzy grosze. – To była moja prywatna rebelia – wspomina.

Był to też początek drogi, którą podąża do dzisiaj. Jako młoda kobieta związała się z partią Zielonych. Była nauczycielką pielęgniarek, miała szeroką sieć kontaktów. Nie urodziła dzieci, co oznacza, że miała czas na politykę. W końcu, jako pierwsza Zielona w kantonie, została wybrana do parlamentu w Bernie. Była posłanką przez 15 lat. Zajmowała się głównie transportem i polityką bezpieczeństwa.

Pia: – Byłam znana z tego, że zawsze jestem przeciw. Prasa nazywała mnie nawet notoryczną likwidatorką armii, bo konsekwentnie się za tym opowiadałam. Dzisiaj niektórzy mówią o nas, że babom na starość zachciało się robić politykę, zapominając, że wiele z nas przecież ma już na koncie karierę polityczną. Zresztą świadomie założyliśmy stowarzyszenie, a nie partię.

Dziś Pia jest na emeryturze, ale nie chce siedzieć w miejscu. Na swojej stronie in-

ternetowej dzieli się zdjęciami z podróży: ekspedycji do bazy pod Aconcagua w Argentynie, z tygodnia wspinaczkowego w Tesynie, wyprawy narciarskiej w Bivio, górskich wędrówek. – Najważniejsze to nie dać się zatrzymać – mówi.

Pozew: początek

Na spotkaniu założycielskim w sierpniu 2016 r. klimaseniorki ogłosiły, że składają pozew przeciw Szwajcarii. Chodziło o to, by wyrzucić presję na państwo, które ich zdaniem robi za mało, aby chronić obywateli przed skutkami ekstremalnych zjawisk spowodowanych zakłóceniami klimatu. Domagały się rewizji polityki klimatycznej oraz kompleksowej i sprawnej realizacji celów wyznaczonych podczas konferencji klimatycznej ONZ w Paryżu.

Przykład dały im Holenderki, które pozwały swoje państwo rok wcześniej (sąd pierwszej instancji przyznał im rację, zobowiązując rząd do bardziej restrykcyjnego ograniczenia emisji gazów cieplarnianych w najbliższych latach).

Ale wniosku Szwajczarek o „zaprzestanie zaniechań w ochronie klimatu” szwajcarski rząd nie rozpatrzył. Kobiety poszły więc dalej – do Federalnego Sądu Administracyjnego. Ten ich pozew oddalił.

Tak samo uczyniła kilka miesięcy później najwyższa krajowa instancja w Lozannie.

Wyglądało, jakby w walce przeciwko Goliatowi były skazane na porażkę. Ale klimaseniorki, doświadczone na górskich szlakach, były gotowe na długi marsz.

Wspólnota dodaje otuchy

Rosemarie idzie w ciszy, prawie się nie odzywa. Z wypchanym plecakiem i szalem przewieszonym przez szyję stąpa uważnie, krok po kroku, kamień po kamieniu. Jej prosto ścięta grzywka w kolorze pereł odświeża łagodne jasne oczy.

Nie chce rozmawiać w trakcie wędrówki. Ale kiedy zatrzymujemy się na odpoczynek i posiłek, zaczyna opowiadać sama.

Polityczną inicjację przeszła w latach 70. XX w., gdy działała w ruchu feministycznym, już wtedy mocno skupionym wokół postulatów związanych z ochroną środowiska. Razem z grupą aktywistek protestowała m.in. przeciw budowie elektrowni atomowej Kaiseraugst. Wtedy się udało, elektrownia nie powstała.

Później Rosemarie wyhamowała. Przez 12 lat była, jak mówi, matką w domu: – Nasłuchiłam się wtedy, że muszę być aktywna zawodowo, bo przecież feministka nie powinna siedzieć w domu. Ale to chyba jest bardziej skomplikowane.

Kiedy dzieci podrosły, działała, gdzie się dało, w organizacjach pozarządowych, grupach kobiecych, stowarzyszeniach związanych z Kościołem: – Wstawiałyśmy się za wprowadzeniem ograniczenia prędkości ruchu drogowego w miastach. Szyłyśmy torby z juty, żeby zastąpić czymś plastik. Ważne, że robiłyśmy to razem. Jak się chce mieć na coś wpływ i działa się samemu, szybko można popaść we frustrację. Wspólnota motywuje, dodaje otuchy i sprawia, że łatwiej jest być konsekwentną.

Kobiety uratują planetę

Rosemarie mówi, jak istotne dla kobiet jej pokolenia jest to, że mogą się oddać ważnej sprawie. Niektóre po 1971 r. – dopiero wtedy w Szwajcarii kobiety dostały prawo wyborcze – poszły do polityki, zajmowały ważne stanowiska, robiły karierę, nauczyły się korzystać ze swojego głosu i zyskały narzędzia, by opowiedzieć swoją historię. Inne z różnych powodów

Trybunał w Strasburgu przyznał im rację:

orzekł, że państwo ma chronić obywateli przed skutkami zmian klimatu.

nie wypłynęły na szerokie wody. Pozostały w prozie życia.

Ona wybrała rodzinę. Prywatnie i zawodowo, bo doradza też innym, jak wychowywać dzieci i jak dobrze żyć w związkach. A teraz współprzewodniczy stowarzyszeniu klimaseniorek.

Rosemarie wierzy, że to kobiety uratują planetę. Choć niektórzy reagują na nie agresją. – Dostajemy anonimowe maile, że jesteśmy czarownicami i szkoda, że nie skończyłyśmy jak one. Albo że powinniśmy zajmować się wnukami i piec ciasta. Tylko że my to wszystko i tak robimy! – oponuje.

Idą więc dalej i twierdzą, że zaniedbując ochronę obywateli przed katastrofą klimatyczną, Szwajcaria łamie prawa człowieka – powołują się przy tym na prawo do życia i zdrowia gwarantowane w Europejskiej Konwencji Praw Człowieka.

Do Strasburga

Zawiedzione nadzieje w kraju zaprowadziły je aż do Strasburga. Jako osoby bezpośrednio narażone na zdrowotne skutki zmian klimatycznych, obwiniły swoje państwo o opieszałość we wdrażaniu odpowiedniego prawodawstwa, aby katastrofę jeśli nie zatrzymać, to chociaż opóźnić.

Europejski Trybunał Praw Człowieka przyjął ich skargę pod koniec 2020 r.

Kiedy w 1968 r. rząd zarekomendował parlamentowi podpisanie konwencji o prawach człowieka, kobiety w Szwajcarii nie miały jeszcze prawa głosu. Tyśiące z nich wyszły wtedy na ulice w tzw.

marszu na Berno, z gwizdkami i hasłem „Prawa kobiet są prawami człowieka”.

Najstarsze z dzisiejszych klimaseniorek wchodziły wtedy w dorosłość. Dziś, ponad pół wieku później, skarżą państwo, powołując się na tę samą konwencję (Szwajcaria ratyfikowała ją w końcu w 1974 r.) i ponownie domagając się swoich praw.

– Wcześniej mało kto brał nas na poważnie. Strasburg zmienił wszystko. Usłyszał o nas cały świat – mówi Rosemarie, żegnając się z resztą grupy. Zna swoje granice. Dalej w górę pójdziemy bez niej.

W ostatnich kilometrach wędrówki towarzyszy mi Annemarie. Gdy jej mąż żył, chodzili razem po górach. Teraz wróciła na szlaki z klimaseniorkami. W grupie jest różnie.

Pytam, co takiego robią Szwajcarki, że tak długo pozostają w dobrej formie. – Cierpią – odpowiada z powagą Annemarie. I nie jestem pewna, czy chodzi jej o skurcze łydek, czy o coś zupełnie innego.

Ciąg dalszy nastąpi

W wyroku ogłoszonym 9 kwietnia 2024 r. Europejski Trybunał Praw Człowieka przyznał rację klimaseniorkom. Orzekł, że zgodnie z 8. artykułem Europejskiej Konwencji Praw Człowieka – stanowiącym o prawie do poszanowania życia prywatnego i rodzinnego – państwo ma obowiązek ochrony obywateli i obywateli przed skutkami zmian klimatu zagrożającymi ich zdrowiu, dobrobytowi i jakości życia.

Ponadto trybunał uznał, że zostało naruszone prawo do rzetelnego procesu sądowego. To oznacza, że Szwajcarki będą mogły raz jeszcze ubiegać się o rozpatrzenie ich sprawy w kraju.

© AGNIESZKA KAMIŃSKA

Tekst jest fragmentem książki naszej szwajcarskiej współpracowniczki Agnieszki Kamińskiej pt. „Złota klatka? O kobietach w Szwajcarii”, która z końcem maja ukazała się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego.

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

MY ZDĄŻYLIŚMY

W 2005 r. Putin uznał rozpad ZSRR za „największą katastrofę geopolityczną XX wieku”.

Agresja Rosji uświadamia, jak pomyślnie dla Europy Środka potoczyły się wydarzenia lat 1989-91. Nic nie było przesądzone.

ŁUKASZ KAMIŃSKI

GDYBY SZUKAĆ ANALOGII DO TEGO, CO stało się 35 lat temu w naszej części kontynentu, z polskiej perspektywy narzuca się porównanie do odzyskania niepodległości w roku 1918. Wówczas było to możliwe dzięki niezwykle spłotowi wydarzeń na arenie światowej (jednoczesnemu załamaniu trzech mocarstw zaborczych) i wysiłkowi społeczeństwa. Podobne czynniki odegrały rolę 70 lat później.

PLAN GORBACZOWA | Nie ulega dziś wątpliwości, że obejmując w 1985 r. władzę, Michaił Gorbaczow – pierwszy sekretarz Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, tj. najwyższy przywódca – chciał umocnić imperium, a nie doprowadzić do jego upadku. Stąd długo mógł liczyć na wsparcie większości sowieckiej elity. Peany chwalcące jego projekty zmian ukazywały się nawet na łamach wewnętrzznego pisma KGB.

Jego plan obejmował dwie zasadnicze sfery – przy czym, co warto podkreślić, obie związane były z historycznymi doświadczeniami, a zwłaszcza z rozpoczętą kilka lat wcześniej rewolucją Solidarności w Polsce.

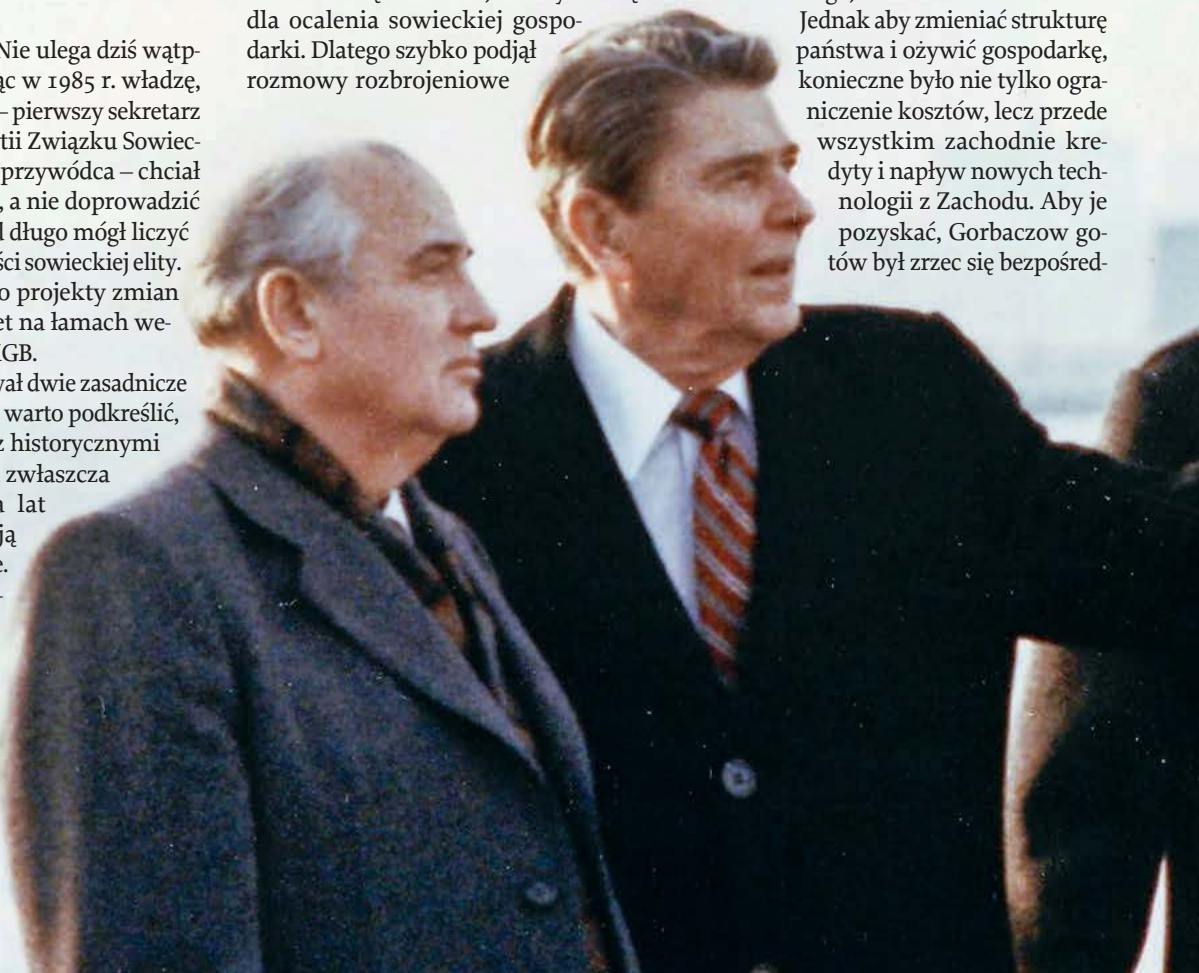
Pierwszym wnioskiem z „polskiego kryzysu” (jak widziała go Moskwa) były reformy, które miały zapobiec podobnym wydarzeniom w „ojczyźnie światowego prole-

tariatu”. Obejmowały gospodarkę (*usko- rienije*, przyspieszenie), sposób zarządzania państwem (*pierestrojka*, przebudowa) i dostęp do informacji (*glasnost*, jawność). W tej ostatniej sferze dominującą stała się szybko historia, na czele z ujawnianiem prawdy o zbrodniach Stalina.

KWESTIA KONTROLI | Gorbaczow zdawał sobie sprawę, że same reformy (początkowo zresztą nieśmiało) nie wystarczą dla ocalenia sowieckiej gospodarki. Dlatego szybko podjął rozmowy rozbrojeniowe

z USA – chciał odciążyć przemysł, w dużej mierze pracujący dla armii. Już w 1987 r. zawarł z prezydentem USA Ronaldem Reaganem układ o likwidacji rakiet balistycznych krótkiego i średniego zasięgu. Największe oszczędności miała zaś przynieść redukcja wojsk konwencjonalnych w Europie (tu stosowny traktat podpisano dopiero w listopadzie 1990 r., niedługo przed rozwiązaniem Układu Warszawskiego).

Jednak aby zmieniać strukturę państwa i ożywić gospodarkę, konieczne było nie tylko ograniczenie kosztów, lecz przede wszystkim zachodnie kredyty i napływ nowych technologii z Zachodu. Aby je pozyskać, Gorbaczow gotów był zrzec się bezpośred-



niej kontroli nad państwami bloku wschodniego.

I tutaj jego głównym problemem okazał się początkowo... brak chęci do głębszych reform ze strony przywódców poszczególnych „krajów demokracji ludowej”. A także niezrozumienie jego intencji przez państwa zachodnie.

PIERWSZE EFEKTY | Stopniowo sytuacja zaczęła się zmieniać. W 1988 r. pierwsze reformy zapowiedziano w Polsce i na Węgrzech, podpisano też porozumienie o współpracy między Europejską Wspólnotą Gospodarczą (poprzedniczką UE) a jej wschodnim odpowiednikiem – Radą Wzajemnej Pomocy Gospodarczej.

Na Zachodzie z coraz większym zainteresowaniem przyjmowano promowaną przez Gorbaczowa wizję „wspólnego europejskiego domu”; w niektórych krajach pojawiła się wręcz „gorbimania”. Triumfalny charakter miała już jego wizyta w Nowym Jorku w grudniu 1988 r. W siedzibie ONZ Gorbaczow zapowiedział jednostronną redukcję armii, w tym ograniczenie sowieckiego kontyngentu w krajach Europy Środkowej. We własnym mniemaniu w ten sposób symbolicznie zakończył zimną wojnę.

Bardziej skomplikowana była sytuacja wewnętrzna. Najpoważniejszym nieplanowanym efektem pierestrojki okazał się konflikt ormiańsko-azerski o Karabach. Pierwsze starcia w początkach 1988 r. przyniosły kilkudziesięciu zabitych i dziesiątki tysięcy uchodźców. Mimo to zdawało się, że sytuacja w imperium jest pod kontrolą – choć w wielu republikach widać było wyraźne ożywienie narodowe.

Dowodem na to, że zmiany postępują, a Kreml wciąż kontroluje sytuację, miały być wybory do nowego organu ustawodawczego państwa: Rady Deputowanych Ludowych. Zorganizowano je w marcu 1989 r. Jednak mimo stworzenia dość szerokich możliwości zgłaszania kandydatów ruch demokratyczny w większej części państwa okazał się jeszcze słaby – ostatecznie 87 proc. mandatów objęli członkowie partii komunistycznej. 9 kwietnia w Tbilisi wojsko

krwawo spacyfikowało protest Gruzinów, którzy domagali się już czegoś więcej – suwerenności swojej republiki.

PRZYSPIESZENIE | Wiosną 1989 r. Gorbaczow ruszył w swoje *tourneé* po Europie Zachodniej. Wszędzie spotykał się z entuzjastycznym przyjęciem, a kulminacyjnym sukcesem tej ofensywy dyplomatycznej było przemówienie w Strasburgu. 6 czerwca, a więc dwa dni po pierwszej turze częściowo wolnych wyborów w Polsce, Gorbaczow wprost mówił tam, iż każde państwo może swobodnie wybrać odpowiadający mu ustrój polityczny i ekonomiczny.

Była to deklaracja tak zaskakująca, że pomimo niej – oraz mimo innych wyraźnych sygnałów z Kremla – na Zachodzie wciąż obawiano się o losy polskich i węgierskich przemian. Odwiedzając w lipcu Polskę, George Bush (od stycznia 1989 r. prezydent USA) namawiał Wojciecha Jaruzelskiego – zrezygnowanego po czerwcowej porażce, jakiej PZPR doznała w wyborach – aby w imię sukcesu reform kandydował na urząd prezydenta PRL. Ambasada USA zadbała później, by Zgromadzenie Narodowe wybrało autora stanu wojennego na głowę państwa – mimo braku większości (część parlamentarzystów nie wzięła udziału w głosowaniu).

JESIEŃ LUDÓW | Późnym latem i jesienią 1989 r. okazało się, że także pozornie stabilne komunistyczne dyktatury w innych państwach chwieją się w posadach. Na ulice wyszli wschodni Niemcy, Czesi i Słowacy, a nawet Bułgarzy. 9 listopada runął mur berliński. Wbrew pozorom nawet to ostatnie wydarzenie nie dokonało się wbrew woli sowieckiego kierownictwa – tydzień wcześniej, na posiedzeniu Biura Politycznego partii komunistycznej, szef moskiewskiej dyplomacji Eduard Szewardnadze stwierdził, że „lepiej byłoby, żeby sami [tj. działacze energo-wiejskiej partii SED] pozbyli się muru”.

W tym, że wszystko idzie w dobrą stronę, utwierdził Gorbaczowa sowiecko-amerykański szczyt zorganizowany na pokładach okrętów wojennych u wybrzeży Malty w początkach grudnia 1989 r. Bush wsparł reformatorskie zamiary Gorbaczowa, obaj deklarowali wolę pokojowego ułożenia relacji Wschód-Zachód.

Na Gorbaczowa uspokajająco musiał działać też fakt, iż w ramach zbliżenia omawiano m.in. koncepcję wspólnego organizowania przez RFN i NRD →

Zabiegając o zachodnie kredyty, podczas wizyty w Nowym Jorku w grudniu 1988 r. Michaił Gorbaczow zapowiedział jednostronną redukcję armii sowieckiej i ograniczenie jej sił w krajach Europy Środkowej. Na zdjęciu od prawej: wiceprezydent USA George Bush, prezydent Ronald Reagan i przywódca Związku Sowieckiego, 7 grudnia 1988 r. W tle Statua Wolności.

→ olimpiady w Berlinie w roku 2004... Bo warto tu przypomnieć, że w tym czasie i Francja, i Wielka Brytania jednoznacznie odrzucały możliwość rozmów o zjednoczeniu Niemiec.

BRZEŚĆ BIS | Tyle że i tutaj sytuacja zmieniła się z tygodnia na tydzień. Kanclerz Helmut Kohl prowadził skuteczną politykę, przekonując sowieckie kierownictwo, że w zamian na zgodę na zjednoczenie jest w stanie zapewnić niezbędną pomoc gospodarczą dla Moskwy. Podczas kluczowego posiedzenia Biura Politycznego 26 stycznia 1990 r. Gorbaczow użył charakterystycznego porównania: „Był pokój brzeski nr 1, teraz jesteśmy w sytuacji »pokoju brzeskiego« nr 2”.

Przypomnijmy: w marcu 1918 r. bolszewicy, którzy chwilę wcześniej zdobyli władzę w Rosji, podpisali w Brześciu skrajnie niekorzystny traktat pokojowy z Niemcami i Austro-Węgrami, który jednak pozwolił im utrzymać władzę. Najwyraźniej Gorbaczow uznał, że zjednoczenie Niemiec jest ceną, którą warto zapłacić za ocalenie Związku Sowieckiego.

NIEMCY SIĘ JEDNOCZĄ | Brak oporu ze strony Związku Sowieckiego skłonił Brytyjczyków i Francuzów do zmiany stanowiska. Od marca 1990 r. prowadzono poufne rozmowy, w których dla USA najistotniejsza była zgoda Kremla na członkostwo zjednoczonych Niemiec w NATO.

Tempo zmian pokazuje postawa Busha. W marcu 1990 r. – niewiele ponad pół roku po tym, jak przekonywał Jaruzelskiego do objęcia funkcji prezydenta PRL – Bush namawiał premiera Tadeusza Mazowieckiego do rozpoczęcia rozmów o wycofaniu wojsk sowieckich z Polski.

W maju 1990 r. zaczęły się negocjacje w formule „2 plus 4” (dwa państwa niemieckie i czterej alianci z okresu II wojny światowej). Porozumienie w kwestii warunków zjednoczenia osiągnięto w zaledwie cztery miesiące. 3 października 1990 r. jedność Niemiec stała się faktem. Kilkanaście dni później ogłoszono, iż Gorbaczow został laureatem Pokojowej Nagrody Nobla. Wkrótce, w listopadzie, podpisano wspomniane już porozumienie o znaczącej redukcji wojsk konwencjonalnych w Europie.

Sukcesy na arenie światowej nie mogły jednak przysłonić narastającego kryzysu w samym Związku Sowieckim.

W KIERUNKU ROZPADU | Przemiany w Europie Środkowej, a zwłaszcza spektakularne obalenie muru berlińskiego, obudziły bowiem nadzieję na możliwość głębszych zmian także w samym „kraju rad”.

Równoległe pogłębiały się tu napięcia wewnętrzne, zwłaszcza konflikt ormiańsko-azerski. W styczniu 1990 r., po decyzji władz armeńskiej republiki, które zezwoliły mieszkańcom Karabachu na udział w wyborach jej władz, w Baku (stolicy azerbejdżańskiej republiki) wybuchły zamieszki. Przekształciły się w pogrom, w którym zginęło 48 Ormian. Jednocześnie azerski Front Ludowy (podobne organizacje działały także w innych republikach) wezwał do blokowania koszar armii sowieckiej. W odpowiedzi Moskwa zdecydowała się na użycie wojska i wprowadzenie stanu wyjątkowego. W trakcie pacyfikacji zabito 147 cywilów, kilkaset osób zostało rannych.

Ten pokaz brutalnej siły nie osłabił tendencji odśrodkowych. W wyborach władz poszczególnych republik, jakie odbyły się w lutym i marcu 1990 r., w trzech republikach bałtyckich i Gruzji partia komunistyczna poniosła klęskę. Na Litwie wierni Moskwie komuniści zdobyli zaledwie 7 ze 141 mandatów. Najwięcej miejsc uzyskali kandydaci niezależni, głównie związani z niepodległościowym ruchem Sajudis, a także rozłamowa grupa komunistów opowiadających się za suwerennością Litwy. Na pierwszym posiedzeniu 11 marca 1990 r. nowy parlament uchwalił Akt Przywrócenia Państwa Litewskiego.

Odpowiedzią Moskwy była znów siła: na litewskich ulicach pojawiły się patrole, armia zajęła strategiczne budynki, poborowych wcielano siłą. Zbuntowaną republikę objęto też blokadą ekonomiczną, odcinając ją zwłaszcza od dostaw gazu i ropy. Jedynym ustępstwem Litwinów było moratorium – czasowe zawieszenie skutków Aktu.

GORBACZOW SIĘ BRONI | W większości pozostałych republik partia komunistyczna odniosła wprawdzie miażdżące zwycięstwo, nie oznaczało to jednak stabilizacji imperium – w wielu miejscach umacniali się lokalni liderzy, kierujący się własnym interesem politycznym. Największe wyzwanie Gorbaczowowi rzucił Borys Jelcyń, który stanął na czele rosyjskiej Rady Najwyższej. W czerwcu 1990 r. doprowadził do ogłoszenia deklaracji suwerenno-

ści Rosji (jeszcze w ramach Związku Sowieckiego).

Gorbaczow odpowiedział na tendencje, podejmując próbę przebudowy systemu władzy. W marcu 1990 r. decyzją Rady Deputowanych Ludowych objął nowo stworzony urząd prezydenta Związku Sowieckiego. Jednocześnie z sowieckiej konstytucji wykreślono zapis o kierowniczej roli partii komunistycznej i dopuszczono działalność innych ugrupowań politycznych.

Mimo narastającej krytyki – zarówno ze strony partyjnego betonu, jak i zwolenników głębszych zmian – Gorbaczow utrzymał funkcję sekretarza generalnego KPZS. Odnowiony mandat wykorzystał do likwidacji Biura Politycznego i utworzenia nowego ciała kierowniczego, złożonego z liderów lokalnych struktur.

Wszystkie te posunięcia nie mogły jednak zrównoważyć narastającego kryzysu gospodarczego. Pogłębiał go brak zdecydowania i wycofywanie się z ambitniejszych reform rynkowych pod presją partyjnego betonu.

OSTATNIE PRÓBY | W grudniu 1990 r. Litwa zakończyła moratorium zawieszające akt restytucji niepodległości. W odpowiedzi w styczniu 1991 r. Moskwa wysłała do Wilna i do łotewskiej Rygi wojsko i OMON (specjalne jednostki milicji). Naprzeciw nim wyszli nieuzbrojeni Litwini i Łotysze. Mimo ofiar śmiertelnych i zajęcia niektórych strategicznych budynków, Kremlowi nie udało się przywrócić kontroli nad zbuntowanymi republikami.

Ostatnią próbą mobilizacji społeczeństwa wokół idei utrzymania zreformowanego Związku Sowieckiego było referendum, które Gorbaczow ogłosił na marzec 1991 r. Treść pytania sugerowała kierunek zmian, było ono jednak dość ogólne: „Czy uważasz za niezbędne zachowanie Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich jako odnowionej federacji równoprawnych suwerennych republik, w których prawa człowieka i wolność każdej narodowości będą w pełni zagwarantowane?”.

Nieprecyzyjność pytania nie była tu jednak głównym problemem. W Armenii, Gruzji, Mołdawii i krajach bałtyckich referendum w ogóle nie zorganizowano. W zamian za to na Litwie, Łotwie oraz w Estonii przeprowadzono własne głosowanie, w których zdecydowana większość poparła ideę niepodległości.



JURIJ IWANOW // B&W

Jeszcze kilka lat wcześniej wydawało się to nieprawdopodobne: 8 grudnia 1991 r. prezydenci Rosji, Białorusi i Ukrainy rozwiązyli Związek Sowiecki. Od prawej: Borys Jelcyński, Stanisław Szuszkiewicz i Leonid Krawczuk w ośrodku Wiskule w Puszczy Białowiejskiej.

Co gorsza dla Gorbaczowa, w Rosji do referendum dodano własne pytanie, dotyczące utworzenia urzędu rosyjskiego prezydenta wybieranego w wyborach powszechnych. A gdy się odbyły, wygrał je Jelcyński (57 proc. głosów w pierwszej turze). Dało mu to silniejszy mandat do sprawowania władzy niż ten, którym dysponował Gorbaczow.

Wkrótce Jelcyński miał go wykorzystać. Tymczasem jednak, bez większego rozgłosu, zlikwidowano narzędzia niedawnej kontroli na Europą Środkową: Układ Warszawski i Radę Wzajemnej Pomocy Gospodarczej.

PUCZ I KONIEC | W tej sytuacji zwolennicy utrzymania imperium uznali, że jedyną ich szansą jest użycie siły. Datę wyznaczyło zaplanowane przez Gorbaczowa na 20 sierpnia 1991 r. podpisanie nowego układu z republikami związkowymi, który miał nadać im znaczną niezależność od centrum. Sowiecki lider przygotowywał się do tej uroczystości w swojej dachy na Krymie. Po południu 18 sierpnia odcięto mu łączność, a wysłannicy spiskowców zażądali od niego wprowadzenia stanu wyjątkowego.

Ponieważ Gorbaczow odmówił, nad ranem 19 sierpnia spiskowcy ogłosili jego ustąpienie i przejęcie władzy przez wiceprezydenta Giennadija Janajewa. Stał się on na czele Państwowego Komitetu

Stanu Wyjątkowego, w skład którego weszli m.in. premier, minister obrony, minister spraw wewnętrznych i szef KGB.

Nie byli już jednak w stanie kontrolować sytuacji. Przeciw nim wystąpili przedstawiciele wielu struktur, na czele z Jelcyńskim i parlamentem Rosji. W Moskwie doszło do walk (ograniczonych), część jednostek wypowiedziała posłuszeństwo Janajewowi. 21 sierpnia do stolicy wrócił Gorbaczow, nazajutrz aresztowano puczystów (część popełniła samobójstwo).

Kłeska puczu przyspieszyła koniec Związku Sowieckiego. W kolejnych dniach deklaracje niepodległości ogłosiły także te republiki, które wcześniej zamierzały pozostać w zreformowanym imperium. Partię komunistyczną zdelegalizowano. Gorbaczow został *de facto* likwidatorem struktur państwa sowieckiego, oczekując z rezygnacją na decyzje nowych liderów – na czele z Jelcyńskim.

8 grudnia w ośrodku myśliwskim Wiskule, położonym w Puszczy Białowiejskiej, Jelcyński podpisał wraz ze Stanisławem Szuszkiewiczem (Białoruś) i Leonidem Krawczukiem (Ukraina) traktat rozwiązujący Związek Sowiecki. Gorbaczowowi pozostało przyjąć ten fakt do wiadomości i złożyć 25 grudnia 1991 r. swój urząd.

ZABRAKŁO OBRONCÓW | A przecież jeszcze kilka lat wcześniej wszystko to, co opowiedziano powyżej, wydawało się nie-

prawdopodobne. Najśmielsi zachodni analitycy liczyli jedynie na stopniowe reformy, demokratyzację systemu i osłabienie kontroli Kremla nad krajami bloku wschodniego.

Z dzisiejszej perspektywy widać, że istotną przyczyną takiego rozwoju wydarzeń był kryzys gospodarczy. Po raz kolejny potwierdził się też pogląd, że dla dyktatur najbardziej niebezpieczne są próby ich reformowania.

Gorbaczow nie przewidział też tempa i dynamiki zmian w Europie Środkowej, a co ważniejsze – ich wpływu na sytuację w imperium. Starał się utrzymać swój wizerunek na Zachodzie (i uzyskać kredyty), a jednocześnie używał siły, niekonsekwentnie. Przeceniał stabilność sowieckiego systemu i nie przewidział, że jego konkurenci (głównie Jelcyński) mogą uzyskać poparcie społeczne, operując hasłami demokracji i gospodarki rynkowej.

Wreszcie: Związkowi Sowieckiemu zabrakło obrońców. Nawet pucyści wykazali się żalosnym niezdecydowaniem, jakby nie wierzyli w słuszność swych poczynań. Zabrakło idei, w imię której można by bronić imperium – po 70 latach masowej indoktrynacji komunizm okazał się ideą martwą.

MY ZDĄŻYLIŚMY | Podstawowym czynnikiem była jednak postawa społeczeństw. Najpierw mieszkańców Europy Środkowej, którzy odważyli się sięgnąć po wolność jesienią 1989 r., a potem mieszkańców samego Związku Sowieckiego.

Choć dziś trudno w to uwierzyć, wtedy, w roku 1991, znaleźli się wśród nich także całkiem liczni Rosjanie. Niestety już kilka lat później pułkownik KGB Władimir Putin proponuje im nową ideologię zamiast komunizmu – odbudowy rosyjskiego imperium, *rosskij mir*.

Zanim to nastąpiło, na szczęście dla nas zdążyliśmy wstąpić do NATO i Unii Europejskiej. Ci, którzy nie zdążyli wykorzystać tej wyjątkowej koniunktury historycznej – przede wszystkim Ukraińcy – płacą dziś najwyższą cenę.

© DR ŁUKASZ KAMIŃSKI

Autor jest historykiem, adiunktem w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego, a od 2022 r. także dyrektorem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. W latach 2011-16 był prezesem IPN. Specjalizuje się w dziejach Polski i Europy Środkowej w XX wieku.



MATERIAŁ PRASOWY PARTNERA X2

Laureaci Nagrody Przewroty. Od lewej: Janusz Laska, pomysłodawca i współtwórca Klubów Młodego Odkrywcy; Emilia Kopiec, dyrektorka Oświatowego Centrum Nauki i Techniki w Wodzisławiu; Anja Franczak, prezeska Instytutu Dobrej Śmierci. Gala Nagrody, Warszawa, 24 maja 2024 r.

ĆWICZENIA Z ŻYCIA

Jak przygotować siebie i innych do radzenia sobie ze śmiercią?
Czego potrzebuje współczesna szkoła? Może jednego dnia w tygodniu bez normalnych lekcji? Nagroda Przewroty zmienia nasze myślenie o edukacji.

KINGA DAWIDOWICZ

Idea nagrody przyznawanej przez Centrum Nauki Kopernik wyrosła z potrzeby namysłu nad edukacją, nie tylko tą szkolną i sformalizowaną, ale również nad szerszym procesem, w którym wszyscy bierzemy udział przez całe życie. Wśród 366 zgłoszeń znalazły się więc inicjatywy prowadzone w szkole, jak i w domu; w świecie wirtualnym i rzeczywistym; dla dzieci i dla dorosłych; w społeczności lokalnej i ogólnopolskiej. Z kolei sam aspekt edukacyjny obejmuje zarówno kompetencje twarde, zawodowe, jak i te, które wpływają na nasz dobrostan psychiczny i umiejętność funkcjonowania w społeczeństwie.

Nazwa „Przewroty” nawiązuje do dzieła Kopernika i wskazuje rangę oraz znaczenie nagradzanych inicjatyw. Ich cechą nadrzędną jest odwaga w myśleniu, podejmowanie nieoczywistych rozwiązań i odpowiedzi na realne potrzeby szybko zmieniającej się rzeczywistości. Dyrektor Centrum Nauki Kopernik i przewodniczący kapituły honorowej, Robert Firmhofer, podkreśla, że celem nagrody jest

pokazanie świata wspaniałych pomysłów, a także dbanie o ciągłość i rozwój działań docenionych przez kapitułę. „Chcieliśmy skierować reflektory w stronę niezwykle dynamicznego, fantastycznego krajobrazu różnorodnych pomysłów, który często jest niezauważony. Zanika w rozmowie o edukacji” – dodaje Firmhofer.

■ ■ ■

W kategorii ogólnopolskiej nagrodę otrzymał **INSTYTUT DOBREJ ŚMIERCI**. Jego działania stawiają sobie za cel zwiększenie świadomości społecznej oraz podniesienie poziomu edukacji o umieraniu, śmierci i żałobie. Członkowie organizacji chcą stworzyć nową jakość edukacji w kwestii, która nierozdzielnie związana jest z egzystencją każdego z nas. A mimo to temat ten w debacie publicznej jest regularnie spychany na margines, podobnie zresztą jak w naszym codziennym życiu. Instytut chce być przestrzenią, gdzie wsparcie znajdują nie tylko umierający, ale też ci, którzy przeżywają żałobę, a także osoby im towarzyszące.

„Działania Instytutu okazują się bardzo wspólnototwórcze. Wielkie tradycje, również tradycje pogrzebowe, podtrzymywały wspólnotę. Teraz odchodzą, przez co wydają się już nie pasować do nas, do naszej rzeczywistości. Chcemy się skupić na tym, żeby tworzyć wspólnotę, żeby nie umierać w samotności, ale też nie przeżywać żałoby w izolacji od innych”, mówi Maria Puchalska, dyrektorka do spraw operacyjnych IDŚ.

Obszar działań organizacji jest szeroki i obejmuje m.in. spotkania z ekspertami i ekspertkami z różnych dziedzin, którzy wnoszą swoją wiedzę na temat śmierci z perspektywy własnej pracy zawodowej, naukowej lub artystycznej. Instytut to również warsztaty, webinary i kursy online, szkolenia „Praca z osobą w żałobie. Nowe perspektywy”, spotkania międzynarodowej inicjatywy „Death Cafe” dla osób w żałobie czy szkolenia dla mistrzów i mistrzyń ceremonii pogrzebowych.

IDŚ mimo zaledwie kilkuletniej historii działania zdążył dotrzeć do szerokich grup społecznych. Poza osobami indywidualnymi z ich pomocy korzystają coraz częściej instytucje czy organizacje, np. pracownicy związani ze służbą zdrowia czy personel hospicjów. Założycielka Instytutu Anja Franczak mówi, że ten rozwój niezwykle ją cieszy, ma jednak marzenie, by kiedyś Instytut przestał być potrzebny: „Chciałabym, żebyśmy odzyskali kulturę umierania i śmierci. Odkryli w sobie zasoby, które pozwalają nam wzajemnie się sobą opiekować i tworzyć wspierające społeczeństwo”.

■ ■ ■

Docenione w kategorii lokalnej **OŚWIATOWE CENTRUM NAUKI I TECHNIKI W WODZISŁAWIU ŚLĄSKIM** skupione jest

na działaniach edukacyjnych dla dzieci i młodzieży. Pomysłodawczyni i założycielka Centrum, Emilia Kopiec, podkreśla, że rdzeniem projektu jest stawianie na kreatywność. „Nie ma sztywnego programu nauczania, gdzie konieczne jest trzymanie się konkretnych ram. Głównym kryterium organizowania zajęć jest to, co interesuje dzieci, co chciałyby robić i tworzyć. A opiekunowie zajęć starają się te potrzeby rozwijać i realizować”.

Oświatowe Centrum Nauki i Techniki zrodziło się z potrzeby zapewnienia dzieciom zajęć praktycznych, pobudzających do sprawdzania swoich sił i pomysłów w praktyce. Działając jako zespół interdyscyplinarnych pracowników naukowych i artystycznych, zapewnia rozwój kompetencji nieujętych w programie szkolnym. W skład Centrum wchodzić pracownicy: mechatroniczna, stolarska, modelarska, krajoznawcza, ceramiki i rękodzieła, fusingu (czyli wytopu szkła), malarstwa, rysunku i fotografii,

kinowa oraz sensoryczno-plastyczna dla przed-szkolaków. W planach rysuje się też otwarcie pracowni muzycznej.

Wszystko to wynika z przekonania, że przedmioty artystyczne niesłusznie są zaniedbywane w polskim systemie szkolnictwa. Ich dowartościowanie przekłada się na lepsze rozumienie innych przedmiotów, w przypadku edukacji muzycznej chociażby na rozwijanie umiejętności matematycznych. „Wprowadziliśmy dzień projektowy i każda klasa przechodzi przez zajęcia we wszystkich pracowniach. Uczniowie samodzielnie poznają swoje możliwości. W pewnym momencie sami są zaskoczeni, że coś im się podoba i że odkryli w sobie nowe talenty” – dodaje Emilia Kopiec. Zajęcia w pracowniach nie stanowią alternatywy czy dodatkowych zajęć dla chętnych. Zostały włączone jako stały element programu nauczania (jeden dzień w tygodniu) i uczestniczą w nich wszystkie dzieci klas IV-VIII z powiatu wodzisławskiego.



Nagroda Specjalna przyznana **JANUSZOWI LASCE** to docenienie inicjatywy powstałej blisko 30 lat temu. Laureat nagrody, geolog, nauczyciel geografii i przyrody, działacz społeczny i założyciel Kłodzkiego Towarzystwa Oświatowego, jest pomysłodawcą i współtwórcą **KLUBÓW MŁODEGO ODKRYWCY**. Jak sam twierdzi, miały być one odpowiedzią na nudę w szkole, która, jak wynikało z badań



przeprowadzonych w połowie lat 90. przez profesor Barbarę Fatygę z Uniwersytetu Warszawskiego, była dominującym odczuciem wśród badanych piętnastolatków.

Kluby rozwijały się w przekonaniu, że nauka jest ciekawa, że warto ją poznawać nie tylko w teorii, ale przede wszystkim w praktyce, w terenie. KMO kształtowały samodzielność, pobudzały odwagę krytycznego

myślenia i oferowały ogromną frajdę przy okazji zdobywania wiedzy. Dużą rolę w tym procesie odgrywały przeprowadzane przez młodzież eksperymenty. Często z wykorzystaniem najprostszych narzędzi – bywało, że słomka i suszarka potrafią zastąpić wyspecjalizowane maszyny i laboratoria. KMO początkowo rozrastały się regionalnie, a w 2008 roku program wzięło pod swoją opiekę Centrum Nauki Kopernik. Obecnie w Polsce jest około tysiąc Klubów Młodego Odkrywcy, ale swym zasięgiem obejmują również Armenię, Etiopię, Gruzję, Rumunię i Ukrainę. „Jak coś się robi z pasją, to działa”, mówi Janusz Laska.

Pierwsza edycja Nagrody Przewroty pokazała, jak różnorodne bywają potrzeby edukacyjne w Polsce. Z jednej strony często brakuje nam wsparcia w radzeniu sobie z własną psychiką i emocjami, z drugiej – wciąż za mało uwagi poświęcamy rozwijaniu naukowych i artystycznych pasji wśród najmłodszych.

„Liczba zgłoszeń przewyższyła nasze oczekiwania! To potwierdza, jak twórcze jest środowisko edukacyjne w Polsce” – powiedział Robert Firmhofer po obradach kapituły honorowej. „Liczymy na to, że Nagroda Przewroty skłoni środowisko, które pragnie rozwoju nowoczesnych metod i form uczenia się, do podjęcia dyskusji o kształcie edukacji, do szukania odpowiedzi na pytanie, jakiego przewrotu potrzebuje dziś edukacja, by najlepiej odpowiadała na wyzwania przyszłości”, dodał. ©

ZAMYŚL STWÓRCZY

Nie ma w świecie niczego bardziej kreatywnego od ewolucji: w każdym ze znanych nam dwóch milionów gatunków zwierząt moglibyśmy znaleźć cechy i zwyczaje, które wyróżniają go na tle innych.

AGNIESZKA DEFUS

O ŚWIECIE ZWIERZĘCYCH ZWYCZAJÓW mówi się na okrągło. Lubimy podglądać zwierzęta w akcji, obserwować, jak radzą sobie z codziennymi czynnościami, czytanie o nich sprawia nam przyjemność. Ba, nawet badania naukowe sugerują, że oglądanie w przerwie w pracy nagrań ze zwierzętami redukuje stres i podwyższa naszą kreatywność. Najpiękniejsze jest chyba to, że każdy znajdzie tu coś dla siebie: czy to będą urocze futrzaste kuleczki, osobliwe zwyczaje pozornie pospolitych istot, czy budzące grozę potwory.

W symbiozie z ptasznikiem

Zacznijmy z przytupem, pod lupę biorąc pewien rodzaj ptaszników (*Xenesthis*) z Peru, które trzymają sobie żaby jako zwierzątka domowe. Dosłownie. Ta intrygująca relacja dużych pajaków z małymi płazami zaobserwowana została już jakiś czas temu i, rzecz jasna, od razu zaintrygowała przyrodników. W końcu ptasznik bez większego kłopotu mógłby zabić, a następnie zjeść małego płaza. Co prawda ze względu na swoje skórne wydzieliny nie byłby on wymarzoną przekąską, ale w ciężkich czasach nie ma co wybrzydzać. Czym więc jest ten egzotyczny związek?

Uporządkujmy fakty. Po pierwsze, ptasznik faktycznie jest ogromny i (nie ma co ukrywać) przerażający. A gdy jest się małą żabą (*Chiasmocleis ventrimaculata*) w wielkim świecie, wówczas posiadanie odpowiednio uposażonego kompana, który mógłby chronić przed zagrożeniami tegoż świata, jest tylko na plus. Po drugie, duży pajak musi dużo jeść. Po

każdym posiłku pozostawia kilka truchel, do których zlatuje się niemało bezkręgowców. Tak się pomyślnie składa, że żaby gustują w takim latającym jadalospisie. A przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie zrezygnuje z darmowego posiłku. Zwłaszcza wtedy, gdy każdy nowy dzień może zaskoczyć kolejną nieprzyjemną niewiadomą.

Oba te argumenty nijak się jednak nie mają do tego, że pająki (zwłaszcza te duże) mimo wszystko zjadają żaby (zwłaszcza te małe). Nawet wtedy, gdy te tworzą już wielkie plany na temat rychłej poprawy standardów swojego życia. Co zatem sprawia, że ptaszniki celowo zachowują żaby przy sobie? Okazuje się, że żaby *C. ventrimaculata* posiadają pewną świetną właściwość, którą jest jedzenie mrówek. A kiedy mrówcze stado nagminnie zjada pajakowi jego jaja, wówczas zaangażowanie do pomocy kogoś, kto mógłby pomóc rozwiązać ten uporczywy problem, wydaje się całkiem niezłym pomysłem. Nawet wtedy, gdy ten ktoś ma mało zachęcającą konsystencję skóry i zdarza mu się polizać własne oko. Dla osiągnięcia sukcesu reprodukcyjnego i takie wszak niedogodności można przeboleć. I wieść sobie życie z żabą u boku.

A skoro już przy ptasznikach jesteśmy, warto wspomnieć o jeszcze jednej ich wyjątkowej umiejętności, która pewnie niektórych wcale nie ucieszy. Otóż ptaszniki potrafią chodzić po wodzie. Fatalnie byłoby zobaczyć parującego po tafli jeziora ptasznika, to fakt. Jest to jednak coś, co może nam się w życiu przytrafić. Oczywiście, tego typu sytuacje nigdy

nie są efektem samej woli pająka. Zazwyczaj bywa tak, że jakiś przypadkowy ciąg wydarzeń kończy się dla niego wpadnięciem do zbiornika wodnego. Ptasznikom nadzwyczajnym takie wypadki zdarzają się wtedy, gdy zwisają z niebezpiecznie nachylonych nad jeziorem drzew. Może też zdarzyć się i tak, że niespodziewany przypływ wody wymyje pajęczą kryjówkę wraz z jej właścicielem.

Trafienie do wody to nie jest dla ptaszników sytuacja komfortowa. Receptory znajdujące się na ich odnóżach (tzw. higroreceptory) służą do tego, by wykrywać wilgoć – właśnie po to, by jej unikać. Kiedy jednak pajak znajdzie się już w wodzie, trzeba przyznać, że całkiem dobrze sobie radzi. Prawdopodobnie dzięki warstwie powietrza znajdującej się w gęstym pajęczym odzieniu oraz jego powłoce zewnętrznej, która posiada wyjątkowe właściwości wodoodporne (dlatego też pająki z wody wychodzą suche). Warto też dodać, że pająki na wodzie poruszają się niezwykle szybko – nawet 8 centymetrów na sekundę, czyli szybciej niż na lądzie. Samo zaś unoszenie się na tafli wody to wynik lekko odchylonych na boki odnóży i wykorzystywanie napięcia powierzchniowego cieczy.

Pocisk z własnej krwi

Zmieńmy jednak bohatera i wyobraźmy sobie taką scenkę: na gorącym pustynnym słońcu nieruchomo siedzi

W obliczu zagrożenia jaszczurka rogata (Phrynosoma cornutum) może strzelać krwią ze swoich oczu.

jaszczurka rogata (*Phrynosomatidae*). Kątem swojego oka wpatruje się w młodego kojota, który zbliża się do niej powoli i bezszelestnie. Drapieżnik zauważył jaszczurkę, mimo jej świetnego kamuflażu. Nie czeka długo – rzuca się na nią i już ma zabierać się do odgryzienia jakiegoś smacznego jaszczurzego kęsa, gdy coś nagle uderza go prosto w twarz. Jest lepkie i ciepłe, cierpkie i czerwone. To krew. Którą jaszczurka właśnie wystrzeliła ze swoich oczu.

Historia ta może nieco przypominać scenariusz niskobudżetowego horroru z końca lat 80. Jednak autokrwotok (czyli strzelanie do innych krwią z oka) to zupeł-

nie naturalny mechanizm obronny rogatych jaszczurek. Jak właściwie działa taki niebagatelny podarek od ewolucji? Jaszczurki rogate posiadają pod swoimi ślepiami zatoki, przypominające woreczki, które można napełniać. Ot, na przykład krwią. Aby się to jednak udało i aby krew z powodzeniem dostała się do zatok, mięśnie wyściełające żyły wokół jaszczurzego oka muszą się skurczyć, by odciąć dopływ krwi do serca, blokując w ten sposób jej obieg. Kiedy napływająca wciąż do głowy krew nie ma dalszego ujścia, wówczas trafia do zatok.

Tam, pod wpływem rosnącego ciśnienia, które w pewnym momencie osiąga

poziom krytyczny, cienkie błony zatok zostają rozerwane. A tryskający strumień krwi (o sile rażenia nawet jednego metra) strzela prosto w mającego chrapkę na jaszczurkę oprawcę. Uszkodzona błona powraca potem do pierwotnej formy i przygotowuje się do tego, by chronić swoją właścicielkę przed kolejnymi atakami. Choć, niestety, nie przed wszystkimi. Populacja rogatych jaszczurek stopniowo maleje przez niszczenie rodzimych siedlisk. A na takie zjawisko żadne tryskanie krwią nie pomoże.

Zbrukane popiersie

Przy okazji krwawych tematów warto przywołać także przykład pewnego ciekawego gołębia. Co prawda nie charakteryzuje się on jakimiś wyjątkowo zadziwiającymi cechami zachowania, jednak zwraca uwagę (zwłaszcza naszą) osobliwym umaszczeniem. Napotykać taki okaz (*Gallicolumba luzonica*) na swojej drodze, można odnieść wrażenie, że przed chwilą został on... postrzelony. ↳



→ Gołąb z krwawiącym sercem (to jego nazwa potoczna) na swojej piersi posiada bowiem bardzo wymowną czerwoną plamkę, do złudzenia przypominającą ranę. Jego rodzima nazwa jest nieco mniej poetycka, choć bardziej drastyczna – w filipińskim języku tagalog jest określany jako „ptak pchnięty nożem”.

Nie do końca wiemy, po co tak oryginalne i wywołujące ludzką grozę umaszczenie. Możemy jednak przypuszczać. Czerwony kolor jest u wielu zwierząt markerem płciowym – czerwień jest pociągająca, więc wiele ptaków wykorzystuje ją w swoich trzeciorzędowych cechach płciowych (znana jest np. historia

kury domowej zauroczonej kurkiem do wody w czerwonym kolorze). Soczysta czerwona plama w reprezentatywnym miejscu mogłaby więc przy odpowiedniej prezencji podczas zalotów wywołać niemałe poruszenie. Inna hipoteza mówi o wykorzystywaniu takiego śladu do lepszej ochrony przed drapieżnikami. Gołębie, podobnie jak wiele innych gatunków ptaków, często praktykują tanatozę, czyli udawanie śmierci. Ta fascynująca strategia bywa zaskakująco skuteczna, więc – kto wie? – być może ewolucja dodatkowo wyposażała gołębia z Filipin w atrybut, który skuteczniej pozwalałby mu odgrywać tę jakże ryzykowną scenę ostatniej szansy?

Łatwo się jednak domyślić, że atrakcyjne umaszczenie sprawia gołębiowi wiele trosk. Nie tylko jest on obiektem zintensyfikowanych polowań, ale także często trafia do sprzedaży jako ptak klatkowy. Co więcej, wycinka lasów pod grunty rolne bardzo szybko pozbawia go naturalnych siedlisk. Do tego stopnia, że dziś ten niesamowity endemiczny okaz jest krytycznie zagrożony.

Bezbłędna diagnoza

Pozostajmy jeszcze na moment przy gołębiach z bliższych nam szerokości geograficznych. Jak się bowiem okazuje, posiadają one pewną bardzo ciekawą cechę, która może nam pomóc – potrafią prawidłowo wykrywać raka piersi. I to z dokładnością porównywalną do tej, jaką dziś osiągają eksperci medycyny patologicznej. Informacja to o tyle zaskakująca, że zwykliśmy traktować te gruchające ptaki jako element naszych urbanistycznych krajobrazów oraz łączymy z nimi wiele krzywdzących stereotypów.

Tak się jednak składa, że pod gołębiem mózgiem, nie przekraczającym rozmiarów czubka naszego palca wskazującego, kryje się doskonały system wzrokowy, dużo lepszy niż ludzki. Gołębie w swojej siatkówce posiadają przynajmniej pięć receptorów wzrokowych, dlatego ich świat mieni się intensywnym spektrum barwnym. I to właśnie dlatego około dekadę temu Richard M. Levenson z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Davies i współpracownicy poprosili te ptaki o pomoc w wykrywaniu raka na obrazach biopsji tkanki.

Wciąż brzmi to dziwnie. Prawda jest jednak taka, że na początkowych etapach rozpoznanie raka dosyć często bywa

1 czerwca w Zagnańsku pożegnaliśmy

ks. dr. hab. Janusza Mączkę SDB, prof. UPJPII.

Ks. Janusz od początku istnienia Fundacji Centrum Kopernika stał na czele jej zarządu.

Naukowo specjalizował się w filozofii przyrody, filozofii nauki i historii polskiej filozofii. Doktorat poświęcony matematycznym korzeniom filozofii Alfreda Whiteheada napisał pod kierunkiem Józefa Życińskiego w 1997 r., habilitował się sześć lat później z filozofii Joachima Metalla. Przez ponad ćwierć wieku pracował na Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II w Krakowie, gdzie m.in. piastował stanowisko dziekana Wydziału Filozoficznego i kierował Katedrą Filozofii Przyrody.

Ks. Janusz potrafił łączyć wiele funkcji i integrować wiele środowisk – także to stworzone przez Michała Hellera i Józefa Życińskiego, z którego wyrosło Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych.

Dla wielu z nas był przyjacielem, towarzyszem wypraw, promotorem, spowiednikiem. Dla wszystkich – jedną z tych osób, z którymi spotkanie zawsze wywoływało uśmiech na twarzy. Na zawsze będziemy wdzięczni za jego pracę, rady, dostępność, życzliwość i dobroć.

ZESPÓŁ CENTRUM KOPERNIKA, TYGODNIKA POWSZECHNEGO
I FUNDACJI TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Odszedł

ks. dr hab. Janusz Mączka SDB

prof. UPJPII, prezes zarządu Fundacji Centrum Kopernika, filozof

Żegnamy Przyjaciela

WYDAWNICTWO COPERNICUS CENTER PRESS

wizualnym wyzwaniem, a odpowiednia ocena tego, czy komórki w preparatach biopsyjnych wyglądają na łagodne czy na złośliwe, wymaga czasochłonnego rozpoznawania w obrazach niezwykle subtelnych różnic. Tu jednak przychodzą na pomoc gołębie, które oglądając preparaty histopatologiczne pochodzące z biopsji tkanki piersi, potrafią poprawnie identyfikować złośliwe zmiany (za co każdorazowo nagradzano je pastylką pokarmu).

Gołębie w ciągu zaledwie kilku godzin nauczyły się odróżniać komórki rakowe od tych nienowotworowych, a po miesiącu ich wspólny wynik osiągnął aż 99 proc. poprawności. Tym samym stały się one równie najlepiej obeznanym w tej materii ekspertom. Gołębie przez długi czas były szkolone, a diagnostycy współpracowali z nimi przy opracowywaniu nowoczesnych narzędzi obrazowania oraz wykorzystywali je do tworzenia analogicznych algorytmów komputerowych. Kiedy ich rolę przejęła sztuczna inteligencja, ptaki, po przysłużeniu się nauce, powróciły do ponownego wydobywania okruszków naszego miejskiego dobrobytu.

Nieproszony gość

Po zlustrowaniu podniebnych przestworzy warto na moment zanurzyć się w wodzie i także tam poszukać nieszablonych zwierzęcych ekscentryczności oraz przedsięwzięć, które mogłyby nas zadziwić. Ot, choćby ogórek morski (*Holothuroidea*) – to kandydat na zwycięzcę każdego konkursu na najdziwniejsze morskie zwyczaje. Wbrew pozorom wyglądem jakoś szczególnie nie przypomina ogórka. Aby dopatrzeć się w jego ciele znajomego kształtu, musielibyśmy poczekać, aż położy się on na morskim dnie pod odpowiednim kątem. W innym przypadku przypomina raczej dziwną, rozgwieżdżoną kreaturę – skrzyżowanie jarmużu z rozgwiazdą. To jednak, rzecz jasna, nie jest jakąś jego wyjątkową cechą.

Ogórek morski to w zasadzie flegmatyczne zwierzę tarzające się po oceanicznym dnie, bo jego życie kręci się wokół wysysania stamtąd wszelkich drobiny. Trochę się jednak zaczyna irytować, gdy ktoś narusza jego przestrzeń osobistą – wówczas ostrzeliwuje natręta własnymi wewnętrznyimi narządami. Ta nietypowa reakcja bez wątpienia zaskakuje drugą stronę. Wydaje się także posunięciem do-

Po miesięcznym treningu gołębie nauczyły się odróżniać na zdjęciach komórki rakowe od nienowotworowych z 99-procentową skutecznością.



FREDERIK / B&W

syć drastycznym. Dla ogórka nic to jednak wyjątkowego – po stosownym czasie spokojnie odbuduje swoją wewnętrzną stratę. A następnie poświęci się dalszej fascynującej eksploracji morskiego dna.

Nie jest to jednak najbardziej osobliwe zjawisko u ogórków. Największym bowiem kuriozum jest to, że oddychają one odbytem. I kiedy raz na jakiś czas biorą głębszy wdech, wówczas rozluźniają zwieracz, wsysają przez niego stosowny „łyk” wody, a następnie specjalne wewnętrzne struktury pobierają z niej cząsteczki tlenu.

Taka nietypowa właściwość ogórka jest obiektem zainteresowania innych morskich stworzeń, które próbują czerpać z niej jakąś korzyść. Przy oddychającym ogórku często kręcą się na przykład ryby perłowe, które poszukują kryjówek przed oceanicznymi zagrożeniami. I kiedy wrota ogórkowego sezamu otwierają się, wówczas wykorzystują one to niczym zaproszenie i... wchodzą do środka. To między innymi właśnie dlatego niektóre ogórki morskie posiadają wokół swojego odbytu koncentrycznie ułożone „zęby”, które mają chronić przed takimi incydentami. I skutecznie odstraszać wszelkich amatorów ogórkowych czeluści.

Skoro mowa o trafianiu do cudzych wnętrza, warto przytoczyć jeszcze jeden nietuzinkowy morski przykład.

Otóż raz pewnego przyrodnicy przyłapali rybę, która... znajdowała się we wnętrzu meduzy. Wciąż żywa i wciąż, na swój sposób, „pływająca”, poprzez kontrolę meduzy kinetyki.

Tę zaskakującą scenkę zidentyfikowano jako próbę znalezienia przez rybę schronienia pod czułkami meduzy – jest to zwyczaj np. młodocianych karąnków (*Caranx ignobilis*). Mogło się zdarzyć tak, że pewna niczego nieświadoma ryba odrobinę zagalopowała się w swoich zapędach i, cóż, wpadła nieco głębiej. Nie trudno się domyślić, że w wyniku takiego obrotu spraw ani ryba, ani meduza raczej nie mogły już kontynuować normalnego żywota. No, chyba że tego typu sytuacja jest wciąż jakąś nieodkrytą symbiozą, która mimo wszystko przynosi obu skazanym na siebie kompanom wymierne korzyści. Wszak w świecie przyrody tak wiele mamy jeszcze do odkrycia.

■ ■ ■

To tylko kilka barwnych przykładów zwierzęcych niesztampowości, dziejących się każdego dnia na naszej pięknej planecie. Stanowią one maleńkie wycinek wszystkich cudów i dziwów, plasując się obok wielu innych kuriozów, ot, chociażby świńskich ządów (*Chaetopterus pugaporcinus*) przemierzających strefę głębinową, much zmuszanych do nekrofilii przez grzyby (*Entomophthora muscae*), kolcogłowów (*Acanthocephala*) cementujących samicom drogi rodne w celu zabezpieczenia swojego ojcostwa, dik-dików (*Madoqua*) regularnie praktykujących „ceremonię defekacji”, żółwi czerwonołecych (*Trachemys scripta elegans*) chlastających się po twarzy czy jeżowców (*Echinoidea*) noszących cylindry i hełmy wikingów.

O tym wszystkim dowiedzieliśmy się w ostatnich latach i mimo że coraz intensywniej badamy otaczający nas świat, nie wydaje się, byśmy szybko mogli przestać się dziwić temu, co jeszcze potrafi przyrządzić matka natura.

© AGNIESZKA DEFUS

Autorka obroniła doktorat z dziedzictwa kulturowego na Politecnico di Milano, obecnie popularyzuje naukę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Niedawno ukazała się jej pierwsza książka „Dlaczego koty boją się ogórków? Czyli czego nie widzą gołym okiem, a widzą to naukowcy”.



Zestaw LEGO Icons – królewski ornitopter Atrydów z filmu „Diuna”

DLA DZIECI DO LAT STU

Dzisiejsi czterdziestolatkowie są pierwszym pokoleniem, które nie wstydzi się ekscytować „dziecinną” popkulturą. To milenialsi odpowiadają za popularność klocków Lego, na nowo odkrywając radość płynącą z tworzenia czegoś z niczego.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

RODZINA JAK Z OBRAZKA. OJCIEC W BIAŁej koszuli, krawacie i kamizelce. Matka: elegancka gospodyni domowa z nienaganną fryzurą. I dzieci – od małego urwisa po wyrosniętego nastolatka. Wszyscy z pasją składają białoczerwone domki. Domki, trzeba przyznać, dość prymitywne, przynajmniej w porównaniu z cudami, które dokładnie z tych samych elementów powstaną siedem dekad później.

Tak wygląda jedna z pierwszych filmowych reklam klocków Lego, stworzona w 1958 r., zaledwie kilka lat po premierze najsłynniejszego systemu plastikowych zabawek na świecie. Przewidywała, że przyszłość tych klocków to nie tylko zabawa przy rodzinnym stole. Sugerowała, że klocki mogą stać się cennym narzędziem dla architektów czy urbanistów. Ale chyba nawet w najśmielszych snach nikt w duńskim koncernie nie marzył o tym, że ich klocek podbije świat. I może zredefiniować „dorosłość”.

Wszystko zaczęło się od Wielkiego Kryzysu

W 1932 r. Ole Kirkowi Chistiansenowi, stolarzowi z duńskiego Billund, w oczy zajaśniało bankructwo. Klienci jego dobrze dotąd prosperującego zakładu, produkującego głównie drabiny i deski do prasowania, po prostu wyparowali. Zdesperowany zwolnił wszystkich pracowników i postanowił przedstawić się z produkcji artykułów gospodarstwa domowego na drewniane zabawki, bo te były po prostu tańsze i łatwiej było znaleźć na nie klientów. Do 1935 r. z trudem postawił firmę na nogi.

Powojenne braki w zaopatrzeniu sprawiły jednak, że produkcja drewnianych zabawek przestała się opłacać. Christiansen kupił więc maszynę do produkcji plastikowych elementów. Brytyjski dystrybutor przy okazji pokazał mu coś, co przy pomocy jego maszyn produkował jeden z jego klientów w Anglii – uniwersalne klocki „Kiddicraft” stworzone przez wynalazcę Hilary’ego Page’a. W swojej oficjalnej historii duński koncern podkreśla, że firma skontaktowała się z Brytyjczykami, żeby spytać, czy mieliby coś przeciwko temu, by w Billund powstała kontynentalna wersja ich systemu. Page miał życzyć Christiansenowi powodzenia. W 1981 r. Lego kupiło od potomków Page’a wszystkie prawa do klocków „Kiddicraft” i znaku towarowego.

W ciągu kilku następnych lat syn założyciela Lego, Godfred Kirk Christiansen, rozwinął proste, kwadratowe klocki w złożony system. I swoistą filozofię. Klocki miały być uniwersalne, odpowiednie dla dziewczynek i chłopców, pozwalające na nieograniczoną, rozwijającą zabawę. Miały być czymś więcej niż zabawkami – tworzywem uwalniającym kreatywność. Korzystając z zaledwie sześciu klocków z ośmioma kołkami każdy, można stworzyć aż 915 103 765 różnych układów. W 1955 r. oficjalnie zadebiutował „Lego System”. Stosowane w nim klocki pasują do zestawów produkowanych niemal 70 lat później.

Pierwsze zestawy pozwalały stworzyć małe miasteczko z kościołem i garażami. Były jednak zdecydowanie prostsze od współczesnych. Gdy dziś na półkach sklepów można znaleźć modele składające się z tysięcy części, największy z pierwszych kompletów – remiza straży pożarnej – liczył ich zaledwie 111. Miasteczko Lego było też kompletnie wyludnione. Pierwsze „minifigurki” zadebiutowały dopiero w 1978 r.

Uniwersalny system klocków okazał się prawdziwym przebojem i biznesowym strzałem w dziesiątkę. Całkowita wymiennosc klocków oznaczała, że każdy obiekt można rozbudowywać niemal w nieskończoność. Dla użytkownika wartość kolekcji Lego wzrasta wraz z jej powiększaniem się, bo im więcej klocków, tym ciekawsze rzeczy można z nich zmontować. Dla firmy to szansa na sprzedaż o wiele większej liczby zestawów. Sukces był tak duży, że firma w 1960 r. ostatecznie porzuciła zabawki z drewna.

Lego jest największym producentem zabawek na świecie

Firma, pozostająca w dalszym ciągu w rękach rodziny Chistiansenów, przynosi około 1,7 miliarda euro dochodu rocznie. Od 1949 r. wyprodukowano ponad 1,1 biliona klocków. To niemal 140 elementów na każdego mieszkańca naszej planety. Łącznie 1,8 mln ton plastiku. O 20 proc. więcej, niż wynosi waga Empire State Building w Nowym Jorku.

Niewiele jednak brakowało, aby historia Lego zakończyła się na początku tego wieku. Pod koniec lat 90. seria złych decyzji biznesowych – od wejścia w branżę odzieżową i biżuterię po drastyczne

uproszczenie oferowanych zestawów klocków – sprawiły, że po raz pierwszy w swojej historii duński koncern stanął na krawędzi upadłości. W 2003 r. firma, przynosząca straty rzędu 170 milionów euro rocznie, musiała zwolnić tysiąc pracowników. Jørgen Vig Knudstorp, dyrektor generalny Lego, nie pozostawiał wątpliwości: „Jesteśmy na pływającej platformie. Kończy nam się gotówka i prawdopodobnie nie przetrwamy”. Wybawienie nadeszło z zupełnie nieoczekiwanej strony.

Lego długo nie wiedziało, co zrobić z dorosłymi fanami swoich klocków. Według Paala Smith-Meyera, byłego dyrektora kreatywnego Lego, kiedy dyrektorzy firmy po raz pierwsi dowiedzieli się, że dorośli kupują duże ilości klocków, pomyśleli, że to „bardzo dziwne”. Firma nie widziała w nich potencjalnego rynku. Przeciwnie, jak stwierdził w rozmowie z „National Geographic” Smith-Meyer, „kierownictwo uważało, że dorośli szkoda marce”.

Oznaczenia na pudełkach, mówiące, że zawartość jest odpowiednia „tylko dla chłopców w wieku od 7 do 12 lat”, miały być sposobem na „odstraszenie” dorosłych. Gdy fani przysyłali do firmy propozycje nowych zestawów, dostawali zazwyczaj lodowatą odpowiedź: „nie przyjmujemy niezamówionych pomysłów”. „Dorośli fani byli często postrzegani jako źródło irytacji”, mówi Jake McKee, dyrektor w latach 2000–2006, który nadzorował firmowy zespół ds. globalnego rozwoju społeczności.

To jednak właśnie dorośli w niewiele ponad dekadę zmienili bankrutującą firmę w globalnego molocha. To dorośli kupowali większość licencjonowanych zestawów inspirowanych hitami takimi jak „Gwiezdne wojny” i „Harry Potter”. To oni stanowili 70 proc. kupujących programowalne, zrobotyzowane zestawy Lego Mindstorms. I to oni stworzyli wielką, globalną społeczność, która prześciga się w tworzeniu zupełnie oryginalnych modeli znanych jako „MOC” – „My Own Creation”. Zamiast oschłego, wyniosłego odrzucenia, dziś Lego szeroko otwiera się na twórców takich modeli. Niektóre z nich stają się także oficjalnymi zestawami (tak stają się np. w przypadku kosmicznej rakiety Saturn V czy modelu Międzynarodowej Stacji Kosmicznej). Inne są – za pośrednictwem →

→ internetowych platform – sprzedawane pasjonatom.

McKee zdawał sobie sprawę, że atrakcyjność i potencjał klocków wykraczają daleko poza zabawę. „Mam nadzieję, że pomogłem ludziom dostrzec, że Lego to kreatywne medium, takie jak ołówki czy akwarele, których można używać do projektowania i tworzyć sztukę”.

To samo zjawisko dotknęło niemal całą branżę

Aż 19 proc. zabawek sprzedawanych dziś w USA kupowanych jest przez dorosłych dla nich samych. Tak zwani „Kidults” każdego roku na klocki, figurki i inne zabawki wydają około 9 miliardów dolarów. I są prawdziwymi zbawcami branży – gdy najmłodszy coraz częściej skupiają się na elektronicznej rozrywce, dorośli odpowiadają za 60 proc. rocznego wzrostu przychodów producentów zabawek.

Motywów jest kilka. Na pewno istotną rolę odgrywa kolekcjonerstwo. Globalny rynek figurek przedstawiających bohaterów filmów czy komiksów jest dziś wart niemal 9 miliardów dolarów rocznie. Same figurki, które kiedyś służyły do zabawy na podłodze, dziś coraz częściej stają się złożonymi i drogimi rzeźbami, które mają efektownie wyglądać. Czasem zresztą nie są w ogóle wyciągane z opakowania.

Najdroższe i najrzadsze zestawy osiągały na aukcjach zawrotne ceny. Wyprodukowana w 1979 r. w zaledwie 30 egzemplarzach figurka przedstawiająca łowcę nagród Boba Fetta z „Gwiezdnych wojen” została 2 lata temu sprzedana za 204 tys. dolarów.

Drugim z fundamentów tego boomu jest głęboka nostalgia. Nie jest zbiegiem okoliczności, że wiele przeznaczonych dla dorosłych serii zabawek nawiązuje do filmów, kreskówek czy seriali z lat 80. Dzisiejsi czterdziestolatkowie byli pierwszym pokoleniem, które wyrosło w świecie przepelnionym licencjonowanymi gadżetami z ich ulubionych filmów. Milenialsi nie wstydzą się też ekscytować „dziecinną” popkulturą. To oni zmienili „Gwiezdne wojny” czy komiksy Marvela w molochy.

„Definicja dorosłości zdecydowanie ewoluowała” – mówił ds. marki w firmie zabawkowej Jazwares. „Kiedyś bycie

Największe, najwyższe, najdroższe



MATERIAŁY PRASOWE LEGO GROUP X3

NAJWIĘKSZY MODEL LEGO NA ŚWIECIE
W 2013 r. grupa czeskich modelarzy zbudowała na zlecenie Lego znany z „Gwiezdnych wojen” myśliwiec X-Wing w skali 1:1. Model, nad którym pracowały 32 osoby, składał się z 5 335 200 klocków i ważył 42 tony. Budowa zajęła 17 tys. roboczogodzin.

NAJWYŻSZY OFICJALNY ZESTAW LEGO

Wieża Eifla z Lego liczy aż 149 cm wysokości i składa się z dokładnie 10 001 części, co czyni ją najwyższym (oficjalnym) zestawem klocków. Z kolei wypuszczony na rynek w 2021 r. Titanic, składający się z 9090 części, ma 135 centymetrów długości. Zawiera także szczegółowy przekrój statku, w tym jego salę balową, kotłownię i basen.



NAJDROŻSZE LEGO

Według specjalizującego się w „ekonomii Lego” serwisu Brick Economy, najdroższym modelem Lego jest pojedyncza figurka. Model Spider-Mana był nagrodą w konkursie dla fanów na konwencie Comic-Con w 2013 r. Kilka miesięcy temu jedna z takich figurek została sprzedana na aukcji za 21 tys. dolarów. Najcenniejszym „klasycznym” zestawem klocków jest pochodzący z 1978 r. średniowieczny zamek. Zafoliowany zestaw jest obecnie wyceniany na około 11 tys. dolarów.



dorostym oznaczało bycie bardzo poważnym członkiem społeczeństwa. Trzeba było to demonstrować intelektualnie, emocjonalnie i na każdy inny sposób. Teraz czujemy się znacznie swobodniej w wyrażaniu naszych pasji w ramach naszej dorosłości”.

Sklepy Lego przypominają sklepy Apple

Nie są aż tak antyseptyczne, ale ich skandynawski wystrój wygląda zdecydowanie „dorośle” niż w przypadku tradycyjnych sklepów zabawkarskich. „Doroślejsze” i bliźniaczo podobne do Apple’owskich bywają też... ceny. Najdroższe zestawy w ofercie polskiego oddziału Lego – „Sokół Millenium” i „AT-AT” z „Gwiezdnych wojen” kosztują 4 tys. złotych. Tylko o sto złotych mniej od zeszłorocznego modelu iPhone’a. Rzecz jasna, ich docelowymi odbiorcami nie są żyjący z kieszonkowego nastolatki, lecz ich wychowani na filmach George’a Lucasa rodzice.

Szczególnie wyraźnie widać to było podczas pandemii. W pierwszym półroczu 2021 r. sprzedaż klocków wzrosła o 43 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim. Pozostający w zamknięciu dorośli – i ich dzieci – odreagowywali stres i izolację za pomocą coraz bardziej wyrafinowanych klocków. W całym roku 2021 zyski netto Lego wzrosły o 140 proc.

Czy oznacza to, że dzisiejsi dorośli zdziecinnieli? Czy też wracając do – lub nigdy nie odchodząc od – zabawek z dzieciństwa zapewniają sobie komfort i stabilność, których brakuje im w targanym kryzysami świecie? Szukają sposobu na wyrażenie swoich pasji i kreatywności, czy odrzucają dorosłość i związane z nią obowiązki? A może po prostu odkrywają na nowo radość płynącą z tworzenia czegoś z niczego? Zmieniania prostych, plastikowych klocków w wieże, zamki i statki kosmiczne.

„Ucząc się budować cokolwiek z prostego materiału, dzieci mogą łączyć kreatywność prawej półkuli mózgu, opowiadanie historii i myślenie projektowe z naukową i logiczną analizą płynącą z lewej półkuli. Dla mnie właśnie to stąd bierze się dusza naszej firmy”, stwierdził Jørgen Vig Knudstorp. A kto powiedział, że mają tym cieszyć się tylko dzieci?

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

ELIZA

Kacka: Rycerze empatii



AUTOBUS 116, ZMIANA TRASY. OBJEŻDZAMY palmę. Dwie starsze z siedzeń tuż przy mnie wgapią się przez okno. Pierwsza rezygnacyjnie: „Polskiego dębu nie mogli zasiać?”. Druga, w kapeluszu słomkowym: „A ja to lubię, jak coś takiego stoi”. Pierwsza: „Pani se żartuje!”. Słomkowa: „Nie. To coś daje”. Pierwsza: „Co?”. Starszy spod sąsiedniego okna: „Przerabiają nas”. Babka z koszem: „Oswajają. A potem patrzysz: co drugi czarny”. Wysocki gość spod okna nie wytrzymał i poszedł w tył autobusu. Starszy w dół, filozoficko: „Skutek palmy?”. Pierwsza: „To jeszcze będzie drzewo podziału”. Słomkowa: „A ja ją lubię. W każdym polskim mieście powinna być taka palma”.

GOWORKA, WIATA TRAMWAJOWA. DOSIADA SIĘ DO MNIE GOŚĆ kiele siedemdziesiątki. Przygląda się przez chwilę. „A to pani?”. „Aha?”. „Pani jest ta zielona?”. „Haha, o książkę panu chodzi?”. „A to książka jest? Ja mało czytam nowości”. Przez chwilę sobie milczymy. On: „Tam było coś o złości”. „Aha. Złości na zielono”. „Właśnie! Bo mówi się »zielony ze złości«”. „Owszem”. Spiał się: „To po co udziwniać?”. „Bo to nie to samo. Osoba, która to powiedziała, zna po prostu kolory uczuć”. „A! Ciekawe. Myślałem, że to popiśnictwo jakieś”. „Hehe, żeby dziwniej było?”. „Ototo”.

SKWER CHORWACKI, SIEDZĘ SOBIE I CZYTAM. PRZY SĄSIEDNIEJ ŁAWCE chłopiec bawi się z buldożkiem. Obserwuje to babcia, zadowolona, podczytująca gazetę. Chłopiec raptem: „Babcia, a ja będę niósł poduszkę”. „O! Ale to dziewczynki noszą...”. „No, bo Magda złamała nogę”. „Ajajaj”. „I mogłem sobie wybrać u księdza, którą wezmę. I wybrałem zieloną. Z kielichem i winogronami”. „Pięknie”. „Ogólnie to jest poduszka Kaśki, ona jest wściekła, bo ta zawsze idzie pierwsza, ale ksiądz powiedział, że chłopiec ma pierwszy wybrać”. „A może ustąpisz koleżance?”. „Nie! Tata powiedział, że ja muszę w procesji być przed dziewczynami, bo jak nie, to wszyscy pomyślą, że jestem ciota”. „Ojciec ci tak powiedział?”. „No, tak z grubsza. Bo wiesz, na Boże Ciało to wszyscy jego koledzy chodzą. I ktoś może mnie zobaczyć”. „Ale ty dla Jezusa idziesz!”. „Babcia, to ty tak myślisz”.

ŁAWKI OPODAŁ PAŁACYKU SZUSTRA. NA BLIŻSZEJ DWIE STARSZKI, NA KOLEJNEJ gość z kijkiem w dłoni. Rzucił psu: „Bierz, Bóg, bierz”. Staruszka na oburzeniu: „Jak pan tak może psa nazywać, to bluźnierstwo!”. Gość w śmiech: „On ma imię po

bogiu Hefajstosie”. „Matkojedyna, a to kto?”. „A taki kowal. Też utyłany”. „No to dlaczego pan tak na niego nie woła?”. „A nie chce mi się wymawiać”. „Można zdrobnić”. „Hefek? Hef?”. „No choćby”. „Eee, bogów się nie zdrabnia”. Starsza nieprzejednanie: „Ale jak pan na niego woła, to wielką literą”. „Że Bóg? No tak”. „Sam pan widzi. Bluźnierstwo!”.

POCIĄG Z KRAKOWA. KILKA SIEDZEŃ DALEJ DZIEWCZYNA Z EKSCYTACJĄ w komórkę. „Słuchaj, Marcin zrobił kaminga!”. Pauza. „Wiem, że ty wiesz, ale on jest z małego miasteczka”. Pauza. „No nie, Aneta, w jego stronach myślą ogólnie, że geje występują tylko w miastach wyżej stu tysięcy, serio”. Pauza. „Chciał powiedzieć, rozumiesz, rodzinie i sąsiadom, bo Jan uważa, że się go wstydzi”. Pauza. „Haha, no właśnie babcia zniosła to najlepiej”. Pauza. „No takie tam, że się będzie za niego modlić, ale ogólnie zero napaści. Za to matka...”. Pauza. „Co? Że ją zabił duchowo”. Pauza. „Tak, i że mógł to chociaż przed nią i przed Bogiem ukryć”. Pauza. „Ojciec? Przyniósł mu kielbasę i kazał zjeść przy rodzinie”. Pauza. „Chyba jakiś test”.

AUTOBUS 503, DWIE W MOIM WIEKU. „NO I ON MI ZARZUCIŁ brak empatii w komentarzu”. „Jej”. „I się zlecieli, rozumiesz, różni ludzie. I zaczęli to podbijać”. „Jego koledzy?”. „Nie tylko. Ja mam dużo znajomych na fejsie. Oni tak generalnie na nic nie reagują, nawet jak zdjęcie profilowe zmieniam. A tym razem normalnie się zlecieli”. „Koszmar”. „Dostał dużo polubień, jak napisał, że współczuje moim ofiarom. I wiesz, patrzę, a tam trzydzieści lajków pod jego komentarzem. A pod moim postem pięć. No i skasowałam mu ten komentarz”. „I świetnie”. „No nie, bo zaczął pisać na priva”. „O!”. „Że jestem potworem, że współczuje moim bliskim. Że ktoś mnie powinien uczyć empatii. W końcu mi wrzucił, że istnienie takich ludzi jak ja to jest ogólnie krzywda. I że zepsucie wyszło mi na twarz”. „Jej, mała, on się chce z tobą umówić”. „Nie myślę”. „No to co?”. „Nie wiem. Jemu chyba rzeczywiście szło o to, że nie można ludzi krytykować”. „No przecież cię skrytykował”. „Ale to ja zaczęłam”. „Co z tego?”. „Podłożyłam się. A wtedy można wszystko, ogólnie”. „Wszystko! Dobrze. Rycerze empatii”. „Zawiesiłam profil na fejsbuku”. „Żartujesz?”. „Pochwalił, że mam minimum refleksji. I że kiedyś może będę człowiekiem”. „Ech, mała...”.

NOC CIEMNA, OBLOT SPACEROWY, WCHODZĘ W PARK. PRZYSIADAM na ławce. Ćma latarni, pływ błędnych, rozproszonych odbić i poblasków w taflę stawu. Jest w co patrzeć. Dwie ławki dalej gość, śpiący na lewym boku, poruszył się: „Problem z lokalem?”. Zrozumiałam, że to do mnie. „E, z życiem”. „Aaa, to każdy ma. Myślałem, że z lokalem”. „Nie. Mam gdzie spać”. „I nie mam gdzie żyć? Hehe”. „No, z grubsza”. Milczymy. „Też miałem problem z życiem. Ale jak zacząłem mieć z lokalem, to zapomniałem o życiu. Polecam. Ale pani pewnie nie umie spać na ławce”. Pomilczeliśmy.

©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

t/
Fundacja
Tygodnika
Powszechnego

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Sprawdź na powszech.net/wspieram

faniMani.pl

UCZELNIA KREATYWNA

Współpraca uczelni z otoczeniem społeczno-gospodarczym jest jednym z filarów, na których opiera się pilotażowy program rozwoju nauki w Polsce pod nazwą Inicjatywa Dokończoności – Uczelnia Badawcza. W gronie dziesięciu uniwersytetów biorących udział w tym projekcie znalazł się również Uniwersytet Jagielloński, który pod szyldem ID.UJ realizuje działania społecznie wartościowe.



MATERIAŁ PRASOWY UJ

Przestrzeń Kreatywnej Współpracy, warsztaty z użyciem gry biznesowej autorstwa Mateusza Lewandowskiego

BUSINESS IDEA CENTER

Akademicki Inkubator Przedsiębiorczości wraz z Centrum Transferu Technologii CITTRU przygotowuje platformę internetową – Business Idea Center, która stawia sobie za cel stworzenie kompendium wiedzy z zakresu przedsiębiorczości. Z jej zasobów będą mogli korzystać studenci, doktoranci i pracownicy naukowcy, wszystkie osoby zainteresowane rozwijaniem swoich kompetencji lub szukające miejsca, w którym mogłyby znaleźć partnerów do współpracy biznesowej.

Platforma pomyślana została jako przestrzeń łącząca świat akademicki ze środowiskiem inwestorów społecznych i gospodarczych, umożliwiającą skuteczny transfer wiedzy i technologii z uczelni do biznesu. Będzie to miejsce oferujące różnorodne narzędzia, które będą łatwo dostępne i pozwolą tworzyć, rozwijać czy porządkować pomysły na start-upy, projekty i innego rodzaju przedsięwzięcia. Na tę bazę wiedzy składać się będą dostępne na portalu szkolenia, kursy e-learningowe, doradztwo i mentoring biznesowy, a także programy akceleryacyjne. Platforma integrować też będzie informacje o wydarzeniach i inicjatywach odbywających się na Uniwersytecie Jagiellońskim, powiązane z edukacją przedsiębiorczości, podnoszeniem kompetencji niezbędnych przy tworzeniu start-upów czy – szerzej – po prostu na rynku pracy.

Portal zostanie udostępniony użytkownikom zewnętrznym, co umożliwi wszelkim interesariuszom biznesowym dostęp do badań, którymi mogą być zainteresowani, i wykorzystanie ich (za zgodą uczelni) we własnej działalności gospodarczej.

Równie istotne jest to, że dzięki platformie użytkownicy ci będą mogli zaprosić do współpracy partnerów akademickich lub zgłosić zapotrzebowanie na przeprowadzenie stosownych badań. Dzięki temu uruchomią się szersze możliwości na uskutecznienie praktycznego wykorzystywania działań naukowych prowadzonych w murach uniwersyteckich. Komercjalizacja wyników badań pozwoli przyczynić się do powstawania różnorodnych spin-offów i spin-outów. Business Idea Center może być miejscem, gdzie biznes inspirowany jest wartościową ideą.

CAMPUS LIVING LAB

Projekt aktywnie wdrażany i rozwijany przez Wydział Zarządzania i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Wydział Geografii i Geologii UJ. Laboratorium innowacji, bo taką funkcję pełni CLL, skupia się przede wszystkim na inicjowaniu i przeprowadzaniu przedsięwzięć, u podstaw których leży wykorzystanie badań użytecznych społecznie. Realizowane projekty odpowiadają na potrzeby konkretnych grup i są skutecznym rozwiązaniem realnych problemów lub wyzwają, z którymi mierzy się społeczeństwo. By wypracowywane innowacje i produkty stanowiły wartościową odpowiedź na kwestie wymagające naprawy lub udoskonalenia, cały proces twórczy oparty

Kampus 600-lecia Odnowienia UJ



MATERIAŁ PRASOWY UJ

został na modelu tzw. poczwórnej helisy. Model ten zakłada, że aby stworzyć użyteczny i skuteczny w działaniu projekt lub produkt, w jego powstanie, już na początkowych etapach, muszą być zaangażowani przedstawiciele czterech sektorów: nauki, biznesu, administracji publicznej i społeczeństwa (często reprezentowanego przez organizacje pozarządowe). Opracowywane wspólnie rozwiązania umożliwią wytwarzanie usług i produktów podnoszących jakość życia konkretnych grup czy osób. Campus Living Lab nie ogranicza się w swoich działaniach tylko do zakresu innowacji społecznych i biznesowych, ale podejmuje również wyzwania z obszaru dotyczącego kwestii ekologicznych. Obecnie realizowane projekty dotyczą choćby testowania rozwiązań z zakresu retencji tzw. szarej wody (pomogą w opracowaniu nowych ekologicznych podłoży) czy zaprojektowania aplikacji webowej dotyczącej koszenia trawy z zachowaniem zasad bioróżnorodności. Bardzo ważne w podejmowanych projektach są kwestie zapewnienia przestrzennej i cyfrowej dostępności, szczególnie dla grup wrażliwych i zagrożonych wykluczeniem. Przykładem tego może być choćby „Włacznik” – projekt inkluzywnej zewnętrznej przestrzeni relaksu skierowany do różnych grup, również defaworyzowanych czy z niepełnosprawnościami. W myśl podobnej zasady realizowany jest projekt „Neuroróżnorodność w Kampusie 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego: rozwój przestrzeni akademickiej sprzyjający inkluzywności”.

Regularne spotkania z lokalnymi mieszkańcami, testowanie prototypów w przestrzeni kampusu UJ, a także warsztaty i szkolenia z obszaru metod kokreacji pozwalają w pełni rozwijać potencjał współpracy akademii z otoczeniem społeczno-gospodarczym.

PRZESTRZENIE KREATYWNEJ WSPÓŁPRACY

Zostały one pomyślane jako miejsce, w którym mogą powstawać i być realizowane różnorodne pomysły, inicjatywy i projekty, bazujące na doświadczeniu środowiska akademickiego Uniwersytetu Jagiellońskiego z partnerami społecznymi, gospodarczymi i publicznymi. Realizowane działania, oparte na czterech filarach Programu Strategicznego Inicjatywa Doskonałości Uniwersytetu Jagiellońskiego, czyli: innowacji, integracji, interdyscyplinarności oraz internacjonalizacji, umożliwiają stały rozwój uniwersytetu i jego otwieranie się na współpracę z partnerami zewnętrznymi. Warto podkreślić, że kooperacja ta nie jest rodzajem projektu, który zaplanowano jako „produkt” z określonym terminem realizacji, ale ma ambicję być stałą jakością uniwersytecką, nastawioną na długofalowe działania.

Przez ponad rok funkcjonowania Przestrzeni Kreatywnej Współpracy realizowano działania z różnorodnych obszarów. Zaliczają się do nich m.in. warsztaty kreatywne dla młodych adeptów metody *design sprint*, warsztaty przeprowadzone we współpracy z Małopolskim Instytutem Kultury, certyfikowany kurs moderatora *design thinking*, semestratony, Kreatywne Poranki czy Demo Day Innowacji Społecznych. Wspólnym mianownikiem przeprowadzonych wydarzeń jest opracowywanie jak najskuteczniejszych rozwiązań problemów i odpowiedzi na wyzwania, przed



MATERIAŁY PRASOWE UJ

Przestrzeń Kreatywnej Współpracy, sala Wydziału Zarządzania i Komunikacji Społecznej UJ

którymi stoi społeczeństwo. I tak w ramach semestratony pracowano nad rozwijaniem projektów i metodyki, których celem było skuteczniejsze osiąganie celów zrównoważonego rozwoju, wskazanych przez ONZ. Powstało 13 interdyscyplinarnych, międzywydziałowych zespołów, które działały pod kierunkiem moderatorów procesów kreatywnych, a efekty ich starań, czyli kilkanaście projektów innowacji, zaprezentowano podczas współorganizowanego z Centrum Transferu Technologii CITTRU Demo Day Innowacji Społecznych.

PKW to również miejsce, które ma ambicję, by stawać się bazą wiedzy. Na stronie projektu znaleźć można narzędzia, które pozwolą skutecznie przygotować się do przeprowadzenia prezentacji pitch deck czy prezentacji inwestorskiej. Kreatywność skutecznie pobudzana jest dzięki zabawie, a tę metodę wspianiale wykorzystują karty Witflow (autorstwa Igi Mościchowskiej) do planowania warsztatów projektowych i produktowych.

Przestrzeń również na poziomie architektonicznym zachęcają do współpracy kreatywnej. Stoły o heksagonalnym kształcie, parawany, miejsce do odpoczynku i mnóstwo powierzchni do pisania, wyklejania i malowania. PKW stworzono, by dawać narzędzia – metody do inicjowania pomysłów i przeprowadzania przez twórcze procesy. ©

Więcej informacji o programie Inicjatywa Doskonałości – Uniwersytet Jagielloński na stronie id.uj.edu.pl



business
idea
center



PRZESTRZEŃ KREATYWNEJ WSPÓŁPRACY

ŚLĄSK Z DOSTĘPEM DO MORZA

SZCZEPAN TWARDOCH, PISARZ:

Dziadek nauczył mnie śląskości. Cechy charakteru powszechnie uznawane dziś, pewnie słusznie, za toksyczne – też mam po nim... Szorstkość, skrytość.

MONIKA OCHĘDOWSKA: Jest Pan w biegu.

SZCZEPAN TWARDOCH: Na finiszu półrocznych przygotowań do dużej wyprawy. Za dziesięć dni lecimy z synem na Islandię. Z Reykjavíku będziemy płynąć trzy tygodnie na Grenlandię do Quaqqortoq, a potem Nuuk, w południowo-zachodniej części wyspy.

Czym płyniecie?

Mamy wycarterowany porządny, wyprawowy, dwudziestometrowy jacht Challenge 67 i dwunastoosobową załogę. Skipperem jest mój stary kolega, z którym znamy się jeszcze z liceum. Ja i drugi kolega jesteśmy z kolei co-skipperami, czyli – wedle polskiego, dosyć śmiesznego określenia jak na ten rodzaj przedsięwzięcia – oficerami wachtowymi. Jacht płynie przez całe Przejście Północno-Zachodnie, czyli drogę łączącą Ocean Atlantycki ze Spokojnym. Półtora tysiąca kilometrów cieśnin wewnątrz Archipelagu Arktycznego.

My towarzyszymy mu co prawda tylko na etapie do Nuuk, ale przygotowanie wyprawy spoczywa na nas, zresztą, to mi się właśnie w tym wszystkim najbardziej podoba. Moglibyśmy przecież wycarterować sobie łódkę w Chorwacji i po dwóch godzinach żeglowania stawać na kotwicy w jakiejś miłej, ciepłej zatoczce, gdzie woda ma 27 albo 28 stopni, a w konobie na brzegu jest

pyszne jedzenie i dobre wino. Tymczasem będziemy się tłuc po północnym Atlantyku.

Spędziłam dwa tygodnie podróżując po Islandii z namiotem. Najważniejszym wydarzeniem dnia było zagotowanie wrzółki – czuwanie przy ogniu. Kiedy wiało, zajmowało to co najmniej kwadrans.

Musi pani zainwestować w jetboila! Najlepsza kuchenka, woda gotuje się błyskawicznie: dwie, trzy minuty. Ale tak, ma pani rację, z podobnych pobudek od prawie dwudziestu lat wracam na Spitsbergen, na tej wyspie zakochałem się w Arktyce. A połączenie żeglarstwa i Arktyki to jest już w ogóle mój *sweet spot*. Sama myśl, że za chwilę znowu będziemy się przepychać przez pola lodowe i kluczyć między krami, jest ekscytująca.

Skąd ta tęsknota za morzem?

Nie mam pojęcia. Czuję ją, chociaż jej nie rozumiem. Ale rzeczy, które czuję, a których nie rozumiem, są dla mnie zawsze wdzięcznym tematem pracy literackiej.

Gdzieś to się wszystko zaczęło.

Pierwszą samodzielnie przeczytaną przez Josepha Conrada książką byli ponoć „Pracownicy morza” Victora Hugo.

Uczyłem się żeglować na tym samym Zalewie Rybnickim, po którym pływa bohater mojej najnowszej książki, Erwin Piontek. Patent żeglarza jachtowego zrobiłem jako czternastolatek. Tak, bardzo ważne były lektury z tamtego okresu: książki o żeglarstwie i żeglarzach, powieści Conrada, ale też „Samotny rejs Opty” Leonida Teligi. Te zapiski Teligi czytałem wielokrotnie, studiowałem też wszystkie jego ilustracje, mapy i plany.

I jako dwudziestolatek pierwszy raz wypłynąłem w morze – długi rejs po Bałtyku, strasznie ciężki, sztormy mnie wyczerpały, rzygałem jak kot. Ale wtedy zobaczyłem morze. Prawdziwe morze, kiedy nie widać brzegu.

I co Pan poczuł?



SZCZEPAN TWARDOCH

jest autorem wielu bestsellerowych powieści. Uhonorowany prestiżowymi nagrodami, m.in. Nagrodą im. Kościelskich, Nagrodą im. Kazimierza Kutza, Paszportem „Polityki”, Brücke Berlin-Preis, Nagrodą Czytelników Nike.

Właśnie ukazała się jego najnowsza książka „Powiedzmy, że Piontek”, z której można wyczytać, że – jak zauważył kiedyś pewien specjalista od twórczości Josepha Conrada – swoboda dalekiego horyzontu to nie tylko obietnica przygód, ale także wyzwolenie od jednej historii nadającej życiu sens.



JACEK POREMBA DLA WYDAWNICTWA LITERACKIEGO



MATHIAS BERLIN / SHUTTERSTOCK

Zatoka Disko u zachodnich wybrzeży Grenlandii.

→ Kiedy jest się na środku stalowego morza pod stalowym niebem i buduje się fala, to jest w tym wzniosłość, *sublime* w najdoskonalszej formie, jak z obrazów Caspara Davida Friedricha albo poematów Heinricha Heinego.

Morze to piękny potwór.

Morze jest figurą absolutu. Miejscem, w którym uświadamiamy sobie, jak człowiek jest zanurzony w świecie, jak jest w ten świat wrzucony i jak on się nad nim, pod nim i wokół niego rozpościera.

Tak, nie ma co udawać – cała ta romantyzująca otoczka związana z żeglarstwem ma dla mnie wielkie znaczenie. Można właściwie powiedzieć, że ciągle jestem tym samym chłopcem, który trzydzieści lat temu studiował „Samotny rejs Opty”.

Nietzsche, rówieśnik Conrada, pisał tak: „Przyjdą godziny, kiedy poznasz, że ocean jest nieskończony i że nie ma nic straszniejszego nad nieskończoność”. A z drugiej strony: „Aby wyciągnąć najwięcej rozkoszy z istnienia, trzeba żyć niebezpiecznie, oto cały sekret! Ślijcie statki na niezbadane morza!”.

Mnie arktyczny krajobraz i arktyczna przyroda zawsze dotykają w najczulsze miejsca. Czasem rzeczywiście staję jak

porażony ich pięknem i ogromem, albo inaczej – ogromem piękna. Natomiast sama wyprawa jest męcząca i żmudna, choć bez tego wysiłku nie miałyby wartości.

Wyobrażam sobie, że podczas rejsu przychodzi moment, kiedy w tej stalowej pustce zaczyna się dostrzegać rzeczy, których nie ma.

Zacznijmy od tego, że podczas rejsu sen jest bardzo rzadkim dobrem. Nieczęsto zdarza się położyć i przespać całe osiem godzin, jak na lądzie. Człowiek funkcjonuje w trzy-, czterogodzinny rytmie „wacht, brak wacht”, nie w rytmie dnia i nocy. Śpi się wtedy, kiedy nie ma wacht, niezależnie od tego, czy na horyzoncie akurat są widoki, płyną delfiny, wieloryby albo coś jeszcze.

Jak się jest długo w takiej otwartej przestrzeni poza zasięgiem lądu, to rzeczywiście czegoś się w tej pustce szuka, czegoś się wygląda. Każde spotkanie jest wydarzeniem, nawet jak się widzi inny statek, czyli kropeczkę na horyzoncie albo na wyświetlaczu ICE-u. A jak się jeszcze uda z kimś przez radio pogadać, zamienić kilka uwag, to się to nawet notuje w dzienniku pokładowym, bo obok miejsca na zapisanie pozycji geograficznej, kursu, prędkości, stanu morza i wiatru,

w dzienniku pokładowym jest też mała rubryczka „inne”.

Jednym z bohaterów Pana nowej książki jest ktoś, kto bardzo tęskni za morzem.

Jest to postać fikcyjna.

Szczepan Twardoch też jest już postacią fikcyjną. Nie tylko dlatego, że ostatnio pojawia się w książkach Szczepana Twardocha.

Bardzo wielu ludzi, którzy mnie nigdy w życiu nie spotkali, ma bardzo starannie wyrobione zdanie na mój temat. To zdanie zawsze dotyczy postaci fikcyjnej, nie prawdziwego mnie. Jak się przyjmuje rolę osoby publicznej, zwykle zakłada się maskę. Chyba tylko wielcy artyści i szaleńcy obnażają się całkowicie.

Zawsze można to potem obrócić w performance.

Prawda? Nigdy nie wiadomo, czy zrywając maskę zobaczymy prawdziwą twarz, czy kolejną maskę. Może się okazać, że tej prawdziwej twarzy już nie ma.

Staram się, żeby maska, którą przyjmuję jako osoba publiczna, dość ściśle przylegała do mojej twarzy. Zresztą nie uważam, że pisarz powinien być dla samego siebie tematem. Właściwie

to chciałem właśnie powiedzieć, że nigdy nie będę centralną postacią swojej powieści, ale wolę nie wygłaszać takich kategoriycznych sądów, więc powiedzmy tak: wolałbym nigdy nie napisać książki o sobie samym w roli głównej.

A najnowsza książka? W niej stał się Pan tematem dla samego siebie.

Powiedzmy, że jacht, którym Erwin Piontek płynie w trzeciej części powieści, jest całkiem podobny do jachtu, którym Szczepan Twardoch będzie płynął z Reykjavíku do Nuuk. Ale nie jestem centralną postacią tej książki. Miejsca, w których się pojawia, to są takie małe *cameo* funkcjonujące na tej samej zasadzie, jak epizody w serialu „Król”, kiedy to pojawia się w kadrze w roli kierownika sali.

Ale interesuje Pana, co to znaczy być postacią fikcyjną. Nad tym między innymi zastanawia się Pan w „Piontku”.

Postać literacka istnieje w akcie lektury i w akcie wspominania książki przez poszczególnych czytelników, ponieważ po przeczytaniu zostaje w naszej pamięci. Oczywiście dla każdego czytelnika to wspomnienie będzie inne, dlatego też postaci literackie są intersubiektywne. W tym sensie istnienie bohaterów książki niewiele się różni od istnienia postaci historycznych, takich jak Juliusz Cezar albo Joanna d’Arc. Czy zatem możemy powiedzieć, że postaci fikcyjne są realne? Dla mnie postaci literackie obsługuje dokładnie ta sama część mózgu, która obsługuje prawdziwych ludzi. A najlepsza lektura to taka, przy której zapominam, że czytam.

Ja w ogóle bardzo wierzę w powieść jako zdobycz naszej cywilizacji. Zupełnie poważnie mogę powiedzieć, że powieść jest triumfem ludzkiej myśli i człowieczeństwa, takim jak gotycka katedra albo fizyka kwantowa. Dlatego warto patrzeć, jak i z czego jest zbudowana, na czym opierają się jej elementy i tak dalej.

A sam Piontek?

Pierwsza odsłona czy pierwsza tożsamość Erwina Piontka jest jakimś obrazem mężczyzny pewnego pokolenia, których w mojej rodzinie było wielu – miałem z pięciu takich wujków jak Erwin. Oni wszyscy byli właśnie tacy, więc Piontek jest bardzo prawdziwy i w tym sen-

Twardoch o Śląsku

■ BALLADA O PEWNEJ PANIENCE, 2017



Gerd odbiera. Rozmawiają. Pytjer kończy rozmowę, strząsa z siebie śląski akcent i cały śląski język, wraca cały do polszczyzny, nawet

ze sprzedawczynią w sklepie mówi po polsku, tylko do ojca po staremu, bo nie ma odwagi odezwać się do niego językiem, którego nauczył się w szkole.

■ WIELKIE KSIĘSTWO GROTESKI, 2021



Polski mainstream zawsze ustawiał będzie Ślązaków w roli warunkowych Polaków gorszego rodzaju, którzy powinni do polskości aspirować i o niej marzyć.

Ze swojej polszczyzny zeszlifować nawet ślad akcentu, o swoim pochodzeniu myśleć po cichu i ze wstydem.

■ BYK, 2022



Może właśnie tak zrobisz ze mnie Ślązaka, ucząc mnie tej ksenofobii. I zażartości.

I surowości. I gniewu płonącego do środka. (...) Może tylko w ten

sposób da się być Ślązakiem, wypełniając się tą tchórzliwą nienawiścią do Polaków. (...) I po co mi to było, kurwa, całe życie udowadniania, że nie jestem małpą, że w ogóle jestem godzien miana człowieka, że nie jestem jakimś gnomem z kopalni, ładnie mówię po polsku...

sie rzeczywiście jest moim krewnym. Podobnie, kiedy pojawiają się w tej powieści mój dziadek i moja babcia, to oni też są prawdziwi, choć fikcyjni, są moimi krewnymi. Ale czemu się pojawiają? Nie wiem.

Conrad w przedmowie do „Lorda Jima” pisze o swoim bohaterze tak:

„Ujrzałem raz słonecznym rankiem, jak szedł wśród zwykłego otoczenia wschodniej przystani – wzruszający, wymowny, tajemniczy... i niemy.

Takim właśnie powinien być mi się wydać. A do mnie już należało – z całym współczuciem, do jakiego byłem zdolny – znaleźć odpowiednie słowa dla wyrażenia jego istoty”.

Dziadek zmarł cztery lata temu. Jego dobra śmierć jest dla mnie bardzo ważna. Dziadek umarł mając sto lat – we własnym łóżku, otoczony rodziną. Sam myłem jego ciało, sam go ubierałem. Był przy tym mój starszy syn, młodszy przyjechał troszkę później. Ale obaj byli przy tej śmierci, przy wszystkim... To było dla mnie ważne i jakoś cieszyłem się, że moi synowie też mogli to przeżyć. Że mogliśmy razem dotknąć śmierci, która nie jest wyrzucona poza nawias, do fabryki umierania.

Bardzo mi przeszkadza świat, w którym udajemy, że śmierci nie ma, w którym nie chcemy jej oglądać z bliska. Więc tak sobie myślę teraz, że skoro już trzeba umrzeć, to chciałbym też umrzeć w taki sposób, jak mój dziadek. Ten człowiek miał, pod wieloma względami, bardzo duży na mnie wpływ.

Na przykład?

Był nienawidzącym Polaków i nielubiącym Niemców śląskim nacjonalistą. Cała śląskość, która jest i już pewnie zawsze będzie moim tematem, jest właśnie od niego. Dziadek nauczył mnie śląskości.

Cechy charakteru powszechnie uznawane dziś, pewnie słusznie, za toksyczne – też mam po nim... Szorstkość, skrytość. Ze zbioru takich cech, które mój dziadek niósł w sobie, czasem wyrastają tyrani albo oprawcy i dziadek rzeczywiście był trochę tyranem, ale najbardziej okrutny był wobec samego siebie. Wyśrubowane wymagania, jakie miał wobec ludzi, także swoich bliskich, były pochodną tego, że najwięcej wymagał od samego siebie. I wobec siebie był też niezwykle surowy.

Najwięcej dziadka jest w „Byku”. Główny bohater dramatu, Robert Mamok, to jest po prostu mój dziadek, zresztą jego postać ciągle do mnie wraca.

W moim gabinecie wisi właśnie portret dziadka. Pełni tam rolę dyscypliny, krzyczy ze ścian: „bierz się do roboty, synek!”.

Kibicuje, ale nie komplementuje.



→ On taki był po prostu, że jak się z nim coś robiło, to raczej nie można było liczyć na pochwałę. I rzeczywiście, jak pisać w „Piontku”, jeśli się z moim dziadkiem umawiało na 17.00, to on o 16.45 stał przed domem wściekły, że mnie nie ma. Albo jak przyjeżdżałem do niego zrzucić węgiel, to jak się umawialiśmy na 8.00, wiedziałem, że jeśli nie dotrę na 7.00 rano, to o 8.00 połowa już będzie zrzuczona. Taki to był typ człowieka. Praca była dla niego święta, była najważniejszą rzeczą, jaką człowiek powinien robić.

I ten mój „Piontek” też jest taki, aczkolwiek dziadek na emeryturze był od niego z pewnością szczęśliwszy – mógł się oddać pracy przy pszczołach.

W moim gabinecie wisi portret dziadka.

Pełni tam rolę dyscyplinującą, krzyczy ze ściany: „bierz się do roboty, synek!”.

Miał pasiekę?

Tak, pszczoły to była jego jedyna prawdziwa pasja. Tylko że nawet ta pasja była czymś, co oczywiście musiało przynosić pożytek. Za to jego dom zawsze pachniał woskiem, miodem... Ciągle mam problem, żeby kupić miód w sklepie, nigdy tego nie robiliśmy – był miód od dziadka w czterech różnych gatunkach, słojach, rocznikach. Kiedy kupuję miód w sklepie, to czuję się trochę... Co to może być za miód, ten ze sklepu? No, ale dziadka już nie ma, pasieki też.

Podobnego do Pańskiego dziadka Erwina Piontka musiała zatem dużo kosztować decyzja zrobienia czegoś, co wydaje się zupełnie niepraktyczne – zostawienia swojego codziennego życia, żeby wyruszyć na „niezbadane morza”.

W tym marzeniu o morzu, którego Erwin nie może zrealizować, bo jest za stary, Piontek jest chyba trochę mną...

...a trochę każdym Ślązakiem.

Opowiem od początku. W latach 70. XIX w. powstała w Drugiej Rzeszy

tzew. Kaiserliche Marine, czyli marynarka wojenna Cesarstwa Niemieckiego. Grossadmiral Alfred von Tirpitz – uważany dziś za twórcę niemieckiej floty dalekomorskiej – wpadł na pomysł, że stworzy marynarkę wojenną, która będzie równie silna, co brytyjska, nie biorąc pod uwagę zasad obowiązujących w polityce międzynarodowej. Otóż wedle tych zasad strony powinny dążyć do równowagi sił. Jeśli Rzesza zaczęła budować marynarkę wojenną, żeby dogonić brytyjską, to brytyjska nie stała w miejscu. W efekcie doprowadziło to wszystko do wybuchu I wojny światowej.

Ale to już zupełnie inna historia.

Tak, wróćmy do momentu, gdy budowano tę cesarską marynarkę. Otóż potrzeba jej było kadr, a niezwykle trudno jest zrobić marynarza z – powiedzmy – rolnika, który całe życie zajmował się zwierzętami. Tirpitz poszukiwał ludzi reprezentujących pewną kulturę techniczną, dlatego to górnictwo i przemysł stały się kuźnią kadr Kaiserliche Marine, a wielu Ślązaków trafiło do marynarki wojennej.

I stąd tęsknota?

To jest oczywiście romantyczne uzasadnienie śląskiej tęsknoty za morzem, natomiast to, co jest autentyczne i co ma rzeczywisty wymiar historyczny, to fakt, że mniej więcej od lat 60. zeszłego wieku każda śląska kopalnia miała swoje domy czasowe na Mazurach i nad morzem. A na samym Śląsku powstało wiele klubów żeglarskich, bo żeglarstwo w PRL-u, skądinąd słusznie, chciano uczynić sportem masowym. Kiedy ja się uczyłem żeglować na początku lat 90., były jeszcze tamte kluby żeglarskie, byli instruktorzy i działała cała infrastruktura, a na Rybniku stały omegi. To jest ta mniej romantyczna wersja naszej śląskiej tęsknoty za morzem, choć może prawdziwsza?

Powiedzmy.

©® Rozmawiała
MONIKA OCHĘDOWSKA



Szczepan Twardoch
POWIEDZMY, ŻE PIONTEK
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2024

Życie przed sobą

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Wydając 60 lat temu swój debiutancki singiel, Marianne Faithfull rozpoczęła serię upadków. Opanowała jednak sztukę powstawania z martwych. I praktykuje ją od dekad.

CÓRKA WIEDEŃSKIEJ BARONESSY EVY von Sacher-Masoch, pełnej artystowskich ambicji potomkini słynnego Leopolda (od którego nazwiska ukuto termin „masochizm”), oraz Roberta Glynna Faithfulla, brytyjskiego szpiega i bonwiiwanta. Wnuczka Theodore’a Jamesa Faithfulla, wynalazcy „maszyny na oziębłość”, która miała uwolnić pierwotne libido u pacjentów, i prowadzącego szkołę dla trudnej młodzieży, gdzie zalecał nagość personelowi i uczniom obu płci podczas części zajęć.

Taki rodowód gwarantował, że z urodzonej pod koniec 1946 r. Marianne Evelyn Gabriel Faithfull wyrośnie istota na wskroś odmienna od tego, co przywykliśmy uznawać za normalność.

Ostatni upadek

W lutym 2020 r. Faithfull poleciała do Paryża, by spotkać się z aktorką Lucy Boynton, która miała ją zagrać w sztuce opartej na pierwszej autobiografii, wydanej w 1994 r. (14 lat później wydała drugą, znacznie pogodniejszą). Wkrótce po powrocie do Londynu wylądowała w szpitalu pod respiratorem. Było tak źle, że lekarka zapisała w karcie: „Tylko opieka paliatywna”. Ale Faithfull w tym czasie nagrywała swój głos na płytę, o jakiej marzyła od młodości – deklamowała na niej wiersze XIX-wiecznych poetów angielskich na tle zwiewnej muzyki autorstwa Warrena Ellisa (stałego partnera muzycznego Nicka Cave’a).



BETTMANN / GETTY IMAGES

Marianne Faithfull w 1967 r.

Nie tylko o dalszym nagrywaniu nie było mowy, ale i o normalnym życiu. Na wydanej ostatecznie w 2021 r. płycie „She Walks in Beauty” słychać, że głębokie frazy wypowiada tam głos na krawędzi załamania oddechu. A mimo to jest w nim siła inna od fizycznej – siła prawdy i tytułowego piękna. Zaprawdę, idzie w piękności.

Jakże inny jest ten głos od tego, który sześć dekad temu zachwycił w napisanej przez Micka Jaggera i Keitha Richardsa (z niewielką pomocą Andrew Looga Oldhama, managera Rolling Stonesów) piosence „As Tears Go By”.

Upadek pierwszy – przyjęcie

Wychowywana przez niefrasobliwą matkę Marianne została posłana do katolickiej szkoły w podlondyńskim Reading. Ojciec, mający nową rodzinę, sprzeciwiał się temu, uważając, że placówka skrzywi w dziewczynce podejście do sfery seksu.

Trudno oceniać, czy stąd wzięła się późniejsza dezynwoltura erotyczna Marianne, niemniej co najmniej jeden aspekt edukacji wywarł na nią wpływ dobroczynny i długotrwały – pani Simpson, ucząca literatury angielskiej, zaszczerpiła w dziewczynie uwielbienie dla poezji. „She Walks in Beauty” to wprost pokłosie tamtych lekcji.

Wtedy chciała, by ktoś opatrzył wiersze muzyką do zaśpiewania. Stawiała już pierwsze kroki w lokalnych klubach folkowych, co przełożona szkoły uznała za zły znak: „Zanim się obejrzymy, zaczniesz palić papierosy!”. Mocno spóźnione obawy... Podczas wypadów do londyńskich klubów poznała przyszłego męża, współprowadzącego galerię „Indica” Johna Dunbara. I to właśnie z bardzo ustosunkowanym w swingującym Londynie Dunbarem pojawiła się pewnego wieczoru na imprezie wydanej przez Oldhama. Jak sam manager

później wspominał, ujrzał „aniola blond z dużymi cycami”, podszedł i spytał Dunbara: „A ona umie śpiewać?”. „Nie wiem, ale ogólnie jest fajna” – odparł tamten. To rozmowa, symptomatyczna dla ówczesnego obyczaju w branży muzycznej, gdzie kobiety nie miały niemal żadnej podmiotowości – toczyła się w jej obecności.

Piosenka „As Tears Go By” to nietypowy wybór jak na debiut 17-latk. O cztery lata starszy Jagger napisał tekst z perspektywy kogoś mocno już dojrzałego, gorzko rozpamiętującego nieubłagany upływ czasu. Ale Faithfull nie miała żadnego wpływu na swój repertuar. Była piękną, nieopierzoną dziewczyną, której warunki zewnętrzne – połączenie zmysłowości z niewinnością – wykluczały u postronnych jakiejkolwiek zainteresowanie tym, co mogło kryć się wewnątrz. Przez frontowe drzwi wepchnięto ją do świata rekinów show businessu. Została porzucona na ich pastwę i jej własnych, podsycanych przez matkę, marzeń o gwiazdorstwie.

Upadek drugi – londyńska para

Faithfull wprawdzie urodziła Nicholas, syna Dunbara, ale szybko wessał ją kolorowy, frenetyczny świat londyńskiego środowiska rockowego i niebawem wyładowała w kolejnych łóżkach. Prawie-platoniczny romans z Brianem Jonesem i jedenocny, intensywny z Keithem Richardsem to preludium, które wiodło w ramiona Micka Jaggera.

Rozpoczęty w 1966 r. związek jest nieustannie przywoływany jako punkt odniesienia w jej życiu i karierze. To jedna z największych krzywd, jakie los wyrządził przyszłej diwie. Choć owe pięć burzliwych lat, jakie Marianne spędziła z Mickiem (bez ścisłego przestrzegania wierności przez obie strony), w decydującej mierze przyczyniło się do jej najbardziej spektakularnego upadku, nieustanne definiowanie Faithfull jako „byłej dziewczyny wokalisty Stonesów” i przywoływanie wciąż tych samych ekscesów, które rozgrzały swego czasu prasę, to sprowadzanie wszystkiego, co się w jej życiu wydarzyło, do bycia maskotką.

Sama Faithfull zwraca od lat uwagę, że szufladkowanie kobiet jako muzycznych artystów jest niemal jak wyrok mafijny. „Czy słyszano kiedyś o męskiej



BURAK CINGI / GETTY IMAGES

Podczas koncertu w Londynie. 2 lutego 2016 r.

⇒ muzie artystki?” – pyta retorycznie. Ale świat wiedział lepiej. Zapamiętał ją – w najlepszym razie – jako tę, o której Jagger śpiewał w „You Can’t Always Get What You Want”, czy w „Wild Horses”, i tę, która dała mu do przeczytania „Mistrza i Małgorzatę” Bułhakowa, co zaowocowało utworem „Sympathy for the Devil”. A w najgorszym – jako antybohaterkę skandali narkotykowych i domniemych orgii, wspaniale zapowiadającą się piosenkarkę, która w wieku 20 lat przestała nagrywać, zaniedbywała syna i pogrążała się we mgle otumanienia prochami, heroiną i alkoholem. W 1968 r. poroniła. W kolejnym tak się zbombardowała substancjami chemicznymi, że wylądowała w szpitalu w Sydney w stanie przedagonalnym.

Była wtedy Pierwszą Damą rock’n’rolla – czyli maskotką. Opleciona towarzyszącą siecią rozbuchanego Londynu, siedemnastolatka nie miała szans zadbać o strategiczną, podmiotową pozycję. Zanim się zaczęła, już się kończyła. W niedojrzałej głowie zaległy się demony zwodniczych

pokus i powszechnie dostępnych używek. Nawet biznesowo myślący Jagger nie zorientował się od razu, że jego dziewczyna się stacza. A gdy to dostrzegł, było za późno. Ostatnie dwa lata związku przestoczyły się w czczą szarpaninę.

Czemu nikt nie chciał jej pomóc? Bo podobała się właśnie taka – dekadenccka, szalona, nieobliczalna, dokonująca efektownego samobójstwa w świetle jupiterów. O takiej Faithfull łatwo było z przejściem opowiadać, pisać, pamiętać. Stała się niewolnicą wizerunku – zrazu narzuconego, a potem wybranego w autodestrukcyjnej pogoni za wyczytanym u Williama Burroughsa wzorcem ćpuna. Sama wmawiała sobie i innym, że zatrącenie narkotyczne to ekstremalna postać piękna.

Dopiero gdy zaliczyła dno, przestała być ciekawa. Zniknęła z radarów.

Upadek w ruiny

Zanim do tego doszło, w 1969 roku napisała piosenkę – wspólnie z Jaggerem, ale bez cienia wątpliwości z jej wnętrza pły-

nącą – „Sister Morphine”, świadectwo pogrążania się w piekielnym mroku. Utwór trafił na stronę B jej singla, który niemal natychmiast został wycofany. Dwa lata później nagrali go Rolling Stones, usuwając jej nazwisko jako autorki tekstu, by nie prowokować kłopotliwych dociekań, taniemy zaś wstrzymali, by autorka nie wydała wszystkiego na heroinę. Tak przynajmniej twierdzili. Dopiero kilkanaście lat później w sądzie Marianne wywalczyła, by „Faithfull” widniało obok „Jagger – Richards”.

Po odejściu od Jaggera upadła na amen. Tracąc prawo opieki nad synem i resztki oparcia w osobach Stonesów, wybrała drogę ku samozagładzie. Przyjmowała wszystko, co monopolowy, apteka i uliczni dilerzy dawali. Zamieszkała w powojennych ruinach w Soho. Oficjalnie otrzymywała kontrolowane ilości narkotyków na receptę, stojąc po nią często w tej samej kolejce, co równie mocno szorujący wówczas po dnie Eric Clapton. Głos siadał jej jeszcze bardziej, co słysząc na dostępnym w sieci nagraniu z wy-

stępu obok Davida Bowie'ego z 1973 r., gdzie wspólnie wykonują „I Got You Babe”. Ale to nadal nie była TA Marianne Faithfull. Musiała zejść jeszcze niżej.

Bezdomność, pochłanianie szkodliwych substancji wszystkimi możliwymi drogami i żarłoczne palenie w końcu uczyniły swoje. Dwie nagrane w tych latach płyty, „Rich Kid Blues” (1971, wydana w 1985) i wypełniony piosenkami country „Dreamin' My Dreams” (1976) to świadectwa ostatecznego miotania się – mają swoje momenty, ale docenić je można jedynie *ex post*, gdy już wiemy, że udało się artystce zmartwychpowstać, i to z jakim obliczem.

Wzlot pierwszy – łamana angielszczyzna

Trudno ogarnąć ogrom pracy, jaką włożyła w siebie, jeśli nie wiemy, skąd startowała w 1979 r. – znikąd. Mogła liczyć tylko na zupełnie nowych ludzi, którzy nie uczestniczyli w jej podróży w otchłań. U takich łatwiej o kredyt.

Dla wielu osób album „Broken English” jest niezwykle ważną pozycją w ich płytotekach. Bo faktycznie jest niezwykły. Zupełna zmiana estetyki – nowofalowa, ostra rytmika, syntezy barwy, kilka własnych tekstów – i GŁOS. Zamiast dawnej balladystki z klanu Joan Baez pojawia się ktoś z gangu Toma Waitsa. I największy paradoks: ta, która przysłała na świat rozrywki jako córka baronessy i zacytowana w wielkiej poezji kusząca anielica, świadomie zniszczyła swój dawny wizerunek, zaczęła śpiewać o terrorystach (tytułowa piosenka) i cudzej waginie we własnym łóżku („Why D'Ya Do It?”) – i wreszcie była sobą.

Na pełne oczyszczenie z narkotyków i alkoholu przyszło jeszcze poczekać ładnych kilka lat, ale było jasne: powróciła z krainy zatracenia i zyskała olśniewającą wiarygodność. Której dotąd nie miała. Wielka Marianne Faithfull zaczęła się, gdy już dawno się skończyła.

Kolejne upadki i wzloty

Covid-19 miał poprzedników. Faithfull ma w swym portfolio medycznym zapalenie wątroby typu C, rozedmę, złamanie biodra i raka piersi. Wyszła z nich z tarcią. Odnalazła nową tożsamość, łącząc Brechtowski pazur, punkowe kły, arytykralną dumę, szamańską wiedzę,

Po latach zdarzało jej się wzdychać do dawnego, ładnego głosu

i efektownej sylwetki.
Ale jej dzisiejszy drżący,
chrapliwy śpiew znaczy
więcej niż czyściutkie,
nieszkodliwe nutki.

lumpowską mądrość, bitnikowską dzynwolturę, elitarną erudycję i zniewalającą wrażliwość.

Lista tych, co z wielką ochotą piszą z nią czy dla niej i towarzyszą jej w studiu i na żywo, to jakby *who is who* muzyki ambitnej: PJ Harvey, producent Hal Willner, Tom Waits, Jarvis Cocker, Damon Albarn, Nick Cave, Warren Ellis, Mick Jones, Adrian Utley, Cat Power, Rufus Wainwright, Anna Calvi, Beck, Antony, Daniel Lanois, Steve Winwood, Dr. John, Brian Eno, siostry McGarrigle, Bill Frisell, Lou Reed, Keith Richards, Angelo Badalamenti, Roger Waters, Emmylou Harris, Billy Corgan, Dave Stewart... Mało?

Zaliczyła kolejne dwa małżeństwa i rozwody. Mieszkała w Irlandii, we Francji, od kilku lat ponownie jest londyńską, co uważa za sukces – przyjęło ją to samo miasto, które ją przez lata stygmatyzowało. Powróciła jako uznana na świecie osobowość. I nagradzana aktorka.

Już w 1967 r. grała w „Trzech siostrach” Irinę na deskach teatru, partnerując samej Glendzie Jackson. Była Ofeilią w „Hamlecie” Tony'ego Richardsona (w teatrze i w filmie). W kolejnej dekadzie miała więcej szczęścia do ról niż do muzyki i życia, pojawiła się bowiem w kilku produkcjach scenicznych i ekranowych. Ale najciekawsze pod tym względem okazały się ostatnie dekady. Jej role w „Moondance” Dagmar Hintz i „Irinie Palm” Sama Jaworskiego czy nawet epizod w „Marii Antoninie” Sophii Coppoli to prawdziwe kreacje.

Przebieg jej drogi życiowej i twórczej to zaprzeczenie wszelkim regułom – powinna była dekadą temu marnie szczenić, a piosenki, którym wawdzęczała wczesną sławę, dziś można by uznać

za ramotki do zapomnienia. Wynurzając się w wieku 32 lat z piekła, dokonała radykalnego przededefiniowania samej siebie. Poniekąd nie miała wyjścia. Po latach zdarzało jej się wzdychać do dawnego, ładnego głosu i efektownej sylwetki. Ale z pewnością ma świadomość, że jej drżący, chrapliwy śpiew recytujący „La Belle Dame Sans Merci” Johna Keatsa znaczy więcej niż czyściutkie, nieszkodliwe nutki wyśpiewywane w „Scarborough Fair” czy „As Tears Go By”.

Tę ostatnią piosenkę nagrywała po latach jeszcze dwukrotnie, ostatni raz w 2018 r. na album „Negative Capability”. Warren Ellis wspominał, że gdy siedemdziesięcioletnim głosem wykonała własny przebieg sprzed ponad półwiecza, wreszcie oddała sprawiedliwość słowom – i doprowadziła wszystkich w reżyserce do łez. I przejęła tę piosenkę na własność. Jak od lat czyni z każdą cudzą kompozycją.

W wywiadach otwarcie mówi o fatalnych decyzjach – własnych i cudzych – które zepchnęły ją na dno. Nie tyle po to, by zdobyć punkty za szczerość, ale by posłać czytelny komunikat: nie podpisuj paktu z mrokiem, a jeśli już to zrobisz, musisz naprawdę chcieć go zerwać.

Kolejna walka

Covid-19 nie tylko na długo pozbawił Marianne głosu i wprowadził w stan permanentnego zmęczenia, ale znacznie uszkodził pamięć krótkotrwałą. Szczęśliwie dwa lata wcześniej pożegnała ostatnią używkę – papierosy. Od czasu, gdy wydobyla się z trybu „opieki tylko paliatywnej”, systematycznie ćwiczy płuca i struny głosowe. Początkowy strach, że to koniec ze sceną, ustąpił cichej nadziei, że może nie zaśpiewała jeszcze ostatniego słowa.

Oby. Jest bowiem w jej chrapliwych tonach coś prawdziwie szamańskiego. Korzenna prawda i świadectwo, którego nigdy za dużo.

© FILIP ŁOBODZIŃSKI



Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.

Śluchaj na żywo lub w podkastach na [Radio357.pl](https://radio357.pl)

Do widzenia, Wietnamie

JAKUB MAJMUREK

Amerykańskie kino na pół wieku zdefiniowało nasze postrzeganie tej wojny. Twórcy książki i serialu „Sympatyk” postanowili to zmienić.

NIE POZNAMY NIGDY JEGO IMIENIA, w opowieści występuje po prostu jako Kapitan. Od początku wiemy, że nie jest wiarygodny. Płacze się w zeznaniach, zmienia szczegóły, przyznaje, że zawodzi go pamięć. Prowadzi grę z przesłuchującym go oficerem, starając się jego i nas przekonać, że zawsze pozostał lojalny wobec komunistycznego Wietnamu. Czy naprawdę?

Paradoks szpiega

Serial „Sympatyk” jest adaptacją powieści Viet Thanha Nguyena, Amerykanina wietnamskiego pochodzenia, który w 1975 r. jako czterolatek przybył do Stanów z Wietnamu Południowego. Jego rodzice uciekli przed maszerującą po zwycięstwo armią komunistycznej północy. Powieść na ekran przeniósł duet złożony z kanadyjskiego aktora i scenarzysty Dona McKellara oraz koreańskiego reżysera Park Chan-wooka, który wyreżyserował też pierwsze trzy odcinki.

Park na początku wieku szturmem zdobywał festiwale i kina studyjne na całym świecie przesyconymi czarnym humorem, ekscentrycznie makabrycznymi, gęstymi psychologicznie filmami krążącymi wokół tematyki zemsty. „Sympatyk”, zwłaszcza w trzecim odcinku, odsyła do stylu i nastroju tamtego kina, skądinąd bardziej niż ostatnie filmowe produkcje reżysera.

Adaptacja powieści Nguyena to drugi stworzony dla zachodniej telewizji serial Parka. Pięć lat temu przeniósł on na ekran „Małą doboszkę” Johna le Carrégo, historię młodej brytyjskiej aktorki, Charlie, która otrzymuje propozycję „roli życia”: zostaje zrekrutowana przez Mosad w celu infiltracji palestyńskiej grupy terrorystycznej działającej w Europie. Młoda kobieta zaczyna coraz bardziej utożsamiać się z odgrywaną przez siebie rolą radykalnej lewicowej aktywistki, pragną-

cej włączyć się czynnie w walkę przeciw Izraelowi.

Paradoks szpiega działającego pod przykryciem we wrogim środowisku, jak pokazuje „Mała doboszka”, polega na tym, że by dobrze wykonywać swoją pracę, musi on możliwie najlepiej zrozumieć sposób myślenia i racje przeciwnika – a im lepiej je rozumie, tym większe ma wątpliwości co do swojej misji i racji.

Obcy we własnym kraju

Podobny problem towarzyszy misji Kapitana w serialu „Sympatyk”. Przesłuchujący go w obozie oficer jest niezadowolony z tego, co słyszy, bo relacja Kapitana jest zbyt zniuansowana i wieloznaczna. Tak jakby lata pracy pod przykryciem uwrażliwiły szpiega na racje tych, których miał zadanie zinfiltrować.

Szczególną ambiwalencją naznaczony jest stosunek Kapitana do Zachodu. Fascynacja Ameryką, jej popkulturą, możliwościami, jakie otwiera życie w wolnym, zamożnym społeczeństwie na emigracji, miesza się w nim z ideologiczną wrogością, gniewem, poczuciem urażonej godności, jakie odczuwa przedstawiciel narodu skolonizowanego wobec kolonizatora. Wietnam nigdy nie był oczywiście oficjalnie amerykańską kolonią, ale po klęsce Francuzów pod Dien Bien Phu w 1954 r. dla południowej części kraju to Waszyngton stał się *de facto* nową „kolonialną” metropolią.

Sprzeczne uczucia Kapitana wobec Stanów wzmacnia jego pochodzenie: jest synem Wietnamki i Francuza, dzieckiem europejskiego kolonializmu. Zachód widzi w nim Azjatę, a rodacy „bękarta”, któremu lepiej nie ufać. Kapitan nigdzie do końca nie jest u siebie, w Sajgonie zaśłuchuje się w amerykańskiej muzyce, w Kalifornii marzy o możliwości włączenia się w budowę socjalizmu w Wietnamie.

W fantazjach Zachodu

Relacja Kapitana ze Stanami zapośredniczona jest w serialu przez kontakty, które na swojej drodze rozwija z czterema Amerykanami. Wszyscy są starsi od Kapitana i wchodzą wobec niego w mentorskie czy wręcz ojcowskie role, uczą go Zachodu, a jednocześnie próbują wykorzystać do swoich celów, zamknąć w swojej fantazji na temat Wietnamczyków, Azji i Azjatów.

Pierwszy pojawia się w serialu Claude, oficer CIA pracujący w Sajgonie, a następnie „opiekujący się” skupioną wokół Kalifornii. To on uczy Kapitana szpiegowskiego fachu, razem z nim ściga agentów Wietkongu w Sajgonie, nieświadomy tego, że jego najzdolniejszy protegowany w służbach Południa tak naprawdę pracuje dla drugiej strony.

Kolejny mentor na drodze Kapitana to Robert Hammer, profesor „studiów orientalnych” z kalifornijskiego uniwersytetu. Zafascynowany wschodnią Azją, kulturą całego kontynentu traktuje jako swój osobisty estetyczny fetysz. Nieustannie poucza swoją sekretarkę, urodzoną w Stanach Amerykanę japońskiego pochodzenia, że niedostatecznie interesuje się kulturą kraju, z którego do Stanów przybyli jej przodkowie. Profesor Hammer bardzo pomaga Kapitanowi po przybyciu do Stanów – a jednocześnie zatrudnia go na swoim wydziale głównie po to, by odgrywał jego fantazję o „egzotycznym”, „tajemniczym” Oriencie.

Ned Goodwin to z kolei ambitny prawicowy polityk kultywujący relacje wśród wietnamskiej diaspory w Kalifornii, widzący w niej swoich przyszłych wyborców. W fantazji kongresmena „ciężko pracujący”, radykalnie antykomunistyczny Wietnamczyk to „modelowa mniejszość” zdolna zintegrować się z Ameryką i zasilić wspierający prawicę blok polityczny, osłabiony przez kontrkulturowe przemiany przełomu lat 60. i 70.

Wśród tej czwórki jest też artysta, reżyser, wybitny aktor filmowy Niko Damianos. Niko przygotowuje wielką produkcję podsumowującą amerykańskie doświadczenie w Wietnamie i zatrudnia Kapitana jako konsultanta mającego dostarczyć mu „autentycznie wietnamską” perspektywę.

Kapitan walczy o to, by w relacji ze starszymi, bardziej wpływowymi Amerykanami nie dać się zdefiniować i określić



MATERIAŁY PRASOWE HBO

Hua Xuande jako Kapitan i Robert Downey Jr. jako Claude w serialu „Sympatyk”. HBO 2024 r.

fantazjom. By w opartych na nierównowadze relacjach wynegocjować dla siebie jak najwięcej podmiotowości i sprawczości. A jednocześnie im bardziej Kapitan walczy ze swoimi amerykańskimi mentorami, tym bardziej przyswaja sobie ich perspektywę i tym bardziej amerykański się staje.

Wszyscy Amerykanie wyglądają tak samo

Całą czwórkę Amerykanów odtwarza na ekranie jeden aktor: Robert Downey Jr. Ten niecodzienny obsadowy wybór ma potrójny sens. Po pierwsze, stanowi okazję dla aktorskiego popisu Downeya, który po zrzuceniu kostiumu Iron Mana w produkcjach Marvela jest chyba głodny ambitnych wyzwań, co pokazuje oscarowa rola w „Oppenheimerze”.

Po drugie, jeden aktor odtwarzający czterech najważniejszych Amerykanów w serialu pozwala dostrzec różne twarze amerykańskiej hegemonii: wojskową, polityczną, intelektualną i kulturową. Wreszcie: wybór ten może być formą żartu koreańskiego twórcy serialu, który mówi w ten sposób zachodniej publiczności: „Tak jak dla was wszyscy Azjaci, tak dla nas wszyscy Amerykanie wyglądają tak samo”.

Temat tego, jak amerykańskie kino i telewizja przedstawiają Azjatów i azjatyckie doświadczenie, stanowi jeden z kluczowych wątków serialu. Skupia się na nim zwłaszcza odcinek czwarty – wyreżyserowany przez Brazylijczyka Fernanda Meirellesa – poświęcony pracy nad filmem Nika Damianosa. Kręcony w serialu film nosi tytuł „The Hamlet”, co z jednej

strony znaczy po prostu „wioska”, a z drugiej odsyła do „Hamleta” Szekspira, jednego z arcydzieł zachodniego kanonu.

Szybko się orientujemy, że na doświadczenie wojny w Wietnamie Damianos patrzy wyłącznie z zachodniej perspektywy. Statyści mający odgrywać wietnamskich chłopów nie mówią po wietnamsku. Reżyser obsady nie widział sensu szukać Wietnamczyków, bo miejscowa ludność w oryginalnym scenariuszu i tak nie miała żadnych mówionych kwestii – Niko dopisuje je dopiero po szeregu sporów z Kapitanem. Jedyny poza statystami obecny na planie aktor azjatyckiego pochodzenia, etatowy Azjata hollywoodzkiego kina lat 70., wcielił się w postaci orientalnych złoczyńców, ginących z ręki głównego, pozytywnego bohatera w pierwszym akcie.

Fabula „Wioski” przypomina „Pluton” Olivera Stone’a, choć można też w niej znaleźć echa „Czasu apokalipsy” Francis Forda Coppoli – filmu, który by dokonać rozliczenia z amerykańską obecnością w Wietnamie, sięgał po inne arcydzieło zachodniego kanonu, „Jądro ciemności” Josepha Conrada. To, co się dzieje na planie fikcyjnego filmu, wprost odsyła do mitów, jakimi obrosła produkcja Coppoli, i to na jego postaci wyraźnie wzorowany jest Niko Damianos.

Powieść Nguyena i twórcy serialu biorą za cel swojej satyry całe rozliczeniowe kino o wojnie w Wietnamie z lat 60. i 70. Pokazują jego ograniczenia, ukryte założenia i mówią: to tylko część historii, ludzie z kraju, gdzie toczyła się ta wojna, nie odnajdują się w tych wizjach, choć to one zdefiniowały to, jak świat postrzega

konflikt w Wietnamie. Podkpiwają sobie z pretensji Coppoli czy Stone’a do politycznego radykalizmu.

Skądinąd produkcję dalekiego od Partii Republikańskiej Damianosa wspierają prawnicy Goodwin i Claude z CIA. Ten ostatni tłumaczy Kapitanowi: „Filmy są ważne. Zwłaszcza znanych reżyserów. Musimy mieć na nich oko. Zapewniać ich, że są wywrotowcami, ale nie pozwalać im iść na całość. Jeśli uda się nam ich utrzymać w granicach humanizmu, ale bez konkretów, będą nieszkodliwi”.

Dekolonizacja pamięci

Kapitan w starciu z „ważnym reżyserem” u szczytu kariery nie ma najmniejszych szans, w bardzo niewielkim stopniu wpłynie na obraz wojny przedstawiony w „Wiosce”. Serial jest skuteczniejszy w tym, co okazało się zbyt trudne dla jego bohatera, czyli w pracy na rzecz dekolonizacji filmowych obrazów wojny w Wietnamie i kształtowanej przez nie pamięci tego konfliktu.

Nguyen przy okazji premiery swojej książki podkreślał, że mówiąc o Wietnamie, amerykańska popkultura najbardziej zainteresowana jest doświadczeniem amerykańskich żołnierzy i ruchu pokojowego w Stanach, w drugim rzędzie stronę, która wygrała, swoimi wrogami z komunistycznej północy, a w najmniejszym stopniu sojusznikami z tej wojny: Wietnamczykami z Południa, którzy zaufali Amerykanom i walczyli u ich boku, a następnie zostali przez nich porzuceni, gdy ci wycofali się z Sajgonu. Wielu z nich, jak rodzina pisarza, znaleźli się w Stanach, rozdarci między pretensjami do Waszyngtonu o zdradę a poczuciem wdzięczności wobec swojej nowej, przybranej ojczyzny. Między tęsknotą za Wietnamem, który zginął wraz ze zwycięstwem Północy, a fascynacją amerykańską popkulturą.

„Sympatyk”, książka i serial, stawia w sercu narracji doświadczenia tej grupy. Pokazuje, jak jej przedstawiciele próbują negocjować swoją tożsamość i podmiotowość, będąc wrzuceni między wielkie historyczne siły: zimnowojenny konflikt, azjatycki komunizm i zachodni kapitalizm, tradycyjną kulturę oraz jednocześnie emancypującą i pozbawiającą tożsamości globalną popkulturę, często gubiąc się po drodze i ostatecznie kończąc bez miejsca na świecie, które naprawdę mogliby nazwać własnym. ©

Ćwiczenia z empatii

ANITA PIOTROWSKA

Czy można kochać i chronić kogoś, kto uległ drastycznym przeobrażeniom i coraz bardziej przypomina dzikie zwierzę?

NATURA BIERZE ODWET” – MÓWIŁO SIĘ w czasach pandemii i nie tylko w odniesieniu do rozprzestrzeniającego się wirusa. Żyjąc w lockdownie, obserwowaliśmy zmieniające się zwyczaje dzikich zwierząt, które nagle zaczęły przejmować terytoria zajęte dotychczas przez człowieka. Dlatego tak trudno uwierzyć, że pomysł na scenariusz „Królestwa zwierząt” wyklął się jeszcze w epoce przedcovidowej. Opowiada bowiem o tym, co by było, gdyby ludzie, być może pod wpływem jakiegoś nieznanego dotąd zarazka i genetycznej mutacji, zaczęli przeobrażać się w rozmaite gatunki fauny. I jakie byłyby reakcje „zdrowych” *homo sapiens* na tę ewolucyjną cofkę. Międzygatunkowy film Thomasa Cailleya nie jest co prawda dziełem wybitnym, ale przynosi interesujące ćwiczenie z myślenia i z empatii.

Zostajemy wrzuceni w świat z pozoru taki sam jak nasz i właśnie ów pozór zdaje się najbardziej niepokojący. François (w tej roli Romain Duris) wraz z nastoletnim synem Émilem (Paul Kircher) i laciętym psem Albertem jadą w odwiedziny do żony i matki, przebywającej w klinice. Już po drodze wdiera się ostre zaburzenie: w kraju trwa stan wyjątkowy, który ma wyłapać i wyizolować ze społeczeństwa



półludzkie, półzwierzęce „poczwary”. Doświadczamy się, że od dwóch lat niektórym ludziom zaczęły wyrastać szpony, kły, dzioby, skrzydła czy łuski. Ponieważ mogą stanowić zagrożenie, zamyka się ich w specjalnych ośrodkach i poddaje brutalnym, ciągle niesprawdzonym terapiom.

Kiedy leżąc w szpitalnym łóżku Lana odwraca głowę ku gościom, jej zniekształconą twarz pokrywa gęsta sierść. Za chwilę, gdy również Émile zacznie obserwować w swoim ciele rozmaite przemiany, pojawiają się pytania bardziej ogólne: czy można w dalszym ciągu kochać i chronić kogoś, kto uległ tak drastycznym przeobrażeniom i coraz bardziej w swoich reakcjach przypomina dzikie zwierzę?

Cailley i jego współscenarzystka Pauline Munier robią wiele, by ta dystopijna historia nie przenosiła nas w czasie. To wszystko dzieje się dzisiaj, w znajomych dekoracjach i dziwnie swojskiej atmosferze, co sprawia, że trudno o eskapizm: w takich przypadkach fantazjowanie przestaje być bezpieczne. Zwłaszcza kiedy demonizowane stwory wymykają się spod ludzkiej kontroli, zaczynają atakować i ukrywać się w nielicznych enklawach dzikości. Czyli w lasach, które teraz z powodów bezpieczeństwa zostają przed ludźmi zamknięte (ów zakaz też brzmi znajomo).

„Królestwo zwierząt” staje się w tym miejscu historią buntu przeciwko procedurom absurdalnym i okrutnym. A to, co w kinie grozy byłoby głównym źródłem lęku, czyli transformacja człowieka w zwierzę jako destrukcyjna ingerencja

natury w ludzki porządek, we francuskim filmie jest przede wszystkim wyzwaniem rzuconym człowieczeństwu. Być może sformułowanym trochę powierzchownie w czasach posthumanistycznych czy transhumanistycznych debat, ale za to sugestywnym w swoim filmowym kształcie.

Na hybrydyczność obrazu składa się wiele gatunkowych składników: z body horroru (stopniowa przemiana w inny, niższy gatunek), fantastyki naukowej i ekologicznego manifestu („natura bierze odwet”) czy wreszcie z filmów o burzliwym dorastaniu (jako bolesnym odnajdowaniu siebie w nowym ciele). I najlepszy film Cailleya jest wtedy, kiedy nie romantyzuje zwierzęcości. François ciągle odczuwa więź z odmienioną Laną, pragnie ją odszukać i uratować przed opresyjnym systemem, ale nie mamy złudzeń – świat zwierzęcy nie jest już naszym światem i nigdy nim nie będzie. Harmonijne współistnienie byłoby możliwe pod warunkiem, że każda ze stron funkcjonowałaby na własnych prawach i szanowała odrębność tej drugiej, w czym na razie pozbawia życzeniowość.

Najbardziej docenianym aspektem „Królestwa zwierząt” bywa jego strona wizualna, a zwłaszcza realistyczne przedstawienia zwierzęco-ludzkich ciał, co nie zawsze przekłada się na międzygatunkowe konfrontacje. Patrz: wątek człowieka ptaka, z którym zaprzyjaźnia się mutujący w drapieżnika nastolatek. Dobrze wypada na ekranie sama jego transformacja, te wszystkie skrywane przed

RADIO KRAKÓW

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Śłuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE KINO ŚWIAT

KRÓLESTWO ZWIERZĄT

(„Le règne animal”)
– reż. Thomas Cailley.
Prod. Francja/Belgia
2023. Dystrybucja
Kino Świat. W kinach
od 14 czerwca.

Thomas Cailley
to francuski scenarzysta
i reżyser. Za swój debiut,

„Miłość
od pierwszego
ugryzienia”

(2014), otrzymał
Cezara i nagrodę
FIPRESCI w Cannes.

„Królestwo zwierząt”
jest jego drugim
pełnometrażowym
filmem, który
nagrodzono Cezarami
za zdjęcia, kostiumy,
muzykę, dźwięk i efekty
wizualne.

Na zdjęciu: kadr z filmu
„Królestwo zwierząt”,
reż. Thomas Cailley,
2023 r.

światem zmiany w fizyczności, odruchach, w zmysłowej percepcji, gorzej natomiast z rozwiązaniami fabularnymi, które czasem zbyt baśniowo przedstawiają zasadniczy konflikt.

„Królestwo zwierząt” to kino, które w atrakcyjnym filmowo kostiumie usiłuje stawiać istotne dzisiaj pytania – o nasze relacje ze światem natury, a w szczególności ze zwierzętami, którymi też jesteśmy w biologicznym wymiarze. Choć przecież ofiarami wcale nie są tutaj zwierzęta, ale – niczym w baśniach – zamienieni w zwierzęta ludzie. W dużej mierze za karę za swoją pychę. I choć nadal przypominają istoty ludzkie, poluje się na nich i eksperymentuje w imię gatunkowej czystości. Co oczywiście uruchamia liczne metafory związane z władzą i wykluczeniem.

Na szczęście rządzi u Cailleya duch anarchistyczno-marzycielski. Podobną energią emanuje zresztą cały film – organiczną, żywiołową, chwilami wręcz zwierzęcą, wyrażalną także w aktorstwie Durisa i Kirchera. Gdyby ktoś nie uwierzył w wyimaginowany świat na ekranie, być może przekona go ukazana tam relacja między ojcem a synem, będąca nienachalną lekcją akceptacji. I miłości bezwarunkowej, która jest zaprzeczeniem osławiania kogoś na siłę.

To rodzaj kina, które nie ucieka w efekciarską widowiskowość, choć ma ku temu liczne przesłanki. Ani w wyrafinowane eksperymenty z człowieczeństwem na miarę Davida Cronenberga czy Julii Ducournau. Bardziej zresztą odwołuje się do emocji niż do intelektu, co niektórzy pewnie uznają za słabość „Królestwa”. Transgresyjny punkt wyjścia nie znajduje tutaj rozwinięcia. Im dalej w las, tym coraz bardziej zmierza w stronę tego, co między-ludzkie niż ludzko-zwierzęce.

Tylko co to właściwie znaczy być człowiekiem? „Lubię zwierzęta, ale z daleka” – głosi napis na koszulce jednego z kolegów Émile’a, w czym tkwi zakamufLOWANE określenie rozmaitych antyludzkich fobii. Pewnie więcej w tym pedagogiki niż pogłębionej filozofii, niemniej cel został osiągnięty. „Królestwo zwierząt” stara się rozszerzać granice humanizmu, nie antropomorfizując zwierzęcego świata, ale pozwalając zobaczyć ludzkie piękno tam, gdzie inni gotowi widzieć już tylko groźny stan przejściowy, osuwający się w potworność. Nawet jeśli takie przesłanie brzmi naiwne, Cailley i jego aktorzy wcielają je nader przekonująco. ©

Lektor: Pisarka w okopach



■ Oksana Zabuzko

NAJDŁUŻSZA PODRÓŻ

Przełożyła Katarzyna Kotyńska.
Wydawnictwo Agora,
Warszawa 2023,
ss. 192

TYM RAZEM NIE NOWOŚĆ, ALE KSIĄŻKA, DO KTÓREJ wróciłem po roku – by stwierdzić, że jest coraz bardziej aktualna. Przerazająco aktualna. Wybitna pisarka ukraińska, laureatka Angelusa za powieść „Muzeum porzuconych sekretów”, 23 lutego 2022 r. wyjechała z Kijowa do Warszawy, by uczestniczyć w polskiej premierze tomu esejów „Planeta Piółun”. Pierwszy taki wyjazd po dwóch latach pandemii – trzydniowy pobyt, więc mała, podręczna walizka... 24 lutego o szóstej rano zbudził ją w warszawskim hotelu telefon: „Zaczęło się, mała. Bombardują nas”.

Zaczęła się też niespodziewanie długa podróż. „To jak zacięty klawisz, świat na wciśniętej pauzie”. W Strasburgu, gdzie Zabuzko wystąpiła w Parlamencie Europejskim, walizkę trzeba było zmienić na większą. No i – za zachętą i radą Beaty Stasińskiej – przyszedł pisarski eksperyment „literatury okopowej”. Zapis nie tyle własnego doświadczenia, ile głębszej analizy wydarzeń. Atak Rosji na Ukrainę ujrany jako kolejny etap długofalowego planu. A inwazja z 24 lutego – jako konsekwentny ciąg dalszy rosyjskich prób neutralizacji Majdanu, dywersji ideologicznej, infiltracji i terroru, zajęcia Donbasu i Krymu. Jako być może początek trzeciej wojny światowej, która ma zmienić światowy układ sił.

„Dwie poprzednie zaczynały się tak samo: od nagromadzenia sumy systemowych błędów o charakterze globalnym – gdzie każdy z nich naruszał całą konstrukcję architektoniczną międzynarodowej równowagi, aż wreszcie zaczęła się ona chwiać i sypać, a potem już wszystko waliło się w huku armat i spadających bomb”. Mocne oskarżenie wszystkich, którzy w imię Głupoty i Tchórzostwa (wielkie litery autorki) starali się nie dostrzec rosyjskich ambicji imperialnych, łykając propagandową narrację Moskwy. I pochylali się z troską raczej nad katem niż nad jego ofiarami (wśród których, przypomina Zabuzko, są nie tylko Ukraińcy i ich mordowana od lat kultura, ale legion innych narodów). Niemiecki dziennikarz, któremu pisarka powiedziała, że oficer KGB rządzący Rosją to jak oficer Gestapo stojący na czele Niemiec, aż się wzdygnął – i ostatecznie opuścił ten fragment w druku...

Niesamowita to jest książka (określenie Olgi Tokarczuk), pełna emocji, ale i zapomnianych często faktów, i logicznego wywodu. Poznajmy ukraińskie doświadczenie – może stać się naszym. ©P

Nagroda Literacka GDYNIA została ustanowiona w 2006 roku przez Prezydenta Miasta Gdyni. Przyznawana jest za wyjątkowe osiągnięcia literackie polskim autorkom i autorom, których książki ukazały się w poprzednim roku. Rozpatrując zgłoszone do nagrody książki w czterech kategoriach – poezja, proza, esej i przekład na język polski – Kapituła Nagrody Literackiej GDYNIA stara się wskazywać najbardziej zajmujące teksty literackiej polszczyzny. Nagrodzie towarzyszy Festiwal Miasto Słowa, będący momentem spotkania i rozmowy z autorkami i autorami nominowanych (i nie tylko) książek. Już teraz zapraszamy do Gdyni na ostatni tydzień sierpnia.

Kapituła Nagrody Literackiej GDYNIA:

Natalia Gromow (sekretarz),
Eliza Kącka, Barbara Klicka,
Jakub Kornhauser,
Dorota Kozicka (przewodnicząca),
Adam Lipszyc,
Aleksander Nawarecki,
Tomasz Swoboda.



NAGRODA LITERACKA GDYNIA

Festiwal Miasto Słowa
odbędzie się w dniach
28 sierpnia – 1 września w Gdyni.

31. sierpnia podczas uroczystej
Gali Nagrody Literackiej GDYNIA
zostaną ogłoszeni laureatki
i laureaci.

Pełne uzasadnienia nominacji:
www.nagrodaliterackagdynia.pl

NOMINACJE

ESEJ



■ **Neofuturzy i futuryści**
MARTY BARON-MILIAN
za pisanie na przekór
i w poprzek
o początkach polskiej
awangardowej poezji

Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń 2023



■ **Maszyny
do ciszy**
**MARCINA
DYMITRA**
za umiejętne
przekazywanie

wiedzy o tym, na czym grać,
by zatriumfowała cisza

Wydawnictwo Części Proste, Gdańsk 2023



■ **Czmych, czyli
na tropach figuranta**
ZUZANNA FRUBY
za zaskakującą
formalnie, przejmującą
opowieść o własnej

rodzinie i latach 80.

Wydawnictwo Nisza, Warszawa 2023



■ **Dziewczynki.**
**Kilka esejów
o stawianiu się**
WERONIKI MUREK
za fascynujące
opowieści dziewczynek

i opowieści o dziewczynkach

Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023



■ **Poruszeni.**
**Awans i emocje
w socjalistycznej
Polsce**
MAGDY SZCZĘŚNIAK
za różnorodne

świadczenia awansu społecznego,
którym autorka przygląda się
z wrażliwością i wnikliwością

Wydawnictwo Krytyka Polityczna,
Warszawa 2023



DO NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA 2024

POEZJA



■ **Ostatni i pierwszy kajman**
EMILII KONWERSKIEJ
za pomysłową, pełną gier i zabaw książkę, w której każdy wiersz

jest osobnym konceptem
Wydawnictwo j, Wrocław 2023



■ **Jest taki konik**
WOJCIECHA KOPCIA
za niepozawiany humor i migocący znaczeniami poemat

Wydawnictwo papierwdole,
Wrocław-Kraków-Tennessee 2023



■ **Zeszyt ćwiczeń**
JOANNY ŁĘPICKIEJ
za poetyckie żonglowanie dykcjami i formami wypowiedzi

Wydawnictwo Biuro
Literackie UMK, Kołobrzeg 2023



■ **Algorytmy nastawione na lokalne wypadki**
JULII TKACZ
za niezwykłość, zaskoczenie i poczucie humoru

Wydawnictwo Ostatnia Sobota Lata,
Warszawa 2023



■ **Letnisko**
MATEUSZA ŻABOKLICKIEGO
za wyjątkowe połączenie dyscypliny i lekkości oraz wyrafinowane nawiązania do tradycji

Wydawnictwo Fundacja Kontent,
Kraków 2023

PROZA



■ **Idzie tu wielki chłopak**
GRZEGORZA BOGDAŁA
za olśniewająco nienarcystyczną kontemplację

nad męskością w różnych fazach życia bohaterów
Wydawnictwo Czarne,
Wołowiec 2023



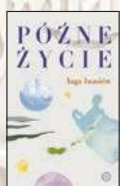
■ **Dwie powieści ruchu**
MATEUSZA GÓRNIAKA
za rozpędzone językowo, awangardowe mikrohistorie

o dynamice życia
Wydawnictwo Filtry,
Warszawa 2023



■ **Kundle**
KATARZYN Y GRONIEC
za misternie splecenie ze sobą wielu opowieści, które łączy małe miasteczko na Górnym Śląsku

Wydawnictwo Nisza,
Kraków 2023



■ **Późne życie**
INGI IWASZÓW
za wnikliwą opowieść o życiu po...

Wydawnictwo Drzazgi,
Czersk 2023



■ **Spotkanie po latach**
MACIEJA SIĘNCZYKA
za nową opowieść w obrazkach pełną najdziwniejszych zdarzeń o dużej sile

Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2023

PRZEKŁAD NA JĘZYK POLSKI



■ **MATEUSZ KWATERKO**
za finezyjne oprowadzenie po wszystkich odcieniach XIX w. w przekładzie z języka

francuskiego **Kaprysów i zygaków**
Théophile'a Gautiera
Państwowy Instytut Wydawniczy,
Warszawa 2023



■ **MACIEJ PIOTROWSKI**
za brawurowy przekład z języka ukraińskiego awanturycznej **Podróży uczonego doktora Leonarda i jego**

przyszłej kochanki, przepięknej Alcesty, do Szwajcarii Słobodzkiej
Mike'a Johannsena
Wydawnictwo Kolegium Europy Wschodniej,
Wojnowice 2023



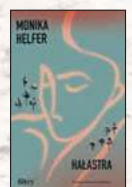
■ **PIOTR TARCZYŃSKI**
za tłumaczenie **Światłości w sierpniu** Williama Faulknera, w którym umiejętnie dotrzymuje

kroku amerykańskiemu autorowi
Wydawnictwo Znak Literanova, Kraków 2023



■ **IWONA ZIMNICKA**
za przekład mrocznego i gęstego **Drugiego imienia Jona Fossego** z języka norweskiego

Wydawnictwo ArtRage,
Warszawa 2023



■ **ARKADIUSZ ŻYCHLIŃSKI**
za precyzyjne tłumaczenie z języka niemieckiego książki Moniki Helfer **Hałastra**

Wydawnictwo Filtry,
Warszawa 2023

OLGA

Drenda: Sprawiedliwość dla prazaby

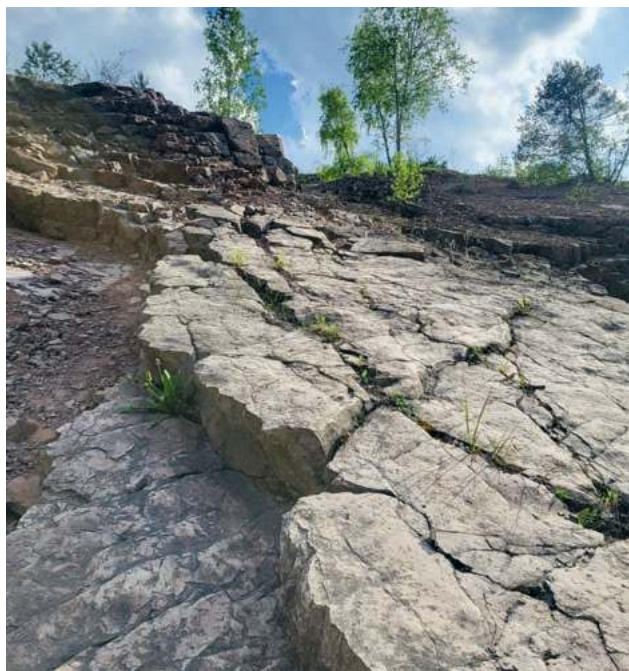


STĄD WYSZLIŚMY NA LĄD – TAKA KONSTATAcja porusza wyobraźnię. Oczywiście, nie do końca dosłownie „my” (my obywatele, my naród, a nawet my król), lecz zdecydowanie bardziej umowny zbiór, czyli

kręgowce poruszające się na nogach. Stopień utożsamienia się wymaga może pewnego wysiłku, ale nie da się zaprzeczyć, że w najszerszym możliwym sensie wszyscy jesteśmy spod Kielc. Tu bowiem – a dokładniej w dawnym kamieniołomie w Zagnańsku – z pradawnego morza wygramolił się na stały ląd tetrapod, praszczur płaza, i tak zaczęła się historia chodzenia po Ziemi. Ten wielki Polak (oczywiście na wyrost, bo przecież zupełnie inny był wówczas nawet układ kontynentów), odkryty przez Grzegorza Niedźwiedzkiego i Piotra Szreka, wzbudził sensację w świecie paleontologii. Ślady właściwe praprzodka zabezpieczono, lecz w kamieniołomie Zachełmie można oglądać inne, oddziałujące na wyobraźnię wgłębienia w skale, które być może również pozostawiły tetrapodzie łapki.

Przyglądanie się im to istotnie niemałe przeżycie, nie tylko dlatego, że przypomina o długiej ewolucji życia na Ziemi, ale też dlatego, że uświadamia, iż ważne odkrycia wciąż są możliwe (ważne, a nie „przyspiesza-

Być może i tu pozostawiły ślady prastare dewońskie łapki



OLGA DRENDA

jące”, „optymalizujące” itp.). Tetrapod jest jedną z licznych atrakcji świętokrzyskiej krainy, dość powiedzieć, że bardzo niedaleko rośnie sam dąb Bartek. Zapewne historia jego odkrycia zasługiwałaby jednak na opowieść heroiczną.

W drugiej połowie XX w. umieliśmy takie tworzyć. Przypomniam o tym sobie, oglądając nareszcie wystawę ocalonych zabytków z Faras w warszawskim Muzeum Narodowym. Ekspedycja profesora Michałowskiego bardzo szybko obrosła legendą. Zapomniana katedra zakopana we wzgórzu, konieczność pośpiechu, nim teren zostanie zalany wodą, niezmiernie precyzyjne sposoby zdejmowania bezcennych malowideł ze ścian, międzynarodowa współpraca – wszystko to układało się w wyobraźni w scenariusz wielkiej przygody. Zapewne dlatego w pokoleniu moich rodziców, jak sobie zapamiętałam, nazwę Faras i związany z nią sukces polskiej nauki kojarzyli wszyscy, niezależnie od tego, czy skończyli studia czy szkołę podstawową.

Takich opowieści było znacznie więcej. Samotne rejsy Krystyny Chojnowskiej-Liskiewicz i Leonida Teligi („jacht Teligi, na 4 litery” – to do dzisiaj hasło w każdej krzyżówce). Wyprawy himalaistów. Opanowanie epidemii ospy we Wrocławiu (i okrągłe pieczętki szczepionek, przypominające o wyeliminowanym ze świata zagrożeniu). Artyści, filmowcy, sportowcy – przez to zakodowałam sobie w głowie alternatywny, niezależny od politycznych realiów obraz powojennej Polski jako krainy ludzi odkrywczych, zdeterminowanych, motywowanych chęcią zdobywania wiedzy czy poszerzania dorobku ludzkości, co brzmi pompacyjnie, lecz zgodnie z duchem epoki. Na ile prawdziwy to obraz, nie ma znaczenia – ważne jest to, jak mocna okazała się prawda opowieści. A ta sprawiała, że bycie Polakiem, Polką zyskiwało właściwości krzepiące.

Zapewne wiele zależało od tego, że zbiorową wyobraźnię kształtowało kilka gazet, radio i Polska Kronika Filmowa w kinie, z takim samym przekazem dla wszystkich. Podobne odkrycia i sukcesy wydarzają się i dziś, lecz trudniej o nich mówić w informacyjnym rozproszeniu. Być może naprawdę głośną i nośną opowieść, kojarzoną przez wszystkich, udało się stworzyć na razie tylko w naszym sporcie. A tetrapod ze swoim przełomowym potencjałem też na taką zasługuje. Albo prazaba Czatkobatrachus polonicus, najstarszy z opisanych płazów bezogonowych, odkryty na osiedlu Czatkowice w Krzeszowicach – gdzie nawet ma swój pomnik.

©

PAWEŁ

Bravo: Cel rekreacyjny



OSIEMNAŚCIE BEZ MAŁA MILIONÓW OBYWATELI Ameryki zażywa codziennie lub prawie codziennie marihuanę w jednej z coraz liczniejszych dostępnych na rynku postaci. Temu bogactwu wyboru oraz otwartości, z jaką ludzie przyznają się an-

kieterom, służy fakt, że już połowa stanów zalegalizowała cały ten kram także dla celów tzw. rekreacyjnych. Co jest koślawą kalką z angielskiego słowa, które wskazuje po prostu na używki dla rozrywki, w odróżnieniu od zastosowań medycznych. Cokolwiek by ta medycyna w tym kontekście miała znaczyć – bo wydaje mi się, że to kategoria z bardzo elastycznej gumy. Granica między konopnym „leczeniem” stresu lub bólu a skrętem wypalonym dla odprężenia po koszmarnym dniu w pracy jest rozmyta, nie wiadomo, gdzie by należało poprowadzić plot i zasieki.

Spory o tzw. medykację przypadłości duszy i uczuć leżą na pewno poza granicą waszej cierpliwości, przysłuchajcie tu mnie czytać wszak w celach rekreacyjnych. Dlatego wróćmy do Amerykanów zażywających substancje – u nas srogo zakazane, przestrzegajcie, proszę, prawa! – uzyskane z konopi indyjskich. Po raz pierwszy w najnowszym badaniu okazało się, że znacznie więcej ludzi pali codziennie trawę, niż pije alkohol. Jakże to stawia wyzwania dla polityki zdrowotnej (np. w kontekście uzależnień), o tym się dopiero zaczyna na serio dyskutować, a obraz komplikuje fakt, że z biegiem lat obserwujemy znaczny wzrost stężenia substancji określonej skrótowo THC w dostępnych na rynku produktach. Jeden gram dzisiejszego ziółka wystarczyłby naszemu dziadkowi hippisowi na miesiąc.

Nie bądźmy jak ci biedni, histeryczni purytanie, co nie mogą się pogodzić z faktem, iż elementem każdej znanej antropologom kultury są substancje i praktyki wpływające na świadomość (oraz ich ścisła reglamentacja). I przynajmniej, że to, jakie dana społeczność w danym czasie ma używki, jest równie ważne dla jej zrozumienia, jak to, jakie spożywa posiłki, jak wychowuje dzieci (chyba że właśnie przestała dzieci płodzić) i do jakich bóstw się modli. Może dane z USA zapowiadają, że w ciągu jednego czy dwóch pokoleń także i w reszcie tzw. Zachodu skończy się niepodzielne panowanie alkoholu, trwające mniej więcej tyle, co nasze rolnictwo i osiadły tryb życia? Byłby to proces o rzeczywistej epokowym charakterze. Ileż chwytliwych nagłówków będą mogli wymyśleć moi następcy w tej rubryczce!



Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce
przepisy na Tygodnikowy
lunch, deser, obiad.
Zapisz się na
powszech.net/tygodnik-smakow



A może to tylko żurnalistyczna potrzeba wynajdywania końców świata i nowych epok, która zamyka oczy na stopniowe, mniej efektowne, ale za to niewydumane przemiany? Otóż np. konopie (wprawdzie nie indyjskie), które dziś brzmią nam równie nielegalnie, co mak, jeszcze 300 lat temu były (obok maku zresztą) najważniejszym surowcem na olej. Olej – rzecz kiedyś ważna nie z powodu kwasów omega czy innych alfa, ale z potrzeby przestrzegania postów organizujących codzienność nawet ludziom, których stać było na jedzenie tłuszczu zwierzęcego przez okrągły rok. „Znak nabożeństwa i cierpliwości” – tak go nazywał Jakub Haur, autor poczytnych książek o gospodarstwie (czyli proto-ekonomista) z czasów króla Jana III Sobieskiego.

O potrawach mniej nabożnych (ale wymagających za to wielkiej cierpliwości kucharza) na dworze tego wielkiego epikurejczyka na naszym tronie opowiadał właśnie prof. Jarosław Dumanowski w dziewiątym odcinku serialu „Historia kuchni polskiej”. Jestem fanem tego badacza oraz szefa Macieja Nowickiego, który gotuje na ekranie, próbując zaadaptować stare przepisy. Bywa, że przeżywam wstrząsy poznawcze. Np. bigos, owszem, na różne sposoby, ale zupełnie bez kapusty. Ta pojawia się bardzo późno, jako wypełniacz w uboższej wersji, zastępując częściowo mięso. Czekam na to, czym mnie zaskoczą odcinki dziewiętnasto- i dwudziestowieczne, o czasach, które teoretycznie są bliższe i lepiej znane. Choć Dumanowski nie kręci filmów z zamiarem obrazoburczym (jego włoski odpowiednik, Alberto Grandi, demaskator głupich mitów, niebawem będzie musiał chodzić z policyjną ochroną), to i tak różne „tradycje”, zwłaszcza te wiecznotrwałe i uświęcone, pękają u niego jak banieczki. Może się jeszcze okazać, że tylko alkohol nasi przodkowie mieli w dzbanach ten sam, co my. Do czasu, aż i o nim zapomnimy w mglistym konopnym oparze. ©

W odcinku o królu Janie kasza jęczmienna zapiekana z jajkiem, cukrem i korzeniami okazuje się wykwintnym deserem – a to z racji cukru, który wciąż miał wówczas status kosztownej i rzadkiej przyprawy. Przypomina mi to bardzo deser z kaszy jaglanej miglaccio, o którym pisałem niecały rok temu. W podobnym klimacie dawnych, wyglądających skromnie placzków, jest **castagnaccio**. Namaczamy w ciepłej wodzie **garść rodzynek**. Przesiewamy do miski ok. **0,5 kg mąki kasztanowej**. Dodajemy **szczyptę soli** i wlewamy powoli **0,7 l wody**, mieszając trzepaczką aż do uzyskania jednolitej, gładkiej masy. Odsączamy rodzyнки i dodajemy je wraz z **garścią posiekanych orzechów**. Płytką blachę smarujemy szczodrze **oliwą** i wlewamy masę, która powinna utworzyć warstwę o grubości ok. **1 cm**. Posypujemy **świeżymi igłami rozmarynu**, pieczemy w 200 st. przez ok. **pół godziny**, aż na wierzchu utworzy się popękana skorupka.

CHWAŁA KRÓLÓW, GODNOŚĆ LUDU

„Zlaicyzowane, zdegradowane, zakamuflowane mity i wyobrażenia mityczne spotykamy wszędzie: trzeba je tylko umieć rozpoznać” – pisał niegdyś Eliade. Jakby oglądał finał Ligi Mistrzów między Borussią a Realem.

MICHAŁ OKOŃSKI

KLUB PIŁKARSKI, CZYM WŁAŚCIWIE JEST? W PRZYPADKU tych największych: przedsiębiorstwem z branży rozrywkowej, organizującym widowiska przyciągające na trybuny kilkadziesiąt tysięcy widzów, a przed ekrany miliony? Przedsiębiorstwem nastawionym na zysk, którego wartość – gdy mowa o najbogatszych, np. o Realu Madryt, zdobywającym w minioną sobotę po raz piętnasty Puchar Europy – przekracza sześć miliardów, roczne przychody zaś sięgają siedmiuset milionów dolarów? Korporacją zatrudniającą kilka tysięcy osób?

A może reklamowym słupem dla linii lotniczych, firm ubezpieczeniowych, spożywczych czy bukmacherskich? Wybielaczem wizerunku i narzędziem zwiększania wpływów dla szejków z Kataru czy Zjednoczonych Emiratów Arabskich? Wygodną lokatą kapitału dla funduszu inwestycyjnego czy miliardera? Efektowną wizytówką, ozdobą biznesowego portfolio, w wersji najszlachetniejszej (jeśli o inwestycjach i biznesach mowa) – spełnieniem chłopięcego marzenia potężnego przedsiębiorcy?

Na pewno tak, lecz istnieją również inne odpowiedzi.

Real świętuje 15. zwycięstwo w Lidze Mistrzów UEFA. Madryt, 2 czerwca 2024 r.

Klub królewski

Jorge Valdano, były napastnik reprezentacji Argentyny, z którą u boku Maradony sięgnął po mistrzostwo świata, później piłkarz i dyrektor Realu Madryt, publikujący dziś swoje refleksje o futbolu na łamach „El País”, uważa, że klub to po prostu... kultura.

„Pasja i rozum posługują się różnymi językami” – pisał Valdano po niedawnym meczu Realu z Bayernem, czyli po jednym z tych zaiste niezliczonych spotkań, podczas których zespół ze stolicy Hiszpanii odrobił straty i zdołał wygrać w sytuacji, która każdemu innemu dawno kazałaby spuścić głowę. Argentyńczyk dodawał, że jako racjonalista ma z takimi zwycięstwami kłopot: świętuje, krzyczy, ale nigdy nie wie dlaczego. „Bądźmy szczerzy, brakuje nam teorii” – zauważał, bo przecież „magia nie jest teorią”.

Co sprawia, że Real ciągle wygrywa? Legenda klubu, najbardziej utytułowanego w dziejach europejskiego futbolu? Pomaga, ale nie wystarcza, podobnie jak szczęście: w końcu niecodziennie zdarza się wygrana na loterii. Fanatyczny doping kibiców również nie jest odpowiedzią: przecież to nie oni wychodzą na boisko, inne kluby zresztą – z Borussią Dortmund na czele, o czym za chwilę – mają fanów bardziej oddanych. Rywale nie ułatwiają zadania: w tegorocznym finale Ligi Mistrzów Borussia przez godzinę dominowała, w ciągu pierwszych 45 minut mogła strzelić kilka bramek, ale Real przetrwał jej nawałę, a potem znów zrobił swoje.

Owszem, niektórzy mówią, że „na Bernabéu [stadionie Realu] zawsze jest tak samo”, sugerując, że tej drużynie sprzyjają sędziowie albo działacze UEFA, ale Valdano, co zrozumiałe, wkłada te sugestie między bajki. I choć wie, że



ANGEL MARTINEZ / GETTY IMAGES

mówi o najbogatszym klubie świata, to kwestionuje również ekonomiczny aspekt sprawy: czasy bezmyślnego szastania pieniędzmi przez jego prezesów należą do przeszłości; w kontekście rychłego sprowadzenia przez Real Kyliana Mbappé pisał zresztą parę miesięcy temu, że gdyby Francuz miał się kierować tylko względami finansowymi, wybrałby atrakcyjniejsze oferty.

To wypada zauważyć na marginesie: kojarzony niegdyś z Realem model *galácticos* – sprowadzanych za wielkie kwoty największych gwiazd futbolu – od dawna pasuje raczej do opuszczanego przez Mbappé, sponsorowanego przez Katar klubu Paris Saint-Germain. Dziś Madryt raczej stwarza gwiazdy, niż je kupuje: grający przeciwko Borussii od pierwszej minuty Bellingham, Valverde, Rodrygo czy Vinícius Júnior przychodzili tu jako nastolatki i dopiero tutaj stali się „galaktyczni”.

Rzecz w tym, że Real nie płaci pieniędzmi, tylko chwałą. Poprzednicy wymienionych przed chwilą piłkarzy – kończący właśnie karierę Kroos czy Modrić, a wcześniej Bale i Ronaldo, Zidane i Raúl, Gento, Di Stéfano czy Puskás – swoim ogromnym talentem budowali, a następnie przekazywali kolejnym pokoleniom kulturę wspólnego wysiłku, wspólnej zabawy, ale nade wszystko: wspólnego oporu wobec porażki. To właśnie ta kultura, twierdzi Argentyńczyk, stanowi

na tyle solidny fundament, że pozwala tłumaczyć niewytłumaczalne.

Piłkarze Realu są „królewscy”, bo jak monarchowie czują, że naprawdę są wybrańcami, pomazańcami, namaszczone. Ich duma (to znów Valdano) „staje się wrzawą na trybunach i wskrzesza zmarłych na boisku”.

Tajemnica pierwsza

Po lekturze takiego tekstu łatwiej pogodzić się z pytaniem w tytule artykułu „Czy Real Madryt daje się przeanalizować?”, opublikowanego przez wyspecjalizowany w pisaniu o sporcie portal The Athletic. Jego redaktorzy wnikliwie przyglądają się tym wszystkim comebackom (po hiszpańsku mówi się na to: *remontada*), raczej daremnie próbując opisać je za pomocą narzędzi do analizy taktycznej.

Niektórzy, owszem, podkreślają rolę doświadczonego trenera Carla Ancelottiego, żartującego w rozmowie z dziennikarzami, że szkoleniowcy dzielą się na dwa typy – takich, co to nic nie robią, i takich, co robią wiele złego. 64-letni Włoch, dla którego był to już szósty finał Ligi Mistrzów w życiu trenera (dwukrotnie rozgrywał je jako zawodnik, w obu rolach wygrywał w sumie siedem razy), dawał w ten sposób do zrozumienia, że zalicza się do pierwszego typu, bo „ten sport należy do piłkarzy”. A Jude Bellingham potwierdzał tę interpretację, mówiąc, że największą siłą on i jego koledzy z drużyny czerpią z poczucia wolności, jaką zostawia im trener – a także ze spokoju i pewności, jakimi emanuje.

→



→ Ale to przecież nie może być cała odpowiedź. Ci, którzy oglądali mecz Realu z Borussią, spoglądając równocześnie na komentarze w mediach społecznościowych, musieli zauważyć, że nawet kiedy drużyna niemiecka przy stanie 0:0 wyprowadzała swoje ataki, w zasadzie nie była w stanie naruszyć powszechnego przekonania, że i tak wygra Real. Czy to się da przeanalizować, skoro używane przez ekspertów modele tzw. goli oczekiwanych po przerwie pokazywały 1,64 po stronie Borussii, a zaledwie 0,09 po stronie Realu?

Ktoś na początku telewizyjnej transmisji finału powiedział, że oglądać go będziemy dzięki pracy 43 kamer. Wydawałoby się: tu wszystko widać jak na dłoni. „Niesamowite, że na oczach milionów świadków, w dobie mediów społecznościowych, które nieustannie ją analizują, a nawet próbują wyśmiewać, może przetrwać... tajemnica” – pisze Valdano.

Klub ludowy

Mozna byłoby w tym miejscu postawić kropkę, gdyby nie fakt, że istnieją zupełnie inne kultury klubowe. W najlepszych opowieściach o nich klub to ludzie, a zwłaszcza kibice.

Nie bez przyczyny Uli Hesse swoją historię Borussii zaczyna nie od momentu, w którym grupa członków Sodalicii Młodych z Dortmundu, zmęczonych ciągłymi wyrzutami księdza, że w dzień święty gonią za piłką, w czwartą niedzielę adwentu 1909 r. postanawia opuścić to stowarzyszenie i założyć swój klub. Pierwszy rozdział jego książki jest przecież opowieścią o Żółtej Ścianie – południowej trybunie stadionu Borussii, stłaczającej na niebywałej, jak na współczesne standardy bezpieczeństwa, stromiznie ponad 24 tysiące osób. Ich doping jest najgłośniejszy w Europie. „Można by przedstawić solidne argumenty za tym, że fani BVB są słynniejsi od samej drużyny” – pisze Hesse.

Choć Borussia również sięgała po mistrzostwo swojego kraju i wygrywała najważniejsze europejskie rozgrywki – daleko jej do statusu superklubu. Z lektury „Siły Żółtej Ściany” Hessego, z rozmów z byłymi zawodnikami (z Polaków są to choćby Jakub Błaszczykowski i Łukasz Piszczek, którym Borussia podziękuje za wkład w minione sukcesy, organizując we wrześniu specjalny mecz pożegnalny) wyłania się raczej obraz klubu ludowego, który na tegoroczny finał Ligi Mistrzów zafundował bilety 519 pracownikom i członkom, od sprzątaczy po dzieci i młodzież z drużyn juniorskich. I którego piłkarz Marco Reus, opuszczający drużynę po 12 latach, postawił wszystkim zasiadającym na Żółtej Ścianie fanom pożegnalne piwo. Kosztowało go to ponoć 125 tysięcy euro.

Piwo pojawia się w tej historii nie bez powodu: browary, oprócz hut i kopalni, długo były jednym z filarów tutejszego przemysłu. „Ciężka praca, często w niebezpiecznych warunkach, wiązała ludzi ze sobą” – pisze Hesse; ludzi „twardo stąpających po ziemi, obdarzonych silną etyką pracy, poczuciem solidarności i niechętnie odnoszących się do pustych pogaduszek”.

Nieprzypadkowo więc pytany przez „Tygodnik” o wyjątkowość Borussii Łukasz Piszczek już w pierwszym zdaniu mówi, że ceni się tam kulturę ciężkiej pracy – i że jako wychowany na Śląsku, natychmiast poczuł się w Północnej Westfalii jak u siebie. – W Dortmundzie kibice zawsze doceniali

zawodników z charakterem. Oni wiedzą, że może ci się nie udać jakaś akcja, ale jak będziesz walczył do końca, prędzej czy później to docenią.

„Przez dekady życie ludzi z Dortmundu i całego Zagłębia Ruhry dominowały węgiel, stal, piwo i piłka nożna. Teraz z tego wszystkiego została tylko piłka” – pisze Hesse. Piszczek opowiada więc o różnicy, jaką natychmiast dostrzegł po przeprowadzce z Berlina, gdzie wcześniej grał: o ile w stolicy Niemiec, wychodząc na miasto, miał poczucie, że nikt go nie zaczepi, na ulicach Dortmundu nie miał chwili spokoju. A relacja z fanami była obustronna: były reprezentant Polski wspomina, jak jeden z kolegów z zespołu, Kevin Großkreutz, uczył przybyszów z dalekich krajów, choćby Japończyka Kagawę, kibicowskich przysięwek, żeby naprawdę byli bliżej ludzi.

– W Niemczech w ogóle jest inna kultura kibicowania – mówi „Tygodnikowi” Piszczek. – A stadiony są zawsze wypełnione. Wciąż obowiązuje tu przepis „50 + 1”, uniemożliwiający możliwym tego świata przejmowanie klubów [chodzi o zapis skazujący ewentualnych inwestorów na pakiety mniejszościowe i uwzględniający rolę stowarzyszeń kibicowskich w zarządzaniu – red.], w tym roku fani sprzeciwiali się też temu, by piłkarska federacja sprzedała udziały w całej Bundeslidze.

Efektom są nie tylko tanie, jak na Europę, bilety i fenomenalna frekwencja. Najważniejsze jest poczucie, że klub jest częścią społeczności. – Nie bez powodu, jak grałem w Dortmundzie, to większość spotkań u siebie wygrywaliśmy – opowiada Piszczek. Skonfrontowanym z siłą Żółtej Ściany rywalom miękły nogi.

Tajemnica druga

Rozpisałem się o Borussii nie tylko dlatego, że podczas finałowego meczu z Realem mogliśmy widzieć i tę walkę do końca, i tę kulturę kibicowania, i to połączenie piłkarzy z fanami.

Na marginesie wypada zauważyć bowiem i inne cechy ludzi z Dortmundu. W 1840 r. miasto zamieszkiwało 7 tysięcy osób, ale już 10 lat później pracowało tu 300 szybów górniczych. Wielu robotników przyjechało z Austro-Węgier, Holandii i Włoch, ale większość przybyła ze Śląska i z Poznańskiego; w Borussii polskie nazwiska spotykało się na długo przed tym, jak u trenera Jürgena Kloppa tercet Błaszczykowski – Piszczek – Lewandowski zdobywał mistrzostwo Niemiec, a potem walczył z Bayernem w finale Ligi Mistrzów 2013 r.

Tamten mecz zakończył się porażką – jedyny triumf Borussii w Champions League przypadł w 1997 r., kiedy to po zwycięstwie z Juventusem na ulicach Dortmundu bawiło się 300 tysięcy ludzi; generalnie w klubowej historii więcej znaleźć można zmagania z przeciwnościami niż chwil triumfu. Czas, gdy trenerem był Klopp, to jeden z nielicznych okresów, podczas których drużyna opierała się hegemonii Bayernu; wcześniejszy o kilka dekad okres zamykania kopalni i hut w Zagłębiu Ruhry wiązał się ze spadkiem z ligi, później klub kilkakrotnie znajdował się na skraju bankructwa, a jego fani kwestowali na ulicach, prosząc mieszkańców miasta, by pomogli uratować drużynę.

W marcu 2005 r. wydawało się, że na ratunek jest już za późno – po triumfie w Lidze Mistrzów i występie w finale Pucharu UEFA 2002 działacze Borussii stracili kontakt

z rzeczywistością, prowadząc fatalną politykę transferową. Mieli potężne długi, jednak związany z klubem producent odzieży ochronnej Hans-Joachim Watzke przekonał kilkuset wierzycieli, by pozwolili mu podjąć misję naprawczą.

Podstawą nowej, trzeźwej polityki było postawienie na zdolną młodzież i odbudowa relacji z fanami. Wspomnienia Watzkego, który wkrótce stanął na czele klubu, dobrze komponują się z opowieścią Piszczka: w Zagłębiu Ruhry ludzie oczekiwali uczciwego wysiłku i tego, że każdy człowiek związany z Borussią będzie dawał z siebie wszystko. Zatrudnienie symbolizującego te cechy Kloppa było oczywistością.

Także obecny szkoleniowiec, 41-letni Edin Terzić, pasuje do klubowego etosu. Jest dzieckiem gaskarbeiterów, Bośniaka i Chorwatki, dorastał jako kibic Borussii. Zanim zaczął ją trenować, był bywalcem Żółtej Ściany – a rok temu płakał, stojąc przed nią, gdy jego podopieczni w ostatnim meczu sezonu stracili szansę na mistrzostwo. W tym roku w lidze szło mu kiepsko – zajął dopiero piąte miejsce i kilka razy mówiono, że straci pracę – ale awansem do finału Ligi Mistrzów uratował posadę. W półfinale „ludowy klub” pokonał nuworyszy z PSG. Po sobotnim finale Terzić już nie musiał płakać: i on, i inni mieszkańcy Zagłębia Ruhry wspominać będą ten mecz z podniesionym czołem, choć Real ostatecznie wygrał 2:0.

Klub zwyczajny

Czym więc jest klub? W tym miejscu odpowiedź można by skomplikować. Borussia przez lata utrzymywała się w czołowie najlepszych drużyn Europy, ale wynajdywane przez nią młode talenty trafiały rychło do zamożniejszych firm: Bayern kupił Götzego i Lewandowskiego, Manchester City ściągnął Gündoğana i Haalanda. Bellingham przeniósł się do Madrytu właśnie z Dortmundu.

Nie o bieżące sukcesy sportowe i księgowe jednak chodzi, a bardziej o tradycję. I to podwójnie rozumianą. Tę, w której obudzeni w środku nocy kibice potrafią wymienić nazwiska dawnych sław. I tę, w której od pierwszej wizyty na stadionie – w towarzystwie ojca, starszego brata, kolegów ze szkoły – pozostają z klubem przez wszystkie późniejsze lata, niezależnie od tego, jak udane.

„Na tym właśnie polega bycie fanem: czekać, znosić dziesięciolecia rozczarowań, lecz nie mieć wyboru w kwestii, komu dochowujemy wierności – tłumaczył to kiedyś czytelnikom „New Yorkera” Salman Rushdie w eseju przedrukowywanym przez „Tygodnik”. – To jest nałóg. To jest monogamiczna miłość, póki śmierć nas nie rozłączy”. Obserwacje pisarza potwierdzają miliony życiorysów, w których łatwiej zmienić pracę, partnera, miasto i kraj, a nawet wyznanie, niż zmienić drużynę, której się kibicuje.

Kulturoznawca i socjolog Piotr Majewski mówi w tym kontekście, cytując francuskiego badacza Pierre’a Nore, o konstruowaniu „historii drugiego stopnia”. Kluby są dłań

– W Niemczech jest inna kultura kibicowania

– mówi „Tygodnikowi”

Łukasz Piszczek. – A stadiony są zawsze wypełnione. Wciąż obowiązuje tu przepis „50 + 1”, uniemożliwiający możliwym tego świata przejmowanie klubów.

„miejscami pamięci”; ich obecność daje możliwość zanurzenia się w historii (zwłaszcza lokalnej czy miejskiej). „Identyfikowanie się z klubem pozwala na zarzucenie tożsamościowych kotwic – pisze Majewski – poczucia się częścią większej i trwalszej wspólnoty”. Pozwala też na opowiadanie – ustami fanów – o ważnych wydarzeniach z dalszej bądź bliższej przeszłości. „A wydarzenia te – nieustannie poddawane procesowi reinterpretacji – wciąż posiadają dużą kulturotwórczą i więziotwórczą

moc”. Jednym z takich wydarzeń jest niewątpliwie finał Ligi Mistrzów, w którym ich drużyna wygrała – albo przegrała, ale dając z siebie naprawdę wszystko.

Kiedy przed kilkoma laty światem współczesnego futbolu wstrząsnął paroksyzm Superligi (jej projekt polegał na tym, by grupa najbogatszych klubów kontynentu grała tylko we własnym gronie), inny badacz tego sportu, Simon Kuper, przypominał, że jeszcze stosunkowo niedawno kluby nie uważały się za maszyny do zarabiania pieniędzy: angielska federacja aż do lat 80. XX wieku zabraniała ich właścicielom czerpania zysków z działalności. Czy idea klubu przypominającego w miarę wypłacalną organizację pożytku publicznego, bardziej muzeum niż cyrk, jest już nie do uratowania?

Tajemnica trzecia

Kulturoznawcy, socjologowie, religioznawcy także („Zlaicyzowane, zdegradowane, zakamuflowane mity i wyobrażenia mityczne spotykamy wszędzie: trzeba je tylko umieć rozpoznać” – pisał Mircea Eliade w eseju „Mity współczesnego świata”) posługują się swoistym językiem. A ludzie, których doświadczenia starają się opisać, swoje wiedzą. Patrząc na boisko, widzą bogów. Takich, którzy zeszli na ziemię z Olimpu, jak po apolińsku nieomylny i elegancki Kroos czy pędzący wzdłuż linii bocznej jak Hermes Vinícius Júnior. Widzą Herkulesa, powstrzymującego jak Hummels szarżę rywala, a w końcówce meczu samemu rzucającego się do ataku. Widzą Syzyfa pchającego pod górę głaz, jak Reus, który swoją przygodę z Borussią zaczynał od przegranego finału Ligi Mistrzów i na przegranym finale skończył. O bachichności Carla Ancelottiego wystarczająco wiele napisał on sam w autobiografii (przypomnijmy: w tytule „Preferisco la coppa” słowo *coppa* może oznaczać tyleż puchar, co baleron), by rozwijać ten wątek.

Nie, nie zmierzam do konkluzji, że nad rywalami Realu w Lidze Mistrzów ciąży fatum albo że np. sprawiedliwe niebios postanowiły ukarać Borussię za podpisanie nowej umowy sponsorskiej z koncernem produkującym broń. Powiem zresztą i to, że w futbolu wciąż zdarzają się mecze, w których faworyt ponosi sromotną klęskę.

Dlaczego więc Real wygrał swój piętnasty Puchar Europy? Valdano ma rację: to tajemnica. Klub piłkarski służy do tego, by móc ją na nowo rozpoznać.

©& MICHAŁ OKOŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz: Odloty i przyloty



JESTEŚMY ZAISTE NIEPOCIESZENI. GARŚĆ naprawdę znakomitych, zarówno w formie, jak i w treści, wizji prezydenta RP na temat przydomowych lotnisk oraz małych i dużych samolotów padła z naszego punktu widzenia zbyt wcześnie.

Za wcześniej, to znaczy że dziś, gdy pochylamy naszą siwą głowę nad niniejszą pracą piśmienną, koncepty te zostały już po wielokroć przez innych omówione, a żartom i krotchwilom końca nie było ani nie ma. Słowem, mamy kłopot. Wynikający z braku tzw. świeżości tematu, bo ile i jak długo można robić sobie jaja z tego niesamowitego człowieka? Ktoś powie, że bez ustanku. Nas jednak bezustanność – z niewielkimi wyjątkami – mierzi.

Z tegoż powodu, czyli przez niesprzyjający nam kalendarz przemówień prezydenta RP, ominęła nas możliwość oceny jego dawniejszych, choć podobnych widzeń. Nie omówiliśmy wypowiedzi pełnych, jak zawsze, emfazy i uniesienia, prezentowanych w osobliwej manierze aktorskiej, ni to wiecowej, ni to kościelnej, wygłaszanych w nieokiełzanym uwielbieniu, szokującym napięciu bądź w strasliwym gniewie. Zsumujmy naprędce: z tego, co pamiętamy, prezydent, posługując się czymś, co wedle swego mniemania posiada, czyli autorytetem i warsztatem aktora, oceniał m.in. ustrój sądów, demokrację i parlamentaryzm, detale historii Polski i innych krajów na planecie. Naszałał się w sprawie twórczości filmowej i literackiej, dobrotliwie składał rymy, wołał o budowanie oczek wodnych, wyrażał się na temat klimatu, paliw kopalnych, mówił o upodobaniach spożywczych, o ludziach innej orientacji, innej niż polska narodowości, religii i koloru skóry. Pamiętamy jego jeremiadę

na temat żarówek i technologii LED, pamiętamy także, że nawet śpiewał *a cappella* w towarzystwie małżonki. Oto nie omówiliśmy ani jednego z tych występów, a każdy był przecież wart przynajmniej tysiąca słów, od skrzętnej analizy osobowości po sporządzenie spisu osobliwości jego mimiki, konstruowania przezeń zdań podrzędnych i złożonych, tonacji, akcentowania, impostacji, ruchu gałek ocznych, gestykulacji, po przeanalizowanie znaczeń słów, ruchu scenicznego, po sygnalizację o charakterze psychologicznym, aż po scenografię tła.

No więc wszystkie te wspaniałości nas ominęły. Mamy zatem słuszne poczucie krzywdy, bowiem, jak tu każdy – od Odry i Nysy Łużyckiej po nadbużańskie łęgi – urodziliśmy się z nożem w plecach i w największej we wszechświecie przestrzeni, w której unosi się aura wszechpretensji o wszystko i do wszystkich. Mamy więc pretensje, że prezydent RP wypowiada się, z punktu widzenia naszego kalendarza zobowiązań piśmiennych, zawsze o kilka dni za wcześniej. Rzucają się wtedy na produkty jego umysłowości i jego najbliższych współpracowników rzesze jajcarzy. Dla nas zaś zostają sucharki produkowane przez J. Kaczyńskiego, M. Morawieckiego bądź B. Szydło, co – każdy tu teraz łącznie przyzna – jest i krzywdzące dla nas, i zubażające felietonistykę polską.

Na koniec wypada wyrzec zdanie nienowe, ale może obowiązkowe. Obecny prezydent RP, pełniący swój urząd już po raz drugi, jest liderem rankingów zaufania publicznego. Niemal połowa społeczeństwa bezgranicznie ufa panu prezydentowi. Należy z szacunkiem podchodzić do tych deklaracji. Też dlatego, że obok listy polityków obdarzonych zaufaniem widnieje zawsze spis tych, którym społeczeństwo za groz nie ufa. Tu prowadzi niemal zawsze i od zawsze J. Kaczyński. Czy ktoś rozumie, dlaczego dwu najważniejszych głosicieli tego samego światopoglądu, opowiadających niemal to samo, tymi samymi słowami, cokolwiek, na dowolny temat, różni to i tylko to? Może najwyższy czas usiąść nad – dajmy na to – oczkiem wodnym i wśród rytmicznego rechotu płazów zastanowić się, co znaczy wzbudzać w Polsce zaufanie i czym ten stan się różni od wzbudzania nieufności. Dopiszmy to do klasycznego zestawu Wielkich Polskich Pytań. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



Wybierz swoją prenumeratę

TYGODNIK
POWSZECHNY

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy
udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej
przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel
w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem
e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
■ Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
■ Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi” od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo mają pewność, że publikacje „Tygodnika” są niezależne,

redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika”

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość

z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważne są dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzimy, że świat da się naprawić.**

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

animator film festival

image ■ made with AI

Organizatorzy:

ESTRADA
POZNAN
ŹSKA

KINO
MUZA

POZnań*

Współfinansowanie:

MKiDN

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury



POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ



Stowarzyszenie
Filmowców
Polskich



Kingdom of the Netherlands

Partner programu:



Centrum
Rozwoju
Przemysłów
Kreatywnych

Patronat
honorowy:

Ambasada Japonii

animator-festival.com

25-30.06.2024

poznań